R G B WH GR BL C M Y K
Grey Scale #13
DANES PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

**Azja**
**Afryka**
**Ameryka Łacińska**

**Historia**

*Tomasz Knothe*

# Ameryka Łacińska w polityce USA 1945-1975

*Ossolineum*

Colour Chart #13
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black
Inches Centimetres
DANES PICTA .COM

Azja
Afryka
Ameryka Łacińska

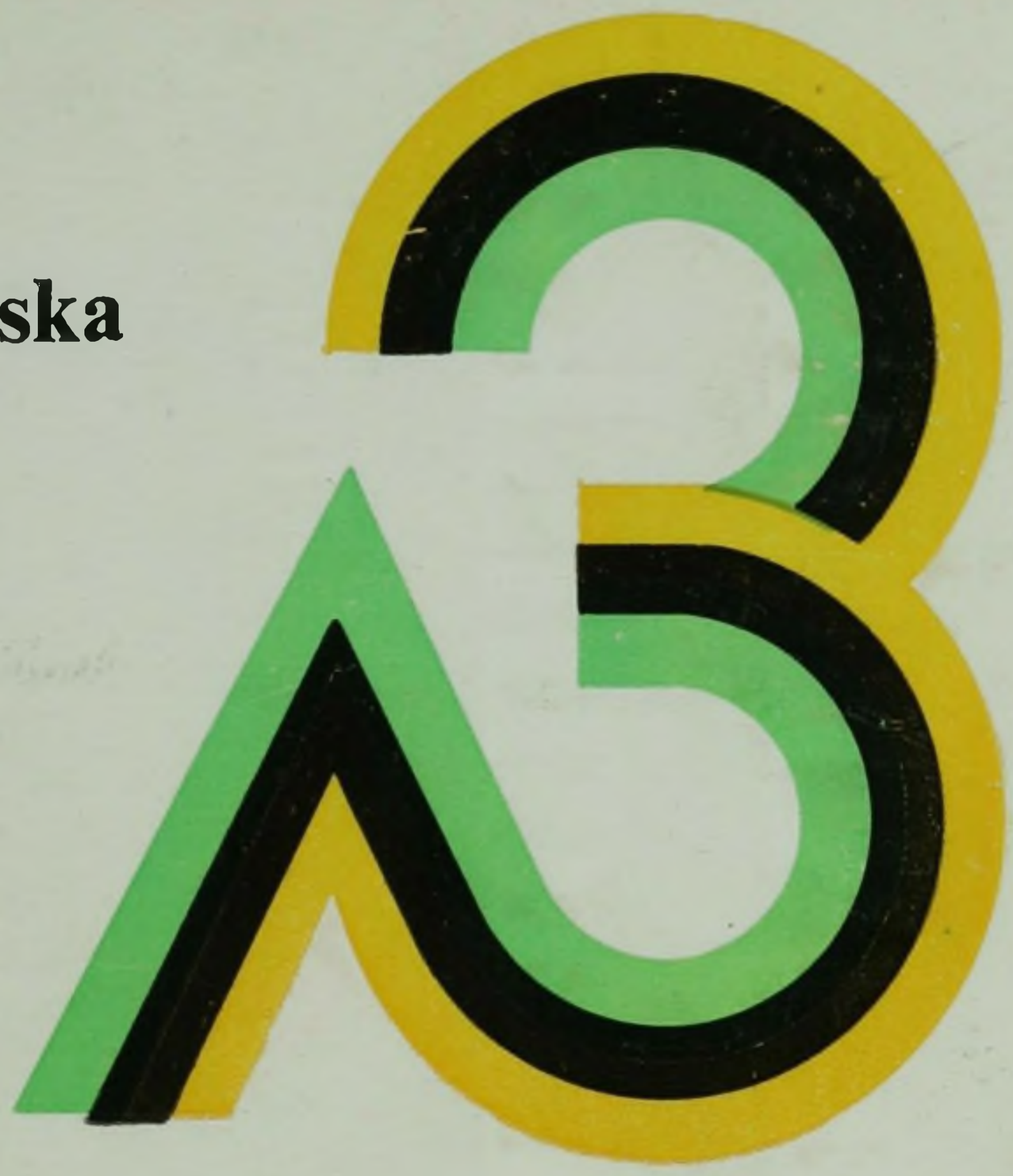

Historia

*Tomasz Knothe*

# Ameryka Łacińska w polityce USA 1945-1975

*Ossolineum*

# Azja Afryka Ameryka Łacińska

## Historia

*Redakcja naukowa: Tadeusz Łepkowski i Ryszard Stemplowski*

*Tomasz Knothe*

# Ameryka Łacińska w polityce USA

## 1945-1975

*Wrocław · Warszawa · Kraków · Gdańsk*
Zakład Narodowy imienia Ossolińskich
*Wydawnictwo · 1976*

Redaktor *Jan St. Miś*
Redaktor techniczny *Lucjan Piąty*
Okładkę projektował *Edward Kostka*

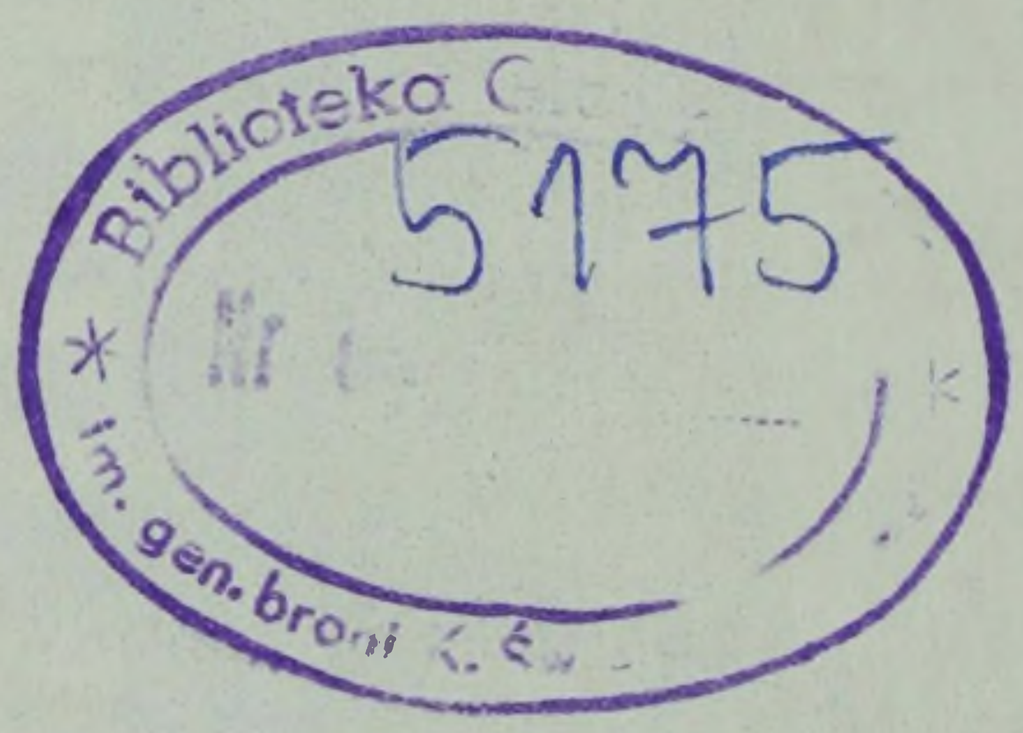


*Printed in Poland*

Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo.
Wrocław 1976. Nakład: 6000 egz.
Objętość: ark. wyd. 11,10, ark. druk. 14+6 wkl., ark. A1 11,
Papier offset. kl. III, 70 g, 82 × 104
Oddano do składania 27 I 1976. Podpisano do druku 21 VI 1976.
Druk ukończono w lipcu 1976.
Skład wykonano na urządzeniach Monofoto 600.
Wrocławska Drukarnia Naukowa Zam. 86/76/M – L-18
Cena zł 25,–

# Wprowadzenie

W procesie rozwoju historycznego pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a państwami Ameryki Łacińskiej wykształcił się specyficzny system stosunków wzajemnych. Główną cechą tego systemu jest jego hegemoniczny charakter, przejawiający się w zajęciu przez Stany Zjednoczone pozycji państwa-hegemona wobec krajów latynoamerykańskich.

Hegemonia USA w Ameryce Łacińskiej wynika między innymi z posiadania przez to mocarstwo przewagi gospodarczej, technologicznej i militarnej nad pozostałymi państwami półkuli zachodniej. Istnienie tej przewagi umożliwia klasom rządzącym USA wywieranie wpływu na stanowisko i postępowanie rządów latynoamerykańskich, czyli na sprawowanie nad nimi władzy. Władza ta może uzewnętrzniać się bezpośrednio w wypadku narzucenia przez rząd USA państwu latynoamerykańskiemu wykonania określonych decyzji, niezależnie od woli tego państwa. Może przejawiać się także pośrednio, gdy koła rządzące Stanów Zjednoczonych zmuszają rządy latynoamerykańskie do zaniechania określonych działań, do zajęcia postawy biernej.

Stany Zjednoczone mogą pełnić władzę na półkuli zachodniej, ponieważ posiadają dzięki swej potędze zdolność do stosowania środków przymusu przeciwko krajom latynoamerykańskim. W praktyce rząd USA nie musi się często odwoływać do groźby użycia siły zbrojnej czy sankcji gospodarczych. Przewaga Stanów Zjednoczonych na półkuli zachodniej jest tak przytłaczająca i tak oczywista, że najczęściej sam fakt jej istnienia skłaniał elity rządzące krajów Ameryki Łacińskiej do uznania przywództwa USA.

Nie tylko jednak ta okoliczność wpływa na stanowisko państw Ameryki Łacińskiej. Stosunki ze Stanami Zjednoczonymi nie są dla nich wyłącznie problemem polityki

zagranicznej, a zależność krajów latynoamerykańskich od ich północnego sąsiada jest nie tylko zależnością zewnętrzną i nie wynika z samego faktu różnic w osiągniętym poziomie rozwoju gospodarczego. W następstwie wieloletniej ekspansji północnoamerykański kapitał inwestycyjny i finansowy zajął w życiu gospodarczym krajów Ameryki Łacińskiej ważne pozycje. Dzięki temu klasy rządzące USA mogą nie tylko wywierać wpływ na postępowanie rządów krajów latynoamerykańskich ale także uzyskiwać konkretne korzyści materialne ze stosunków z tymi krajami poprzez ustalanie warunków ich eksploatacji i przejmowanie części wartości dodatkowej wytwarzanej na ich obszarach. Konsekwencje tego typu zależności wykraczają poza sprawy gospodarcze, ponieważ w następstwie przeniknięcia firm USA do latynoamerykańskiego przemysłu, finansów i handlu uległy przekształceniu stosunki własności w większości krajów Ameryki Łacińskiej, a wraz z nimi zaszły zmiany w ich strukturze społecznej i systemach politycznych. Jak podkreślał w 1968 roku ekonomista i socjolog brazylijski Celse Furtado, w rezultacie ekspansji kapitału zagranicznego „został przerwany proces formowania się klasy miejscowych przedsiębiorców. Najlepsze talenty, które wyrosły z przemysłu miejscowego, są wchłaniane w nową klasę menadżerów [firm zagranicznych – *T.K.*] [...] Narodowi, niezależni przedsiębiorcy są spychani do działalności drugorzędnej bądź zmuszani do podejmowania pionierskich przedsięwzięć, które w perspektywie rozszerzają po prostu obszary dla przyszłej ekspansji obcych korporacji wielonarodowych [...] Eliminacja narodowej klasy przedsiębiorców prowadzi nieuchronnie do przekreślenia możliwości samodzielnego rozwoju narodowego, zgodnie z klasycznym modelem rozwoju kapitalizmu".

Uwagi Furtado, które można odnieść również do analizy innych klas i grup społecznych, ilustrują głębokie skutki zależności krajów latynoamerykańskich od Stanów Zjednoczonych. Wskazują także na imperialistyczną istotę hegemonii tego mocarstwa w Ameryce Łacińskiej, prze-

jawiającą się w wyzysku narodów tego rejonu i w ograniczaniu swobody wyboru dróg rozwoju wewnętrznego — w zależności od potrzeb gospodarczych i politycznych kapitału monopolistycznego USA.

Proces uzależnienia państw Ameryki Łacińskiej od Stanów Zjednoczonych następował stopniowo wraz z rozwojem kapitalizmu północnoamerykańskiego i jego ekspansją na południe, wspieraną w razie potrzeby siłą zbrojną, w ostrej walce konkurencyjnej z innymi mocarstwami imperialistycznymi. O osiągnięciu przez USA pełni pozycji hegemona w całej Ameryce Łacińskiej możemy w istocie mówić dopiero od drugiej połowy lat czterdziestych naszego stulecia.

W odniesieniu do większości państw rejonu Morza Karaibskiego Stany Zjednoczone osiągnęły tę pozycję już w początkach wieku XX. W rozwoju polityki zagranicznej USA wobec Ameryki Łacińskiej jako regionu można więc generalnie, niezależnie od bardzo ważnych odrębności i zmian w poszczególnych okresach historycznych, wyodrębnić dwa zasadnicze etapy.

Pierwszy z nich, w stosunkach z krajami Morza Karaibskiego nieco krótszy aniżeli w stosunkach z państwami Ameryki Południowej, charakteryzował się podporządkowaniem tej polityki zdobywaniu pozycji gospodarczych, strategicznych i politycznych w Ameryce Łacińskiej poprzez wspieranie ekspansji kapitału prywatnego i rozwoju handlu, działanie na rzecz rozszerzenia wpływów politycznych wśród latynoamerykańskich elit rządzących i wypieranie z tego rejonu konkurencyjnych wpływów europejskich. Był to etap tworzenia systemu hegemonicznego na półkuli zachodniej, zakończony ostatecznie w pierwszych latach po II wojnie światowej.

Od tego momentu (etap drugi) wszystkie kraje latynoamerykańskie znalazły się w kręgu zależności gospodarczej i politycznej od USA, a nadrzędnym celem polityki tego mocarstwa stało się umocnienie i utrzymanie istniejącego stanu rzeczy w nowych warunkach powojennego świata.

Niniejsza książka jest poświęcona drugiemu etapowi w rozwoju latynoamerykańskiej polityki rządu Stanów Zjednoczonych. Jest analizą niektórych problemów, związanych z funkcjonowaniem systemu hegemonicznego USA w Ameryce Łacińskiej po II wojnie światowej.

# Doktryna Monroe i panamerykanizm

Istnieje zrozumiałe dążenie ze strony klas rządzących USA do tworzenia ideologii uzasadniającej ich hegemonię w Ameryce Łacińskiej. Ogólnie starania te charakteryzują się selektywną pamięcią przeszłości; wydobywaniem na światło dzienne tych wydarzeń, które mają potwierdzić tezę, że związki krajów latynoamerykańskich ze Stanami Zjednoczonymi posiadają cechy szczególne, ponieważ sięgają głęboko w historię i powstały w rezultacie niejako naturalnej zbieżności interesów. Dokonywana w tym duchu interpretacja przeszłości służy argumentacji politycznej do uzasadnienia systemu hegemonicznego. Wystąpienia przedstawicieli rządu Stanów Zjednoczonych na temat stosunków z Ameryką Łacińską charakteryzuje stałe podkreślanie cech łączących kraje półkuli zachodniej i pomniejszanie lub wręcz ignorowanie sprzeczności, różnic interesów, konfliktów czy napięć wewnątrzregionalnych. Już sam język tych wystąpień służy stworzeniu sielankowego obrazu wzajemnych kontaktów. Przyrównywanie wszystkich państw półkuli zachodniej do „jednej, wielkiej rodziny", określanie krajów latynoamerykańskich jako „siostrzane republiki", ciągłe odwoływanie się do „ducha solidarności kontynentalnej" należy do stałego słownictwa przemówień politycznych w Stanach Zjednoczonych. Dotychczasowa polityka USA wobec Ameryki Łacińskiej jest w nich przedstawiana jako posiadająca charakter wyłącznie obronny – Stany Zjednoczone występują jako „strażnik" bądź „opiekun" interesów i suwerenności krajów latynoamerykańskich wobec prób ich naruszenia ze strony mocarstw europejskich. Z tych pozycji są tłumaczone dawne i współczesne interwencje zbrojne USA w krajach regionu. W tym duchu są interpretowane doktryna Monroe i koncepcja paname-

rykanizmu, stanowiące trzon ideologii dominacji tradycyjnie uznawane za podstawę doktrynalną latynoamerykańskiej polityki Stanów Zjednoczonych.

Doktryna Monroe została sformułowana w ostatnim okresie walk o niepodległość posiadłości hiszpańskich na półkuli zachodniej. Inicjatorem była Wielka Brytania, której minister spraw zagranicznych G. Canning w sierpniu 1823 roku, zaniepokojony możliwością interwencji mocarstw Świętego Przymierza, a zwłaszcza Francji po stronie Hiszpanii, przedstawił posłowi USA w Londynie propozycję wystąpienia ze wspólną deklaracją dwóch rządów przeciwko tego rodzaju akcji. Szybko jednak osłabło zainteresowanie brytyjskiego ministra wspólnym przedsięwzięciem, ponieważ już w październiku uzyskał od francuskiego ambasadora w Londynie, księcia de Polignac, zapewnienie, o którym długo nie informował posła USA, że Francja „wyrzeka się jakiegokolwiek planu zbrojnego wystąpienia przeciwko kołoniom".

W tym czasie w Waszyngtonie dyskutowano nad propozycją brytyjską. Sekretarz stanu J.Q. Adams zdołał przekonać prezydenta J. Monroe i innych członków gabinetu, by rząd Stanów Zjednoczonych wystąpił samodzielnie z ostrzeżeniem pod adresem mocarstw europejskich. Według Adamsa wspólna deklaracja mogłaby zostać zrozumiana jako wejście w sojusz z Wielką Brytanią i stać się podstawą do ingerencji dyplomacji brytyjskiej w sprawy amerykańskie. Wskazywał, że wspólne oświadczenie, które według Canninga miało zawierać zakaz przyszłej kolonizacji wyzwolonych posiadłości hiszpańskich, ograniczałoby Stany Zjednoczone w ich dążeniu do rozszerzenia własnego terytorium. Myślano szczególnie o Kubie i innych wyspach karaibskich, należących do Hiszpanii, które Adams określał jako „naturalne uzupełnienie kontynentu północnoamerykańskiego".

Dnia 2 grudnia 1823 roku prezydent Monroe wystosował orędzie do Kongresu USA, w którym proklamował

dwie uzupełniające się zasady. Przeszły one do historii jako doktryna Monroe.

Pierwsza z nich była skierowana przeciwko interwencji europejskiej na kontynencie amerykańskim: a w formie prób dalszego rozszerzania posiadłości kolonialnych (paragraf 7 orędzia: „Kontynent amerykański ze względu na warunki wolności i niepodległości, które zdobył i utrzymuje, nie może już odtąd być uważany za teren przyszłej kolonizacji przez żadne z mocarstw europejskich", czy też b) poprzez narzucenie systemu politycznego, tj systemu monarchicznego (paragraf 48 orędzia: „każdą próbę z ich strony [mocarstw europejskich — *T.K.*] rozciągnięcia swego systemu politycznego na tę półkulę musielibyśmy uważać za zagrażającą naszemu pokojowi i bezpieczeństwu. Do istniejących kolonii czy posiadłości jakiegokolwiek europejskiego mocarstwa nie mieszaliśmy się i nie będziemy się mieszać. Ale w stosunku do państw, które proklamowały i utrzymały swoją niepodległość i których niepodległość dla ważnych powodów i słusznych zasad uznaliśmy, na wszelkie mieszanie się jakiegokolwiek mocarstwa europejskiego w celu uciskania ich lub ich kontrolowania w jaki bądź inny sposób ich losów nie mogliśmy patrzeć inaczej, jak na przejaw nieprzyjaznych zamiarów względem Stanów Zjednoczonych").

Druga zasada doktryny Monroe zawierała potwierdzenie polityki nieinterwencji ze strony Stanów Zjednoczonych w Europie (paragraf 49 orędzia: „Nasza polityka w stosunku do Europy [...] pozostaje niezmiennie taka sama, to znaczy: nie mieszać się do wewnętrznych spraw żadnego z tych mocarstw").

Doktryna Monroe zawierała w istocie zasady ówczesnej polityki zagranicznej USA w ogóle. Ostrzeżenia skierowane do mocarstw europejskich, a także jednostronny charakter doktryny odpowiadały rozpowszechnionej w kołach rządzących Stanów Zjednoczonych teorii dwóch światów: europejskiego i amerykańskiego, które były nie tylko odmienne,

10 ale wzajemnie sprzeczne z powodu różnych systemów politycznych. Jednocześnie Monroe odwoływał się do zapożyczonej z Europy koncepcji interesu narodowego, motywując wysunięcie zasad doktryny potrzebą zapewnienia Stanom Zjednoczonym „pokoju i bezpieczeństwa".

Zasada stwierdzająca, że terytorium Ameryk nie może stać się przedmiotem przyszłej kolonizacji ze strony państw europejskich była, jak słusznie podkreśla autor meksykański A. Gomez Robledo, afirmacją polityczną propagowanej w Ameryce Łacińskiej zasady prawa międzynarodowego uti possidetis iuris, zgodnie z którą żadna część obszarów Ameryk nie mogła zostać uznana za res nullius, czyli ziemię niczyją, a więc do nikogo nie należącą.

Główną jednak podstawą teoretyczną doktryny Monroe była europejska koncepcja równowagi sił. Doktryna była w istocie próbą jej rozszerzenia na obszar Ameryk. W dążeniu do zachowania równowagi sił w Europie przejawiała się wspólnota interesów dyplomacji brytyjskiej i Stanów Zjednoczonych. Dla Canninga zapewnienie niepodległości posiadłościom hiszpańskim było ważne nie tylko dlatego, że stawały one otworem dla brytyjskiej ekspansji gospodarczej. Chodziło również o to, by żadne z mocarstw europejskich nie zajęło miejsca Hiszpanii, a zwłaszcza Francja, która po kongresie werońskim (1822) z upoważnienia innych mocarstw Świętego Przymierza interweniowała zbrojnie w Hiszpanii w 1823 roku, by przywrócić tam władzę absolutną króla hiszpańskiego Ferdynanda VII. Rząd brytyjski z obawą patrzył na umocnienie wpływów francuskich na Półwyspie Pirenejskim.

Oderwanie się od Hiszpanii jej posiadłości w Ameryce zmieniało jednakże radykalnie sytuację. Włączenie byłych kolonii hiszpańskich do sfery wpływów brytyjskich równoważyło bowiem korzyści Francji z uzależnienia Hiszpanii. Jak z dumą tłumaczył Canning w Izbie Gmin w 1826 roku: „Powołałem do życia Nowy Świat, by przywrócić równowagę w Starym Świecie".

W Ameryce Łacińskiej przyjęto doktrynę Monroe z zadowoleniem jako zawierającą uznanie suwerenności nowo powstałych państw. Większe jednak znaczenie przywiązywano do stanowiska Wielkiej Brytanii, a opublikowane w Londynie krótko po proklamowaniu doktryny oświadczenie francuskie księcia de Polignac wywołało daleko większy oddźwięk wśród polityków latynoamerykańskich. Nie mieli oni wątpliwości, że swą niepodległość zawdzięczają bardziej sile floty brytyjskiej aniżeli deklaracji prezydenta USA.

Rząd Stanów Zjednoczonych zachowywał w stosunkach z krajami Ameryki Łacińskiej dużą ostrożność i unikał angażowania się po ich stronie. Odrzucił propozycję przedstawicieli Brazylii i Kolumbii, którzy wystąpili z projektem zawarcia – na podstawie doktryny Monroe – sojuszu obronnego. Sekretarz stanu Adams stwierdził przy tej okazji, że każdy kraj powinien bronić się własnymi siłami, a Stany Zjednoczone będą działały tylko w wypadku zagrożenia ich własnych interesów.

Przez następne lata kolejne rządy USA nie odwoływały się do doktryny. Nie uczyniono tego, gdy Wielka Brytania zagarnęła argentyńskie wyspy Malwiny w 1833 roku, gdy Francja wystąpiła zbrojnie w 1838 roku przeciwko Meksykowi ani też w czasie francuskiej blokady rzeki La Plata w latach 1838–1840. Prezydent J.K. Polk potwierdził wprawdzie ważność doktryny Monroe w orędziu do Kongresu w grudniu 1845 roku, dodając do niej uzupełnienie zakazujące nawet dobrowolnego przekazania jakiegokolwiek obszaru Nowego Świata we władanie mocarstwom europejskim, lecz w jego interpretacji doktryna dotyczyła bardziej terytorium Ameryki Północnej aniżeli całej półkuli zachodniej. Jego rząd zachowywał milczenie w czasie interwencji zbrojnej Wielkiej Brytanii i Francji w Argentynie w latach 1845–1849. Podobnie postępowali jego następcy i chociaż akcja dyplomatyczna USA przeciwko próbie Napoleona III opanowania Meksyku (1862–1867) podawana jest czasami w literaturze jako przykład

zastosowania doktryny, ówczesny sekretarz stanu Seward nie wspomniał o niej ani razu w czasie wymiany korespondencji z rządem francuskim. Rząd Stanów Zjednoczonych nie odwołał się do doktryny w czasie okupacji Dominikany przez Hiszpanię w 1861 roku, nie zareagował również na przekazanie Francji przez Szwecję karaibskiej wyspy Św. Bartłomieja w 1878 roku.

Tak różni politycy, jak wiceprezydent Calham i prezydenci Polk i Lincoln, zgodnie wskazywali, że doktryna Monroe nie zawiera ogólnej zasady, że była proklamowana w celu przeciwdziałania zagrożeniu, które przestało istnieć i – jak podkreślił Lincoln – doktryna „odnosi się do historii tamtych czasów" i nie ma nic wspólnego z nową rzeczywistością.

Tego rodzaju stosunek do doktryny Monroe nie był przejawem braku zainteresowania Stanów Zjednoczonych sytuacją w Ameryce Łacińskiej. Był raczej odzwierciedleniem ówczesnego międzynarodowego układu sił na półkuli zachodniej i ograniczonych możliwości działania rządu USA. Stany Zjednoczone były w tym czasie za słabe, by konkurować z mocarstwami europejskimi. Ameryka Łacińska należała do brytyjskiej sfery wpływów. Brytyjczycy praktycznie zmonopolizowali w swych rękach handel z krajami latynoamerykańskimi, a ich inwestycje były największe wśród innych zagranicznych. W 1900 roku wartość wszystkich inwestycji brytyjskich w Ameryce Łacińskiej oceniano na 2,5 miliarda dolarów. W tym czasie suma inwestycji francuskich równała się 0,6 miliarda dolarów, a niemieckich 0,5 miliarda dolarów. Inwestycje USA były mniejsze i ich wartość wynosiła 0,3 miliarda dolarów.

W Stanach Zjednoczonych zdawano sobie sprawę z potencjalnych korzyści ekspansji w Ameryce Łacińskiej, ale słabość gospodarcza i militarna USA długo nie pozwalały na jej rozwój. Jednak w okresach, gdy nie istniała groźba konfliktu z mocarstwami europejskimi,

podejmowano zdecydowane kroki dla rozszerzenia terytorium państwowego. Pierwszą ofiarą ekspansji terytorialnej Stanów Zjednoczonych padł Meksyk. Wykorzystując słabość tego kraju rząd USA doprowadził w 1845 roku do zaboru Teksasu, a następnie – w rezultacie spowodowanej przez ten akt wojny w latach 1846–1848 – dokonał aneksji ogromnych obszarów Meksyku, na których obecnie znajdują się stany Kalifornia, Newada, Utah, Arizona i częściowo Nowy Meksyk, Kolorado i Wyoming.

Aktywną politykę w rejonie Morza Karaibskiego rząd USA zaczął prowadzić po wojnie domowej (1861–1865), począwszy od lat osiemdziesiątych. Do końca XIX wieku przewaga wpływów brytyjskich w tym rejonie była jednak zachowana. Symbolem jej poważnego ograniczenia była dopiero interwencja dyplomatyczna USA w spór wenezuelsko-brytyjski w 1895 roku, a następnie zwycięska dla Stanów Zjednoczonych wojna z Hiszpanią w 1898 roku.

Po tych wydarzeniach, w przeciągu zaledwie jednego dziesięciolecia, cały rejon Morza Karaibskiego przeszedł w poważnej mierze pod wpływy Stanów Zjednoczonych. Tempo przemian było ogromne. W rezultacie wojny z Hiszpanią Stany Zjednoczone podporządkowały sobie Kubę i anektowały Puerto Rico. W 1901 roku zawarły z Wielką Brytanią korzystne dla siebie porozumienie (układ Claytona – Bulwera), dające im pełnię kontroli nad jakimkolwiek przyszłym kanałem międzyoceanicznym. W 1902 roku flota USA nadzorowała blokadę Wenezueli, prowadzoną wspólnie przez Wielką Brytanię, Niemcy i Włochy, co było ze strony mocarstw europejskich aktem uznania nowej roli Stanów Zjednoczonych w tym rejonie. W 1903 roku Wielka Brytania zlikwidowała swoje bazy morskie na tych wszystkich obszarach karaibskich, które do niej nie należały. Rząd brytyjski nie protestował też przeciwko oddzieleniu w 1903 roku Panamy od Kolumbii, spowodowanego akcją rządu Stanów Zjednoczonych, który w ten sposób pragnął usunąć wszelkie przeszkody w realizacji

projektu budowy Kanału Panamskiego i uzyskaniu pełnej nad nim kontroli.

W tym też okresie nastąpił powrót do doktryny Monroe. Stany Zjednoczone w drodze nowej interpretacji uznały ją za dokument podstawowy, który daje im specjalne „prawa" wobec państw latynoamerykańskich i zezwala na traktowanie półkuli zachodniej jako ich wyłącznej sfery wpływów. Doktryna Monroe stała się doktryną polityki ekspansjonizmu.

W początkach XX wieku w praktyce stosowano doktrynę głównie w rejonie Morza Karaibskiego. Do tego jedynie obszaru mogło się odnosić też butne oświadczenie sekretarza stanu R. Olneya, który stwierdził: „Obecnie Stany Zjednoczone są praktycznie suwerenem na tym kontynencie, a ich wola jest prawem w sprawach, w których interweniują".

Podobną wymowę miała deklaracja prezydenta Theodore'a Roosevelta z 1904 roku, uzasadniająca interwencjonizm USA: „Stan chronicznego bezprawia i bezwładu, który prowadzi do ogólnego rozluźnienia więzi właściwych społeczeństwom cywilizowanym, może w Ameryce, jak i wszędzie, wymagać interwencji ze strony jakiegoś cywilizowanego narodu. Przyjęcie przez Stany Zjednoczone doktryny Monroe może je zmusić, gdyby nawet były do tego niechętnie nastawione, do wykonywania na półkuli zachodniej funkcji policji międzynarodowej". W ten sposób przekształcono doktrynę Monroe w doktrynę interwencji.

W latach następnych działania USA w rejonie Morza Karaibskiego zyskały sobie miano „polityki dolara", „polityki kanonierek" lub „grubego kija". Jej apologeci woleli mówić o „polityce panamskiej". Różnice sprowadzają się do oceny motywów postępowania, które cechowała niezwykła brutalność. Wśród licznych przejawów tej polityki odnajdujemy akty jawnej interwencji w sprawy wewnętrzne małych państw tamtego rejonu, włączając w to interwencję zbrojną, okupację obcego terytorium

i narzucanie układów sankcjonujących ograniczenie suwerenności tych krajów. W rezultacie stosowania tego rodzaju metod Stanom Zjednoczonym udało się doprowadzić do faktycznego ujarzmienia formalnie niepodległych państw, do ustanowienia swoistej formy protektoratu nad nimi. Taki układ stosunków wymagał usprawiedliwienia i prawnego utrwalenia. Sama doktryna Monroe nie wystarczała. Była ona przecież tylko jednostronną deklaracją polityczną, która nie posiadała prawnej mocy obowiązującej nawet dla każdego kolejnego rządu USA. Wysiłki dyplomacji Stanów Zjednoczonych zmierzały do tego, by nadać doktrynie charakter międzynarodowy i uczynić ją częścią powszechnego prawa międzynarodowego. Taki był rzeczywisty cel propozycji wysuniętych przez delegację USA na konferencji paryskiej 1919 roku, które znalazły odzwierciedlenie w artykule 21 Paktu Ligi Narodów. Brzmiał on następująco: „Zobowiązania międzynarodowe takie, jak traktaty arbitrażowe i porozumienia regionalne, jak doktryna Monroe, zapewniające utrzymanie pokoju, nie są uważane za sprzeczne z postanowieniami niniejszego Paktu".

Metody i cele dyplomacji USA wywoływały sprzeciw rządów państw latynoamerykańskich. Domagały się one od rządu Stanów Zjednoczonych odejścia od doktryny Monroe w jej nowej interpretacji i uznania za obowiązującą w stosunkach ogólnoamerykańskich zasady nieinterwencji.

W okresie międzywojennym coraz większą rolę w latynoamerykańskiej polityce USA zaczyna odgrywać koncepcja panamerykanizmu. Początkowo panamerykanizm był ruchem czysto latynoamerykańskim. Narodził się w okresie walk o niepodległość. W obliczu wspólnego wroga przywódcy latynoamerykańscy głosili idee solidarności wszystkich kolonii. Ich przyszłość widziano często w zjednoczeniu w jeden organizm państwowy. Tego rodzaju projektów było bardzo wiele. Po uzyskaniu niepodległości próbę ich realizacji podjął Simon Bolivar, zwołując w 1826 roku kongres

kontynentalny w Panamie. Nie wszystkie istniejące wówczas państwa latynoamerykańskie uczestniczyły w nim, a podpisany układ „O trwałym sojuszu, lidze i konfederacji" nie został wprowadzony w życie. Niewielkimi sukcesami mogły poszczycić się również późniejsze kongresy.

Stany Zjednoczone w tych próbach nie uczestniczyły i początkowo zajmowały stanowisko obojętne wobec przyświecających państwom latynoamerykańskim idei. Stosunek USA do panamerykanizmu uległ zmianie w drugiej połowie XIX wieku. Rząd Stanów Zjednoczonych przejął wówczas inicjatywę w ruchu panamerykańskim i zorganizował w 1889 roku pierwszą konferencję panamerykańską w Waszyngtonie. Utworzono na niej tzw. Biuro Handlowe Republik Amerykańskich, którego celem było zbieranie i rozpowszechnianie informacji o handlu, produkcji i ustawodawstwie celnym. Początkowo Biuro było po prostu częścią Departamentu Stanu. Późniejsze konferencje nadały temu organowi bardziej międzynarodowy charakter i rozszerzyły zakres funkcji. W 1910 roku zmieniono nazwę Biura na Unia Panamerykańska.

Według rządu Stanów Zjednoczonych panamerykanizm miał odegrać w ich polityce latynoamerykańskiej rolę wyraźnie pomocniczą i wykonawczą w stosunku do doktryny Monroe. Konferencje panamerykańskie miały służyć umocnieniu ekspansji gospodarczej. W dziedzinie stosunków politycznych rząd USA pragnął zachować całkowitą swobodę postępowania. Dlatego też sprzeciwiał się umieszczaniu problemów politycznych na porządku dziennym obrad konferencji panamerykańskich. Dopiero na piątej konferencji w Santiago de Chile w 1923 roku udało się krajom latynoamerykańskim przełamać narzuconą im przez Stany Zjednoczone praktykę. Wówczas to, jak również na szóstej konferencji w Hawanie w 1928 roku, doszło do ostrych dyskusji na temat doktryny Monroe. Delegaci USA odmawiali rozpatrywania problemu nieinterwencji. Różnice stanowisk w tej kwestii doprowadziły do kryzysu w stosunkach ogólnoamerykańskich, który przejawił się

wyraźnie na siódmej konferencji w Montevideo w 1933 roku.

Dążąc do opanowania, tym razem już całej półkuli zachodniej, rząd Stanów Zjednoczonych zaczął w obliczu zdecydowanego stanowiska krajów latynoamerykańskich poszukiwać kompromisu. Pierwsze próby wyjścia z impasu, jaki powstał w stosunkach ogólnoamerykańskich na tle interpretacji doktryny Monroe w końcu lat dwudziestych, podjął rząd prezydenta Hoovera, publikując w 1930 roku specjalne memorandum na temat doktryny Monroe, podkreślając: „Doktryna nie ma zastosowania w stosunkach ogólnoamerykańskich. Nie jest ona również deklaracją zasad, które mają rządzić sprawami wewnętrzymi półkuli zachodniej. Doktryna dotyczy stosunków Stanów Zjednoczonych z Europą, a nie z Ameryką Łacińską".

Rząd Franklina D. Roosevelta poszedł jeszcze dalej i na konferencji ogólnoamerykańskiej w Buenos Aires w 1936 roku uznał bezwarunkowo zasadę nieinterwencji. W ten sposób przywrócono doktrynie Monroe pierwotną wykładnię, tyle że w zupełnie odmiennej sytuacji politycznej i gospodarczej, w której Stany Zjednoczone dzięki ekspansji gospodarczej posiadały możliwość wpływania na rozwój wewnętrzny krajów latynoamerykańskich za pomocą ekonomicznych środków nacisku i tworzącego się wówczas instytucjonalnego mechanizmu ogólnoamerykańskiego. Na konferencji w Buenos Aires rząd Stanów Zjednoczonych uzyskał od rządów latynoamerykańskich akceptację dla tzw. paktu konsultacyjnego. Jego artykuły 1 i 2 przewidywały podjęcie konsultacji w razie wybuchu wojny lub groźby wojny w celu „znalezienia środków pokojowej współpracy". Natomiast „w przypadku wojny poza Ameryką, która może zagrozić pokojowi republik amerykańskich, tego rodzaju konsultacje będą również miały miejsce w celu określenia właściwego czasu i formy, w jakiej strony, o ile tego zechcą, mogą ewentualnie współpracować dla zabezpieczenia pokoju na kontynencie amerykańskim".

W ten sposób, ustępując państwom Ameryki Łacińskiej

w sprawie zasady nieinterwencji, rządowi Stanów Zjednoczonych udało się wprowadzić zasadę konsultacji i tym samym stworzyć podstawę do „interwencji zbiorowej". W istniejącym bowiem międzynarodowym układzie sił na półkuli zachodniej zasada „interwencji zbiorowej" mogła oznaczać jedynie dalsze umocnienie dominacji USA w Ameryce Łacińskiej.

W latach następnych, zwłaszcza w okresie II wojny światowej, nastąpiła dalsza instytucjonalizacja stosunków ogólnoamerykańskich na podstawie osiągniętego kompromisu w Buenos Aires. Panamerykanizm stał się dominującą ideologią, usuwając doktrynę Monroe na plan dalszy. Jednakże dla przywódców politycznych Stanów Zjednoczonych znaczenie doktryny było w dalszym ciągu poważne, pozostając ulubionym „historycznym" argumentem w celu uzasadnienia wszelkich akcji na rzecz zachowania hegemonii USA w Ameryce Łacińskiej, przeciwko wpływom innych mocarstw.

# Hegemonizm USA lat pięćdziesiątych

## *Nowa sytuacja w stosunkach Stanów Zjednoczonych z Ameryką Łacińską po 1945 roku*

Wraz z zakończeniem działań wojennych na frontach II wojny światowej w stosunkach Stanów Zjednoczonych z krajami Ameryki Łacińskiej zaszły poważne zmiany. W przeszłości półkula zachodnia znajdowała się w centrum zainteresowania dyplomacji USA. W tym też rejonie koncentrowały się interesy gospodarcze północnoamerykańskiego imperializmu. Głoszona przez półtora wieku doktryna izolacjonizmu nigdy nie obejmowała Ameryki Łacińskiej.

Po zakończeniu II wojny światowej, w rezultacie osłabienia mocarstw europejskich i Japonii, Stany Zjednoczone zajęły główne, obok ZSRR, miejsce w stosunkach międzynarodowych. Ameryka Łacińska stała się dla USA jednym z wielu, i to wcale nie najważniejszym, elementów światowej równowagi sił. Zaangażowanie w sprawy europejskie i Dalekiego Wschodu, a przede wszystkim stała konfrontacja ze Związkiem Radzieckim sprawiły, że polityka wobec krajów latynoamerykańskich przestała zajmować w strategii USA miejsce priorytetowe.

Główną siłą napędową rozwoju powojennych stosunków międzynarodowych stała się rywalizacja, konfrontacja i współistnienie krajów socjalistycznych z kapitalistycznymi. Ona między innymi zadecydowała, że w ramach tych dwóch ugrupowań nastąpiła względna stabilizacja powiązań, a charakterystyczne dla okresu międzywojennego zjawisko zmienności sojuszów przestało występować. W świecie państw kapitalistycznych nastąpiło rozszerzenie wpły-

wów USA. Zajmując pozycję dominującą rząd Stanów Zjednoczonych nie mógł jednak sobie pozwalać na pełną obojętność wobec swych sojuszników i nie liczyć się zupełnie z ich interesami. Wprawdzie z racji swej przynależności ustrojowej nie mogli oni i nie chcieli w warunkach nasilenia konfrontacji zimnowojennej wyjść z istniejącego przymierza, ale mogli pozostawać w nim bądź jako chętni i efektywni sprzymierzeńcy, bądź też jedynie w charakterze biernych uczestników, na których nie można w pełni polegać w okresach napięć i kryzysów. Sojusznicy mogli więc być źródłem nie tylko siły, lecz również słabości, unikając bezpośredniego zaangażowania i ograniczając się jedynie do deklaracyjnego poparcia.

Przed II wojną światową jednym z podstawowych problemów dręczących dyplomację każdego wielkiego mocarstwa była kwestia utrzymania przy życiu istniejącego sojuszu i zapobieganie przechodzeniu jego uczestników na drugą stronę barykady. W okresie powojennym głównym zadaniem dla rządu Stanów Zjednoczonych w stosunkach wewnątrz świata kapitalistycznego stało się zapewnienie, by wszystkie państwa były aktywnymi uczestnikami konfrontacji zimnowojennej.

Przewaga gospodarcza, militarna i technologiczna dawała rządowi Stanów Zjednoczonych ogromne możliwości okazywania presji. Nie były one jednak nieograniczone. Nigdy w przeszłości koła rządzące USA nie posiadały tak dużej swobody podejmowania decyzji w polityce zagranicznej, lecz również ona nie była absolutna. Rząd Stanów Zjednoczonych musiał dostosowywać własną politykę do potrzeb swych sojuszników, pragnąc zabezpieczyć sobie ich maksymalne poparcie.

Charakter stosunków między krajami socjalistycznymi i kapitalistycznymi, wyrażający się przede wszystkim w tym, że źródłem konfrontacji były nie tylko różnice interesów narodowych, ale także odmienność ustrojowa i antagonizm klasowy sprawiły, że polityka zagraniczna Stanów Zjedno-

czonych zaczęła spełniać nowe funkcje. Jej naczelnym zadaniem stało się utrzymanie i umocnienie panującego systemu stosunków gospodarczo-społecznych w pozostałych krajach świata kapitalistycznego. Zakładało to głębokie zaangażowanie rządu USA w rozwój wewnętrzny jego sojuszników i rozszerzenie w związku z tym w niespotykanej dotychczas skali – płaszczyzny stosunków z nimi. W celu przeciwdziałania zmianom rewolucyjnym w świecie zachodnim stało się ważne nie tylko posiadanie wpływów w kołach rządzących poszczególnych państw, ale także i poza nimi, wśród partii politycznych, w związkach zawodowych, w organizacjach społecznych i religijnych, w masowych środkach przekazu, a więc w każdej niemal dziedzinie życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego tych państw. Polityka zagraniczna stała się dla klas rządzących USA instrumentem walki z możliwością rewolucji socjalistycznej, o zachowanie stosunków kapitalistycznych w otaczającym świecie.

Te dwa ściśle związane ze sobą aspekty działalności zewnętrznej rządu Stanów Zjednoczonych, w zależności od konkretnej sytuacji w każdym kraju, występowały stale w różnym natężeniu w stosunkach z sojusznikami. Zajmowały one również centralne miejsce w latynoamerykańskiej polityce USA.

Rezultaty II wojny światowej wpłynęły niekorzystnie na sytuację międzynarodową państw Ameryki Łacińskiej. Głównie z powodu wycofania się z tego rejonu mocarstw europejskich, co spowodowało, że Stany Zjednoczone osiągnęły pozycję quasimonopolisty w międzynarodowym obrocie gospodarczym krajów latynoamerykańskich. Jeszcze w 1938 roku 45,7% eksportu z Ameryki Łacińskiej szło na rynki europejskie. Największym wśród nich był rynek brytyjski, pochłaniający 17,1% eksportu latynoamerykańskiego. Udział w nim Stanów Zjednoczonych wynosił w tym czasie 31%. Podobnie przedstawiała się sytuacja w imporcie. Na towary europejskie przypadało 47%, w tym z Wiel-

kiej Brytani 11,7%. Udział towarów z USA w ogólnym imporcie rejonu kształtował się w granicach 35%.

Stany Zjednoczone posiadały najsilniejsze pozycje w handlu zagranicznym dwunastu krajów położonych w basenie Morza Karaibskiego (ponad 50% ich obrotów handlowych). Były to Meksyk, Kolumbia, Gwatemala, Honduras, Nikaragua, Salwador, Panama, Kuba, Haiti, Dominikana, Kostaryka i Wenezuela. Nawet wśród tych krajów, trzy z nich Kostaryka, Haiti i Dominikana były uzależnione bardziej od eksportu do Europy aniżeli do USA.

Stany Zjednoczone nie liczyły się praktycznie w handlu zagranicznym Argentyny, Boliwii, Paragwaju i Urugwaju (około 10% ich obrotów handlowych). W obrotach handlowych pozostałych krajów Ameryki Łacińskiej udział Stanów Zjednoczonych kształtował się w granicach 20 – 30% (Brazylia, Peru, Chile, Ekwador). Innymi słowy, Stany Zjednoczone dominowały w stosunkach handlowych krajów latynoamerykańskich w rejonie Morza Karaibskiego. Kraje położone bardziej na południe handlowały więcej z Europą.

Po II wojnie światowej Stany Zjednoczone zajęły wyjątkowo uprzywilejowaną pozycję w handlu zagranicznym krajów Ameryki Łacińskiej. W 1950 roku ich udział w latynoamerykańskim imporcie stanowił 47%, a w eksporcie 52%. Na Europę przypadało zaledwie 15% w imporcie i tyleż w eksporcie.

Podobne w charakterze zmiany zaszły w sferze inwestycji prywatnych. W 1940 roku największym inwestorem zagranicznym w Ameryce Łacińskiej pozostawała zdecydowanie Wielka Brytania, której wartość inwestycji oceniano na około 4,5 miliarda dolarów. Ówcześnie wartość prywatnych inwestycji północnoamerykańskich w tym rejonie wynosiła 3,8 miliarda dolarów, niemieckich 0,9 miliarda, francuskich 0,4 miliarda (dane orientacyjne). Tak samo jak w przypadku stosunków handlowych kapitał północnoamerykański był skoncentrowany głównie w rejonie Morza Karaibskiego (prawie dwie trzecie wszystkich inwestycji

Biblioteka Główna A

USA w Ameryce Łacińskiej), zwłaszcza na Kubie, w Meksyku i Wenezueli.

W czasie wojny Stany Zjednoczone wykorzystały trudności, z jakimi borykała się wówczas Wielka Brytania przy spłaceniu swych zakupów surowców i żywności, by korzystnie odkupić znaczną część przedsiębiorstw brytyjskich w Ameryce Łacińskiej. Po zakończeniu działań wojennych stan posiadania Wielkiej Brytanii w krajach latynoamerykańskich zmniejszał się w dalszym ciągu, podobnie jak i innych krajów europejskich. W 1946 roku wartość inwestycji brytyjskich w Ameryce Łacińskiej wynosiła 3,5 miliarda dolarów, w 1950 roku już tylko 2,5 miliarda. Do drugiej połowy lat pięćdziesiątych przestał się zupełnie liczyć kapitał niemiecki, zmalała również wartość inwestycji francuskich. W latach pięćdziesiątych aż 78% przypływu obcego kapitału do Ameryki Łacińskiej pochodziło ze Stanów Zjednoczonych. Pozycja inwestorów tego kraju stała się zdecydowanie dominująca. Wartość inwestycji północnoamerykańskich w tym rejonie wzrosła do 4,7 miliarda dolarów w 1950 roku i do 7,7 miliarda w 1958 roku.

II wojna światowa przyniosła więc korzystne dla imperializmu północnoamerykańskiego rozstrzygnięcia, zmieniając radykalnie na korzyść Stanów Zjednoczonych międzynarodowy układ sił w Ameryce Łacińskiej. W okresie międzywojennym, jak wynika z przytoczonych wyżej danych, supremacja gospodarcza USA nie była jeszcze przytłaczająca. W wielu dziedzinach wpływy europejskie pozostawały nawet dominującymi. Tak było np. w sferze stosunków wojskowych. W 1938 roku w państwach Ameryki Łacińskiej działały cztery niemieckie misje wojskowe, jedenaście włoskich, a tylko dziewięć ze Stanów Zjednoczonych. Europa była też głównym dostawcą uzbrojenia dla armii latynoamerykańskich.

Po 1945 roku europejskie wpływy gospodarcze i wojskowe zostały niemal całkowicie wyeliminowane z Ameryki Łacińskiej. Stany Zjednoczone stały się dla krajów tego rejonu pierwszym partnerem handlowym, głównym źródłem

finansowania zagranicznego, a północnoamerykańskie inwestycje prywatne zdecydowanie dominujące wśród innych zagranicznych. Przy czym zmiany w układzie sił w świecie kapitalistycznym sprawiły, że ta wyjątkowa pozycja USA w Ameryce Łacińskiej nie była nigdy zagrożona w okresie powojennym. W tych warunkach możliwości manewru, wykorzystywania sprzeczności interesów mocarstw imperialistycznych, próby zrównoważenia ich wpływów, a więc motywy, które występowały w polityce zagranicznej państw latynoamerykańskich w przyszłości, nie mogły w świecie powojennym odgrywać swej tradycyjnej roli. Powstała sytuacja, której rządy krajów Ameryki Łacińskiej starały się uniknąć w okresach poprzednich, zdając sobie sprawę, iż ścisłe związki ze Stanami Zjednoczonymi, w warunkach izolacji od pozostałego świata, oznaczają nie tylko hegemonię USA, lecz również określają jej charakter i czynią ją szczególnie uciążliwą.

## *Od Chapultepec do konferencji w Rio de Janeiro*

Nie od razu w stolicach latynoamerykańskich i w Waszyngtonie w pełni zdawano sobie sprawę z konsekwencji nowego międzynarodowego układu sił. Szczególnie, że w ostatnich miesiącach działań wojennych, gdy zwycięstwo Wielkiej Koalicji było już przesądzone i na plan pierwszy wysunął się problem organizacji powojennego świata, znaczenie państw Ameryki Łacińskiej dla Stanów Zjednoczonych wzrosło. Głównie w związku z pracami przygotowawczymi do konferencji w San Francisco i w trakcie jej obrad. Nic dziwnego, skoro państwa latynoamerykańskie stanowiły 40% wszystkich uczestników tej konferencji. Z tego powodu rząd Stanów Zjednoczonych czynił starania, by kraje latynoamerykańskie występowały z nim jako jeden blok w czasie opracowywania tekstu Karty Narodów Zjednoczonych. W tym celu zwołano 21 lutego 1945 roku

w pałacu Chapultepec w stolicy Meksyku specjalną konferencję ogólnoamerykańską; nie uczestniczyła w niej jedynie Argentyna. Występując na pierwszej sesji plenarnej sekretarz stanu E. Stettinius podkreślił potrzebę przeprowadzenia konsultacji na temat organizacji światowej przed konferencją w San Francisco oraz dał do zrozumienia, że rząd USA jest skłonny poprzeć koncepcję utworzenia organizacji regionalnej państw półkuli zachodniej.

Należy podkreślić, że w tym czasie w kołach rządzących USA, o czym kraje latynoamerykańskie wiedziały, nie było pełnej jasności co do przyszłego kształtu projektowanej organizacji regionalnej państw półkuli zachodniej i ogólnie w kwestii celowości jej utworzenia. Wywoływało to niepokój wśród rządów państw latynoamerykańskich. Rozczarowane w przeszłości do Ligi Narodów ze sceptyzmem i nieufnością odnosiły się one do powstającej Organizacji Narodów Zjednoczonych, obawiając się, iż będzie ona jedynie instrumentem polityki wielkich mocarstw, a rola krajów mniejszych będzie w niej marginesowa. Stąd presja na rząd USA, by w sposób jednoznaczny zadeklarował swoje poparcie dla idei organizacji regionalnej.

Wahania rządu Stanów Zjednoczonych w tej kwestii były spowodowane głównie niechęcią do podejmowania jakichkolwiek konkretnych zobowiązań przed konferencją w San Francisco. Chociaż wielkie mocarstwa na konferencji w Dumbarton Oaks w 1944 roku uzgodniły projekt statutu przyszłej organizacji światowej, było wiadomo, że wiele problemów z nią związanych będzie przedmiotem dalszych dyskusji w San Francisco, a wśród nich sporna kwestia statusu porozumień regionalnych w warunkach istnienia światowej organizacji bezpieczeństwa.

W 1945 roku nastąpiło więc chwilowe odwrócenie stanowisk. Rząd Stanów Zjednoczonych, który w okresie międzywojennym był głównym propagatorem idei silnej organizacji regionalnej na półkuli zachodniej, zajął pozycję wyczekującą. Wiele rządów latynoamerykańskich nato-

miast, które w przeszłości udaremniały realizację tej idei, zaczęło występować za wprowadzeniem jej w życie. Stanowisko rządów latynoamerykańskich opierało się na dwóch założeniach. Uważały one, że wiążąc się formalnymi więzami ze Stanami Zjednoczonymi umocnią swoją pozycję międzynarodową jako sojusznicy tego mocarstwa i zobowiążą go niejako do uprzywilejowanego ich traktowania oraz udzielenia zwiększonej pomocy gospodarczej. Podobne podejście wynikało również z przeświadczenia, że w nowych warunkach powojennego świata opieranie się dominacji USA nie posiada perspektyw.

Rząd Stanów Zjednoczonych, chcąc zapewnić jedność krajów latynoamerykańskich na konferencji w San Francisco, wyraził ostatecznie ogólne poparcie dla idei organizacji regionalnej i zajął kompromisowe stanowisko w kwestii argentyńskiej, o której będzie jeszcze mowa. W ten sposób doszło do uchwalenia tzw. deklaracji z Chapultepec, która zawierała zarys przyszłego ogólnoamerykańskiego systemu bezpieczeństwa.

Interesujące, że o ile w tym czasie rząd Stanów Zjednoczonych zdecydował się udzielić poparcia dla koncepcji ogólnoamerykańskiego systemu, jego stosunek do podobnych projektów w innych częściach świata był raczej negatywny. Gdy w styczniu 1944 roku Australia i Nowa Zelandia zawarły układ o pomocy wzajemnej, znany jako pakt ANZAC, w którym wyraziły przekonanie o potrzebie utworzenia „w ramach ogólnego systemu bezpieczeństwa strefy obrony regionalnej, obejmującej południowo-zachodnią i południową część Pacyfiku" i w związku z tym, zaproponowały zwołanie konferencji państw tego rejonu, Stany Zjednoczone określiły tę inicjatywę jako przedwczesną, podkreślając, iż zawarcie tego rodzaju układu może poważnie zaszkodzić w osiągnięciu światowego systemu bezpieczeństwa.

Niechętny stosunek do innych ugrupowań regionalnych wynikał z tego, iż Stany Zjednoczone, starając się o zapewnienie jak największej autonomii dla Unii Panamery-

kańskiej w ramach przyszłej organizacji światowej, pragnęły jednocześnie zachować zasadę jednomyślności wielkich mocarstw w przypadku innych organizacji regionalnych, by wywierać wpływ na ich działalność.

Stanowisko Stanów Zjednoczonych wobec regionalizmu było podyktowane między innymi interesami gospodarczymi. W odróżnieniu od pozostałych wielkich mocarstw sytuacja ekonomiczna USA była pomyślna i stwarzała dogodną bazę przyszłej ekspansji na rynkach światowych. Rezerwując sobie prawo do zawierania wszelkich porozumień z państwami półkuli zachodniej, rząd Stanów Zjednoczonych dążył jednocześnie do organizacji spraw gospodarczych reszty świata zgodnie z zasadą „żadnej dyskryminacji", co w istniejącym po 1945 roku układzie sił oznaczało w praktyce prawo swobodnego wejścia firm północnoamerykańskich na rynki światowe.

Dużą rolę odgrywały względy strategiczne. Połączony Komitet Sztabów Stanów Zjednoczonych wyraził opinię, iż system ogólnoamerykański powinien pozostać poza sferą wpływów organizacji światowej. Wyrażając stanowisko tego organu, podsekretarz stanu w Ministerstwie Wojny J. McCloy proponował, by zawrzeć ze wszystkimi stałymi członkami przyszłej Rady Bezpieczeństwa oddzielny protokół, w którym zobowiązaliby się oni do niekorzystania z prawa weta w sprawach dotyczących systemu ogólnoamerykańskiego. Jednocześnie McCloy postulował, by zachować możność stosowania tego prawa w przypadku konfliktów poza półkulą zachodnią.

Członkowie delegacji Stanów Zjednoczonych na konferencji w San Francisco zdawali sobie sprawę z trudności realizacji tych dwóch postulatów, z których jeden zakładał osłabienie zasady głównej odpowiedzialności ONZ w sprawach bezpieczeństwa, drugi natomiast przewidywał jej utrzymanie. Stąd też poszukiwano formuły kompromisowej.

Tak narodził się projekt senatora Vandenberga, członka delegacji Stanów Zjednoczonych na konferencję w San

Francisco, który postulował, by w przyszłej Karcie Narodów Zjednoczonych wydzielono specjalnie Unię Panamerykańską, dając jej między innymi prawo stosowania środków przymusu bez upoważnienia organizacji światowej. Wnioskodawca proponował więc nadanie systemowi ogólnoamerykańskiemu statusu specjalnego, odwołując się do następującej motywacji: „specjalne wydzielenie Unii Panamerykańskiej zabezpieczy prawnie istniejące układy bezpieczeństwa bez likwidacji zasady głównej odpowiedzialności [...] Rady Ligi [Rady Bezpieczeństwa — *T.K.*] i jednocześnie nie stworzy zachęty do powoływania do życia nowych niebezpiecznych regionalnych sfer wpływów".

Przedstawiony projekt wywołał długie dyskusje wśród członków delegacji USA. Widząc nikłe szanse uzyskania aprobaty na forum konferencji ostatecznie z niego zrezygnowano. Szczególnie, że dowiedziawszy się o nim delegaci państw arabskich domagali się, by w wypadku zamieszczenia wzmianki o deklaracji z Chapultepec w Karcie Narodów Zjednoczonych, podobnie uczyniono również w stosunku do Paktu Ligi Państw Arabskich. Nie chciała się z tym zgodzić ani delegacja brytyjska, ani Stanów Zjednoczonych.

Wycofując projekt Vandenberga nie zrezygnowano z dalszych poszukiwań podobnego rozwiązania. W tym kierunku czynione były wysiłki innych delegacji, a w szczególności państw latynoamerykańskich. Spory na ten temat doprowadziły do kryzysu w obradach konferencji. Ostatecznie udało się osiągnąć w sprawie statusu organizacji regionalnych porozumienie, co znalazło wyraz w artykule 51 i rozdziale VIII Karty Narodów Zjednoczonych. Postanowienia tych przepisów, będące w pewnym sensie kompromisem pomiędzy początkową koncepcją silnej organizacji światowej a naciskami politycznymi na konferencji w stronę regionalizmu, stworzyły prawne możliwości organizowania regionalnych systemów bezpieczeństwa zbiorowego.

Rządy latynoamerykańskie spodziewały się, iż po za-

kończeniu konferencji w San Francisco zostanie natychmiast utworzony tego rodzaju system na półkuli zachodniej. W październiku 1945 roku w Rio de Janeiro miała odbyć się w tej sprawie specjalna konferencja. Na niespełna trzy tygodnie przed ustalonym terminem rząd Stanów Zjednoczonych zażądał jednak jej odwołania, twierdząc, iż nie może przystąpić do żadnych układów z rządem argentyńskim.

I chociaż rzeczywiście stosunki między Buenos Aires a Waszyngtonem były w tym czasie w złym stanie, nie to jedynie było powodem, dla którego Stany Zjednoczone przesuwały przez najbliższe miesiące termin konferencji. Sprawy latynoamerykańskie zeszły w tym czasie, po prostu, na plan dalszy. Problemy powojennej Europy znalazły się w centrum zainteresowania dyplomacji USA. W Waszyngtonie rodziła się dopiero stopniowo nowa koncepcja polityki zagranicznej. Nie znano jeszcze wszystkich jej elementów, nie bardzo też wiedziano jaką rolę ma w niej odegrać dopiero co utworzona Organizacja Narodów Zjednoczonych. W tych warunkach, przy braku opracowanej całkowicie strategii światowej, trudno było decydować o rozwiązaniach regionalnych. Dopiero w miarę krystalizowania się głównych kierunków ogólnej polityki, zwłaszcza europejskiej i na odcinku stosunków z krajami socjalistycznymi, po proklamowaniu doktryny Trumana w marcu 1947 roku i planu Marshalla w czerwcu 1947 roku powrócono do spraw półkuli zachodniej.

2 września 1947 roku w Rio de Janeiro przedstawiciele 20 państw Ameryki Łacińskiej i rządu Stanów Zjednoczonych podpisali Ogólnoamerykański traktat o pomocy wzajemnej, zwany potocznie układem z Rio. W kwietniu 1948 roku na ogólnoamerykańskiej konferencji w Bogocie opracowano Kartę Państw Amerykańskich (OPA). Obydwa akty były kulminacyjnym momentem, wieńczącym wieloletnie wysiłki Stanów Zjednoczonych w instytucjonalizacji systemu ogólnoamerykańskiego.

Szczególne znaczenie posiada układ z Rio. Ustala on

dla jego stron dwa typy zobowiązań. Pierwszy dotyczy zbiorowego działania państw latynoamerykańskich i USA w wypadku napaści zbrojnej w rozumieniu artykułu 51 Karty Narodów Zjednoczonych. Układ przewiduje, że w tego rodzaju sytuacji wszystkie jego strony są zobowiązane do okazania natychmiastowej pomocy państwu napadniętemu. Rodzaj oraz wielkość pomocy są uzależnione od decyzji własnej każdego państwa. Wszyscy członkowie Organizacji Państw Amerykańskich są natomiast zobowiązani do zebrania się w możliwie najkrótszym czasie w celu podjęcia odpowiednich środków zbiorowych dla odparcia napaści.

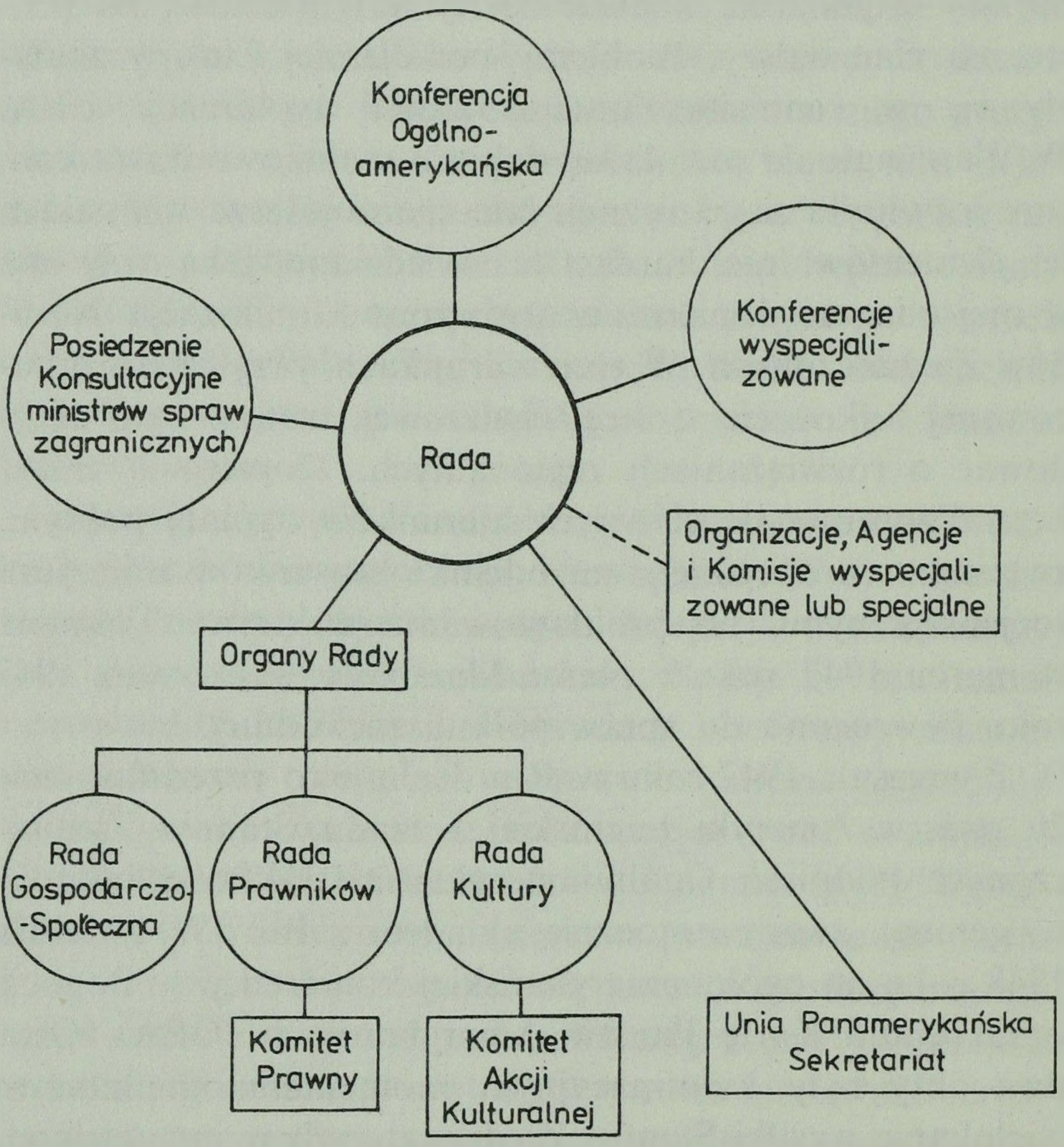


*I. Struktura Organizacji Państw Amerykańskich zgodnie z postanowieniami Karty OPA z 1948 roku*

Drugi typ zobowiązań obejmuje wszystkie inne akty, zagrażające międzynarodowemu pokojowi i bezpieczeństwu na półkuli zachodniej, które nie są napaścią zbrojną. W tego rodzaju sytuacjach strony są zobowiązane jedynie do konsultacji. Układ nie przewiduje możliwości podjęcia jakiejkolwiek uprzedniej akcji. Decyzją odpowiedniego organu w stosunku do winnego zagrożenia mogą być podjęte sankcje. Decyzja taka zapada większością głosów dwóch trzecich członków OPA.

Znaczenie zawarcia układu z Rio wykroczyło poza półkulę zachodnią. Stanowił on wzór dla późniejszych porozumień w rodzaju np. NATO i SEATO. Należy jednak podkreślić, że Organizacja Państw Amerykańskich, w odróżnieniu od wspomnianych układów, nie jest blokiem wojskowym. Nie posiada wspólnych sił zbrojnych ani też stałych organów koordynujących współpracę wojskową czy wspólnego dowództwa. Utworzona w 1942 roku Ogólnoamerykańska Rada Obrony dla koordynacji przygotowań na wypadek agresji ze strony państw Osi pozostała poza strukturą organizacyjną OPA.

Powołanie do życia tej organizacji oznaczało natomiast w praktyce sformalizowanie systemu dominacji USA w Ameryce Łacińskiej poprzez stworzenie wielostronnych instytucjonalno-prawnych mechanizmów jego funkcjonowania. Jej powstanie umożliwiło Stanom Zjednoczonym sprawowanie funkcji hegemona nie wyłącznie przez stosowanie środków nacisku gospodarczego i wykorzystywanie przewagi militarnej. A więc nie tylko przez odwołanie się do jednostronnej przemocy, lecz za pomocą wielostronnych zobowiązań, kolektywnie wspieranych siłą w wypadku ich naruszenia. Innymi słowy, nadano hegemonii sankcję prawnomiędzynarodową.

OPA stała się ważnym instrumentem polityki zagranicznej USA. W warunkach dominacji gospodarczo-militarnej Stanów Zjednoczonych na półkuli zachodniej wielostronny charakter jej dokumentów konstytucyjnych — Karty OPA i układu z Rio — był jedynie formalny.

32 Były one wielostronne w sensie odpowiedzialności, a nie w sensie uzyskiwanych korzyści, czyli inaczej – stały się one w praktyce źródłem obowiązków dla wszystkich państw członkowskich, natomiast źródłem praw jedynie dla jednego z nich.

## *Sprawa Argentyny*

W drugiej połowie lat czterdziestych i w początkach pięćdziesiątych najpoważniejszą przeszkodą dla dyplomacji USA w realizacji jej celów w Ameryce Łacińskiej było stanowisko rządu argentyńskiego. W przeszłości w Argentynie dominowały wpływy europejskie, zwłaszcza brytyjskie i taki stan trwał do 1945 roku. Rola Stanów Zjednoczonych w gospodarce argentyńskiej była niewielka. To pozwalało kolejnym rządom w Buenos Aires, wykorzystując sprzeczności mocarstw imperialistycznych, hamować ekspansjonizm USA i utrudniać uzyskanie przez to mocarstwo pozycji hegemona w całej Ameryce Łacińskiej, a w szczególności wśród państw położonych w dorzeczu rzeki La Plata i na zachodnim wybrzeżu. Istniejący konflikt między Buenos Aires a Waszyngtonem pogłębił się jeszcze w latach wojny. Argentyna przez prawie cały czas jej trwania zachowywała status neutralny. Stany Zjednoczone podjęty wówczas szereg kroków o charakterze sankcji, które miały na celu likwidację wpływów argentyńskich w Ameryce Łacińskiej i zmianę jej pozycji. Dzięki rozwiniętym stosunkom gospodarczym z Wielką Brytanią i niechęci tego mocarstwa do podejmowania aktów nieprzyjaznych wobec Argentyny, środki podjęte przez rząd USA okazały się mało skuteczne. Dopiero 27 marca 1945 roku rząd argentyński wypowiedział wojnę państwom Osi, przy czym Niemcom dlatego, że „są sojusznikiem Japonii", którą uznał za agresora za napad na Pearl Harbor. Pozwoliło to Argentynie na przystąpienie do deklaracji z Chapultepec oraz na udział w konferencji

w San Francisco, a tym samym w Organizacji Narodów Zjednoczonych. W kwietniu 1945 roku nastąpiło wznowienie stosunków dyplomatycznych między Stanami Zjednoczonymi i Argentyną.

Do normalizacji stosunków między Waszyngtonem a Buenos Aires przyczyniły się państwa latynoamerykańskie, które pragnęły usunąć wszelkie przeszkody na drodze do utworzenia systemu ogólnoamerykańskiego. Po konferencji w San Francisco w Stanach Zjednoczonych przewagę uzyskali jednakże przeciwnicy pojednania z Argentyną. Uważali bowiem, iż nie poniosła ona konsekwencji za swoje „nieposłuszeństwo" w okresie wojny oraz że należy doprowadzić do zasadniczej zmiany ekipy rządzącej w tym kraju. Aktywnie działał w tym kierunku ambasador USA w Buenos Aires S. Branden, który nie krył swej wrogości wobec rządu argentyńskiego, a szczególnie w stosunku do Juana Perona, który był wówczas wiceprezydentem i jedną z czołowych postaci w życiu politycznym kraju. W okresie wyborów 1946 roku w Argentynie rząd Stanów Zjednoczonych otwarcie zaangażował się po stronie przeciwników politycznych Perona. Chcąc doprowadzić do jego skompromitowania. Departament Stanu na dwa tygodnie przed wyborami opublikował „Niebieską księgę" stanowiącą wybór różnego rodzaju dokumentów, mających dowieść związków Perona i jego współpracowników z nazizmem. Podjęta akcja zakończyła się całkowitym fiaskiem. Peron wygrał zdecydowanie wybory.

Rząd argentyński próbował, w nowych warunkach powojennego świata, wskrzesić tradycyjną proeuropejską i antyjankesowską linię polityki zagranicznej. Na konferencji w Rio de Janeiro w 1947 roku delegacja argentyńska występowała za ograniczeniem opracowywanego traktatu o pomocy wzajemnej jedynie do przypadku napaści zbrojnej spoza półkuli zachodniej. Postulaty te zostały odrzucone, lecz Stany Zjednoczone ze swej strony były zmuszone ustąpić w sprawie obowiązkowego charakteru środków zbiorowych.

Rząd argentyński podpisał układ z Rio, ale tradycyjnie zwlekano w Argentynie z jego ratyfikacją. W czasie IX konferencji państw amerykańskich w 1948 roku w Bogocie stanowisko delegacji argentyńskiej sprawiło Stanom Zjednoczonym jeszcze większe kłopoty. Przedstawiciel Argentyny był autorem szeregu poprawek do opracowywanego na konferencji tekstu Karty OPA, które spotkały się z poparciem innych delegacji, szczególnie w sprawie nieinterwencji. Był on również jednym z tych delegatów latynoamerykańskich, którzy domagali się podjęcia rezolucji w kwestii prawa do samostanowienia dla europejskich posiadłości kolonialnych w Ameryce Łacińskiej. Wprawili tym w zakłopotanie Stany Zjednoczone, które obawiały się niekorzystnych implikacji tego rodzaju postanowień na rozwój ich stosunków z Europą Zachodnią. Przyjęta na konferencji, z inicjatywy rządu USA tzw. antykomunistyczna deklaracja, została w ostrych słowach skrytykowana przez ówczesnego ministra spraw zagranicznych Argentyny Bramuglię, który stwierdził między innymi: „Komunizmu nie powstrzyma się przez podejmowanie rezolucji, lecz przez poprawę warunków życia naszych narodów, wyzyskiwanych przez klasy uprzywilejowane".

Argentyński minister nie bronił komunizmu i krytykował go na równi z „imperialistycznym kapitalizmem". Wzywał on inne państwa latynoamerykańskie do podążania „drogą pośrednią sprawiedliwości społecznej, reprezentowaną przez rząd Perona".

Na tej samej konferencji delegacja Argentyny zaproponowała utworzenie „bloku łacińskiego", w którego skład wchodziłyby kraje Ameryki Łacińskiej i zachodnioeuropejskie. Miał on być nowym elementem w stosunkach międzynarodowych, co było zgodne z lansowaną wówczas przez Perona koncepcją „trzeciej pozycji" („tercera posición").

Co dokładnie miało składać się na treść „trzeciej pozycji" nie wiadomo, ponieważ przedstawiciele rządu argentyńskiego unikali bliższego jej sprecyzowania. W roz-

mowie z ambasadorem USA w Buenos Aires w kwietniu 1948 roku Peron twierdził, że nie należy jej ujmować w sensie politycznym, a jedynie gospodarczym. Zapewniał również, iż nie oznacza ona zajęcia przez Argentynę stanowiska neutralnego w przypadku konfliktu Stanów Zjednoczonych ze Związkiem Radzieckim, że ma znaczenie tylko w okresie pokoju. Podkreślał jej antykomunistyczny charakter tłumacząc, że najlepszym sposobem walki z komunizmem jest, jak się dosłownie wyraził, „przekupienie" klasy robotniczej w drodze podwyżki płac i poprawy warunków życiowych.

Argumenty Perona nie uspokajały rządu USA. W opracowaniach wewnętrznych Departamentu Stanu w końcu lat czterdziestych peronizm określano jako największe niebezpieczeństwo dla interesów Stanów Zjednoczonych w Ameryce Łacińskiej, większe aniżeli latynoamerykański ruch komunistyczny. Stąd też wspomniana już „antykomunistyczna" deklaracja, którą uchwalono na konferencji w Bogocie, została sformułowana celowo w taki sposób, by można było ją odczytywać również jako krytykę rządu argentyńskiego, ponieważ zawierała potępienie komunizmu jako jednej z form ustroju totalitarnego. A było to oskarżenie, które często wysuwano pod adresem rządu Perona. Nic dziwnego, że delegat argentyński zareagował na nią tak gwałtownie.

Szczególny niepokój dyplomacji USA budziły próby rządu argentyńskiego, zmierzające do rozszerzenia wpływów w Ameryce Łacińskiej. Przy czym Peron dla uzyskania tego celu nie ograniczał się do stosowania środków politycznych i gospodarczych. Dążył również do podporządkowania sobie latynoamerykańskich central związków zawodowych. Przy argentyńskich przedstawicielstwach dyplomatycznych stworzono specjalne stanowisko „attaché do spraw pracy" (agregado laboral). W 1953 roku udało się doprowadzić do powołania ogólnokontynentalnej peronowskiej centrali związków zawodowych „ATLAS". Stany Zjednoczone przeciwdziałały temu za pomocą własnych

związków zawodowych. Wzorem Argentyny posyłały również do krajów Ameryki Łacińskiej „attaché do spraw pracy" (labor attaché).

W walce o wpływy w państwach latynoamerykańskich Peron dążył do zrealizowania tradycyjnej koncepcji bloku ABC, czyli sojuszu Argentyny, Brazylii i Chile, co byłoby w przypadku powodzenia poważnym ciosem w hegemonię USA. Rząd argentyński był bliski urzeczywistnienia swego zamysłu, zwłaszcza w 1952 roku, gdy wybory prezydenckie w Brazylii i Chile wygrali Vargas i Ibanez, którzy zobowiązali się podobno w zamian za udzieloną im przez Perona pomoc poprzeć koncepcję sojuszu.

Przeciwdziałanie rządowi Stanów Zjednoczonych okazało się w tym wypadku skuteczne. Brazylię udało się utrzymać w obozie USA i doprowadzić do zaostrzenia antagonizmu brazylijsko-argentyńskiego o wpływy w sąsiadujących państwach, co spowodowało, że plan Perona nie został ostatecznie zrealizowany. W 1953 roku dochodzi wprawdzie do podpisania układu argentyńsko-chilijskiego o przyjaźni i unii gospodarczej, lecz potępienie go przez Brazylię przesądzało o dalszych losach całej koncepcji.

Próby utworzenia pod egidą peronowskiej Argentyny bloku państw Ameryki Łacińskiej z sympatią śledziła Wielka Brytania i przypuszczalnie udzielała im skrytego popracia. W wyniku II wojny światowej jej pozycja w Argentynie uległa osłabieniu i stosunki handlowe angielsko-argentyńskie przechodziły przez okresy poważnego zastoju o przykrych dla Anglii następstwach (Argentyna podbijała ceny mięsa), a w płaszczyźnie politycznej spór o wyspy Malwiny (Falklandzkie) często zaogniał atmosferę. Pomimo tego wydaje się, że w opinii dyplomacji brytyjskiej rozwój wpływów peronowskich w Ameryce Łacińskiej był oceniany jako jedyna możliwość zahamowania ekspansji północnoamerykańskiej i zachowania pozycji brytyjskich w tym rejonie. Możliwości Wielkiej Brytanii były niewielkie. Borykała się z poważnymi trudnościami gospodarczymi, a jej imperium kolonialne przeżywało ostry kryzys. Natomiast Stany Zjednoczone aktywnie przeciwdziałały polityce Pero-

na. Nie czyniły tego jednak otwarcie. Po doświadczeniach z wyborami 1946 roku rząd USA był już ostrożniejszy. W warunkach ogólnego wzrostu napięcia międzynarodowego w Europie wyraźnie nie chciano zaostrzenia stosunków z Buenos Aires i przyjęto taktykę unikania jawnych polemik. Szczególnie, że mogłoby to wywołać trudności również w stosunkach z innymi krajami latynoamerykańskimi. Argentyna nie była w Ameryce Łacińskiej w izolacji. Jej stanowisko spotkało się z sympatią w wielu krajach tego rejonu, chociaż jednocześnie odnosiły się one często z niechęcią do argentyńskich ambicji odgrywania wśród państw latynoamerykańskich roli przywódcy.

Wydaje się, iż ogólnie w kołach rządzących USA przeważyła opinia, że Stany Zjednoczone mogą sobie pozwolić na spokojne reagowanie wobec posunięć argentyńskich oraz, że w istniejącej sytuacji czas działa na niekorzyść Perona. W memorandum wewnętrznym, przygotowanym w Departamencie Stanu w styczniu 1948 roku, wyraźnie podkreślano, że nie należy wdawać się w spory z rządem argentyńskim z powodu jego latynoamerykańskiej polityki. Przy czym oceniano ją jako pozbawioną realizmu i nie mającą szans na ostateczne powodzenie. Zamiast bezpośredniego kontrolowania międzynarodowych posunięć peronistów, proponowano w memorandum inne podejście, obliczone na uzyskanie bardziej trwałych efektów. Zalecano, by „dla pozyskania Argentyny [...] zwiększyć oddziaływanie na argentyńskie siły zbrojne" oraz postulowano wykorzystanie zależności Europy Zachodniej od USA przeciwko polityce argentyńskiej.

Peron pokładał duże nadzieje w rozwoju stosunków z krajami zachodnioeuropejskimi, zwłaszcza w sferze gospodarczej, co miało stanowić materialne zabezpieczenie dla jego samodzielności. Posiadając tak silny instrument nacisku, jakim był plan Marshalla, rząd USA mógł z powodzeniem hamować aktywność Argentyny na tym odcinku i tym samym osłabiać jej pozycję międzynarodową.

Argentyńska próba prowadzenia samodzielnej polityki

zagranicznej zakończyła się niepowodzeniem. Jedną z głównych przyczyn było pogorszenie się w początkach lat pięćdziesiątych koniunktury gospodarczej Argentyny. Niekorzystna była również dla polityki Perona ogólna sytuacja międzynarodowa. Jego nadzieje na wygrywanie sprzeczności między Wschodem a Zachodem okazały się złudne. Nie sprawdziły się także przewidywania dotyczące rozwoju stosunków z krajami europejskimi. Borykając się z trudnościami gospodarczymi Argentyna utraciła zdolność ekspansji w krajach Ameryki Łacińskiej. Przestała być dla nich atrakcyjnym partnerem. W rezultacie wzrostu wydatków rządowych, między innymi na wypłatę odszkodowania dla brytyjskich właścicieli za znacjonalizowane koleje, argentyńskie rezerwy złota i dewiz topniały w błyskawicznym tempie. W grudniu 1945 roku wynosiły one około 1,2 miliarda dolarów, w czerwcu 1948 roku już tylko 202 miliony.

W efekcie zmian w światowym układzie sił Argentyna stawała się coraz bardziej zależna gospodarczo od Stanów Zjednoczonych. Udział tego mocarstwa w argentyńskim handlu zagranicznym wzrastał systematycznie, co ilustruje poniższa tabela.

**1. Udział USA i Wielkiej Brytanii w handlu Argentyny (w %)**

| Rok | Eksport | | Import | |
|---|---|---|---|---|
| | USA | Wielka Brytania | USA | Wielka Brytania |
| 1913 | 5 | 24 | 15 | 31 |
| 1937 | 13 | 29 | 11 | 21 |
| 1948 | 10 | 28 | 37 | 13 |
| 1953 | 21 | 21 | 31 | 6 |

Obiektywna sytuacja zmuszała niejako Perona do szukania zbliżenia z rządem USA. W maju 1950 roku Stany Zjednoczone zgadzają się na udzielenie mu kredytów. W miesiąc później Argentyna ratyfikowała układ z Rio. W czasie wojny koreańskiej peroniści już mniej mówili o „trzeciej pozycji". W lipcu 1953 roku złożył wizytę

w Argentynie brat prezydenta USA Milton Eisenhower. Od tego momentu wyciszano wszelkie akcenty propagandowe przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Stawka dyplomacji USA na wojskowych argentyńskich przyniosła efekty. Po obaleniu przez nich we wrześniu 1955 roku rządu Perona polityka zagraniczna Argentyny traci swą niezależność.

Przełamanie oporu Argentyny miało duże znaczenie dla dalszego rozwoju stosunków krajów Ameryki Łacińskiej ze Stanami Zjednoczonymi. Dla rządów latynoamerykańskich niepowodzenia polityki Perona były dowodem, że w warunkach powojennego świata nie mają one innego wyboru, jak tylko pozostanie w sojuszu z rządem USA.

## *Zimna wojna na półkuli zachodniej*

Polityka Stanów Zjednoczonych wobec państw Ameryki Łacińskiej nie była oderwanym fragmentem ich ogólnego programu działania na arenie międzynarodowej; przeciwnie, była ściśle podporządkowana celom ogólnej strategii, odzwierciedlającym dążenie do sprawowania przywództwa w świecie. Jej istota wyrażała się ogólnie w antykomunizmie, a konkretnie w polityce wymierzonej przeciwko Związkowi Radzieckiemu i innym państwom socjalistycznym. Dla uzasadnienia nowej strategii stworzono mit zagrożenia zewnętrznego, reprezentowanego jakoby przez „agresywne dążenia" polityki ZSRR oraz zagrożenia wewnętrznego wywołanego działalnością ruchu komunistycznego. Teza o podwójnym zagrożeniu uzasadniała jednocześnie potrzebę konsolidacji świata kapitalistycznego dla wspólnej obrony jego interesów oraz konieczność uzasadniania kierownictwa Stanów Zjednoczonych w tym świecie jako najpotężniejszego jego ogniwa. Tym bardziej, że za najlepszą taktykę uznano wówczas, jak pisał jeden z jej teoretyków G. Kennan: „politykę zdecydowanego powstrzymywania, zakładającą użycie niezmiennych sił przeciwdziałania w konfrontacji

z Rosjanami w każdym miejscu, gdzie przejawią zamiar naruszenia interesów pokojowego i ustabilizowanego świata".

W tym duchu formułowano również politykę wobec Ameryki Łacińskiej, nie starając się nawet zbytnio o jej adaptację do warunków regionalnych. Typową dla tego okresu była wypowiedź pomocnika sekretarza stanu E. Millera, który w 1950 roku stwierdził: „Istota sytuacji na półkuli zachodniej polega obecnie na tym, że 21 państw amerykańskich stoi w obliczu niebezpieczeństwa komunistycznej agresji politycznej".

Szczególne znaczenie posiadała dla rządu USA pozycja państw Ameryki Łacińskiej w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Stanowiły one dużą liczebnie grupę i mając zapewnione ich pełne poparcie Stany Zjednoczone mogły ze spokojem oczekiwać na wyniki każdego głosowania na sesjach Zgromadzenia Ogólnego. Kraje latynoamerykańskie podporządkowywały się ściśle instrukcjom delegacji USA i w ten sposób stały się jednym z głównych elementów osławionej „maszynki do głosowania". Ich rola na forum ONZ wpłynęła niewątpliwie na stosunek do nich krajów socjalistycznych. W rozmowie z dziennikarzem „Prawdy" wiosną 1951 roku J. W. Stalin w następujący sposób scharakteryzował politykę państw Ameryki Łacińskiej: „Nie tylko Stany Zjednoczone i Kanada dążą do rozpętania nowej wojny, lecz na tej drodze znajduje się również 20 krajów Ameryki Łacińskiej, w których obszarnicy i kupcy pożądają nowej wojny, ażeby sprzedawać wojującym krajom towary po wyśrubowanych cenach i zarobić na tym krwawym przedsięwzięciu. Dla nikogo nie jest tajemnicą fakt, że 20 przedstawicieli 20 krajów Ameryki Łacińskiej stanowi obecnie najbardziej zwartą i posłuszną armię Stanów Zjednoczonych w ONZ".

Czy jednak uzyskując akceptację państw latynoamerykańskich dla swej polityki światowej udało się Stanom Zjednoczonym osiągnąć wszystko to, co chciały?

Wydaje się, że jedynie częściowo. Pomimo bowiem

stałej presji ze strony rządu Stanów Zjednoczonych uczestnictwo państw Ameryki Łacińskiej w konfrontacji Wschód – Zachód nigdy nie było pełne. Przykład reakcji rządów latynoamerykańskich na wojnę koreańską jest wymowny z tego punktu widzenia.

Poparły one stanowisko rządu USA w ONZ. Zgodziły się również na zwołanie IV konferencji konsultacyjnej OPA w 1951 roku w celu rozpatrzenia problemów wynikłych w związku z konfliktem w Korei. Na konferencji uchwalono jednomyślnie deklarację waszyngtońską, zawierającą akceptację rządów latynoamerykańskich dla polityki USA, a w szeregu rezolucjach zalecono intensyfikację współpracy na rzecz obrony półkuli zachodniej.

Rząd Stanów Zjednoczonych nie osiągnął jednak tego wszystkiego, czego oczekiwał. Przyjęte uchwały nie stwarzały bowiem żadnych nowych zobowiązań dla członków OPA, lecz jedynie potwierdzały już istniejące na mocy układu z Rio. Tymczasem rząd USA miał nadzieję, iż w warunkach napiętej sytuacji międzynarodowej uda mu się zapoczątkować proces przekształcenia OPA w blok militarny w rodzaju NATO. Jedynie rząd Kolumbii odpowiedział na wezwanie prezydenta Trumana i posłał batalion swoich wojsk do Korei. Inne rządy latynoamerykańskie wolały unikać bezpośredniego uczestnictwa w wojnie. Ich udział w konfrontacji zimnowojennej był najczęściej rezultatem negocjacji dwustronnych, prowadzonych zgodnie ze swoiście pojętą zasadą wzajemności: pomoc gospodarcza jako wynagrodzenie za udzielenie poparcia dla polityki „powstrzymywania" komunizmu.

Ten pragmatyczny stosunek budził rozczarowanie w Stanach Zjednoczonych, których koła rządzące były dalekie od zadowolenia z faktu, że – jak obrazowo to ujmował na łamach „Harper's Magazine" w kwietniu 1955 roku były współpracownik Departamentu Stanu L.J. Halle – „system ogólnoamerykański ulega degeneracji w zwykły plac targowy, na którym nasi sąsiedzi, nie poczuwając się już dzisiaj do współpracy w imię wspólnej sprawy,

starają się wytargować takie subwencje, jakie tylko mogą otrzymać w zamian za swoje głosy".

Dla większej mobilizacji rządów latynoamerykańskich przywódcy polityczni USA uciekali się do stwarzania atmosfery zagrożenia. W kilka dni po objęciu władzy przez prezydenta Eisenhowera nowy sekretarz stanu J.F. Dulles nie zawahał się stwierdzić, że widzi analogię między istniejącymi warunkami w Ameryce Łacińskiej a sytuacją w Chinach w latach trzydziestych, w okresie tworzenia się tam ruchu komunistycznego. Dlatego też, według Dullesa, nie należało zwlekać, lecz przystąpić do energicznego działania, by „rozprawić się z rosnącym niebezpieczeństwem w Ameryce Południowej"

Dowodem istnienia niebezpieczeństwa był, według rządu USA, rozwój wydarzeń w Gwatemali. Kryzys w stosunkach tego kraju ze Stanami Zjednoczonymi narastał stopniowo od drugiej połowy lat czterdziestych. W oficjalnych oświadczeniach rządu USA starano się uzasadnić wrogość wobec władz gwatemalskich oskarżeniami o tolerancyjność wobec miejscowej partii komunistycznej (Gwatemalskiej Partii Pracy), a także o poddawanie się jej wpływom. W duchu typowej dla tego okresu zimnowojennej argumentacji przedstawiciele rządu USA wysuwali również tezę o istnieniu jakoby możliwości przekształcenia Gwatemali w kraj zależny od Związku Radzieckiego, a tym samym powstania zagrożenia dla bezpieczeństwa wszystkich krajów Ameryki Środkowej i Kanału Panamskiego.

Niewiele natomiast pisano w Stanach Zjednoczonych o głębokich przeobrażeniach wewnętrznych, zainicjowanych przez prezydenta J. Arévalo, który objął władzę w 1945 roku po obaleniu rok wcześniej jednego z najbardziej okrutnych dyktatorów J. Ubico. Rząd Arévalo dokonał prawdziwie rewolucyjnych zmian: zniósł pracę przymusową, wprowadził postępowy kodeks pracy, stworzył system ubezpieczeń społecznych, podjął kroki w celu upowszechnienia oświaty. W okresie prezydentury Arévalo zajęto się również

problemem Indian, zorganizowano siły zbrojne i opracowano plany likwidacji wielkiej własności ziemskiej.

Jego następca J. Arbenz, który objął władzę w 1951 roku, kontynuował dzieło swego poprzednika. Za główny cel działalności swego rządu uznał przekształcenie Gwatemali w nowoczesne, niezależne gospodarstwo państwowe, pozbawione pozostałości feudalnych. Pierwszym krokiem dla jego osiągnięcia miała być realizacja uchwalonej w lipcu 1952 roku ustawy o reformie rolnej. Przewidywała ona podział wywłaszczonej ziemi wśród 300 tysięcy rodzin chłopskich.

Przeciwko ustawie protestowały ostro towarzystwa północnoamerykańskie działające w Gwatemali, zwłaszcza United Fruit Company, która posiadała w tym kraju około 160 tysięcy ha ziemi. Występowała ona nie tylko przeciwko zapowiadanemu wywłaszczeniu, ale także przeciwko formom jego realizacji. Sumy odszkodowań bowiem rząd gwatemalski ustalał na podstawie danych o wartości ziemi, podanych przez właścicieli do celów podatkowych. Stosunki władz gwatemalskich z towarzystwami północnoamerykańskimi układały się źle już w okresie rządów Arévalo. Takie reformy, jak ustawodawstwo pracy, ubezpieczenia społeczne wywołały niezadowolenie przedstawicieli północnoamerykańskiego biznesu, przyzwyczajonych do łatwych i wysokich zysków kosztem bezlitosnej eksploatacji miejscowej ludności. Od samego początku rząd Stanów Zjednoczonych udzielał prywatnym interesom swych obywateli w Gwatemali pełnego poparcia. W pewnym momencie ambasador USA w tym kraju w rozmowie z prezydentem Arévalo miał się nawet wyrazić: „Zrobię wszystko, by wasz kraj nie otrzymał ani jednej pary butów, ani jednego centa od mojego rządu, dopóki pan nie zaprzestanie prześladować towarzystw amerykańskich".

Wykorzystując fakt, że Gwatemalska Partia Pracy popierała program Arbenza i uczestniczyła w jego realizacji, w Stanach Zjednoczonych rozpętano gwałtowną kampanię

propagandową, której głównym motywem było oskarżenie władz gwatemalskich o komunizm.

W 1954 roku rząd USA zdecydował się na podjęcie przeciwko Gwatemali akcji dyplomatycznej na forum ogólnoamerykańskim. Udając się do Caracas na X ogólnoamerykańską konferencję, Dulles pragnął uzyskać u przedstawicieli rządów latynoamerykańskich zgodę na odstąpienie od zasady nieinterwencji w wypadku rewolucji socjalistycznej na półkuli zachodniej. Chciał również, by konferencja podjęła konkretne kroki przeciwko rządowi gwatemalskiemu. Jeszcze w trakcie prac przygotowawczych do konferencji okazało się jednak, że delegaci państw Ameryki Łacińskiej odmiennie interpretują rozwój wydarzeń w Gwatemali i są zdecydowanie przeciwni włączeniu problemu gwatemalskiego do porządku dziennego obrad. W tej sytuacji delegacja Stanów Zjednoczonych przedstawiła projekt rezolucji, która ogólnie kwalifikowała „dominację lub kontrolę instytucji politycznych jakiegokolwiek państwa amerykańskiego przez międzynarodowy ruch komunistyczny" jako zagrożenie pokoju, a więc powód do wszczęcia kroków przewidzianych układem z Rio.

Projekt rezolucji spotkał się z niechęcią większości przedstawicieli Ameryki Łacińskiej. Jak przyznano w sprawozdaniu delegacji USA: „wyrażano szczere zaniepokojenie, że deklaracja zawarta w projekcie rezolucji może być interpretowana jako powód do interwencji w prawdziwie wewnętrzne sprawy każdego państwa amerykańskiego".

Ostatecznie w rezultacie zastosowania gróźb oraz udzielenia obietnicy rozważenia postulatów gospodarczych projekt rezolucji został zaaprobowany siedemnastoma głosami przeciwko jednemu (Gwatemala), przy dwóch głosach wstrzymujących się (Argentyna, Meksyk).

Uchwalenie rezolucji było w istocie dla rządu Stanów Zjednoczonych „pyrrusowym zwycięstwem". Kosztem powszechnego oburzenia, powstałego w rezultacie zastosowania brutalnego nacisku, rząd USA otrzymał deklarację

wątpliwej wartości. Nie rozszerzyła ona zobowiązań wynikających z Karty OPA czy układu z Rio. Deklaracja zawierała potępienie „działalności międzynarodowego ruchu komunistycznego jako stanowiącej akt interwencji w sprawy amerykańskie". Delegaci latynoamerykańscy nie zgodzili się jednak, by w przypadku, gdy powstanie tego rodzaju zagrożenie, istniał automatyzm przeciwdziałania, lecz jedynie na „zwołanie spotkania konsultacyjnego w celu rozpatrzenia odpowiednich środków zgodnie z odpowiednimi układami".

Dla uniknięcia wszelkich wątpliwości co do zakresu podjętych zobowiązań państwa Ameryki Łacińskiej wymogły włączenie do tekstu omawianego dokumentu ważnego zastrzeżenia: „Niniejsza deklaracja [...] ma na celu ochronę oraz zapewnienie nienaruszalnego prawa każdego państwa amerykańskiego do swobodnego wyboru własnej formy rządu i systemu gospodarczego, a także społecznego i kulturalnego stylu życia".

Nie mogąc wykorzystać Organizacji Państw Amerykańskich dla obalenia rządu Arbenza, Stany Zjednoczone podjęły działania jednostronne. Zaczęto od dostaw zwiększonych ilości uzbrojenia do sąsiadujących z Gwatemalą Hondurasu i do Nikaragui. Jednocześnie, za pośrednictwem agencji wywiadowczej CIA, nawiązano kontakt ż gwatemalskimi politykami opozycyjnymi, którzy przebywali na emigracji w tych dwóch krajach. W czerwcu 1954 roku grupa uzbrojonych emigrantów gwatemalskich dokonała inwazji z terytorium Hondurasu i z wyraźną pomocą USA doprowadziła do upadku rządu Arbenza.

Postępowanie Stanów Zjednoczonych wobec Gwatemali wzbudziło prawie powszechną krytykę w Ameryce Łacińskiej. Wiele rządów nie widziało w rozwoju sytuacji w Gwatemali zagrożenia dla swych interesów. Wysuwane przez rząd USA oskarżenia były traktowane w Ameryce Łacińskiej bądź jako nieuzasadnione, bądź też jako wyolbrzymione. Wzrosły natomiast wśród państw latynoamerykańskich obawy przed powrotem Stanów Zjednoczo-

nych do polityki interwencji z początku naszego stulecia.

Dokonując oceny wydarzeń 1954 roku w Gwatemali, wydaje się, iż należy podkreślić dwa związane ze sobą aspekty problemu. Nie ulega wątpliwości, że bezpośrednią przyczyną wrogości rządu Stanów Zjednoczonych wobec prezydenta Arbenza był jego program reform, zagrażający w sposób istotny interesom północnoamerykańskich towarzystw, a w szczególności United Fruit Company. W tym sensie naród gwatemalski padł ofiarą systemu zależności gospodarczej, narzuconego przez imperializm USA. To stwierdzenie nie wyczerpuje jednakże oceny istoty wydarzeń 1954 roku. Rząd Eisenhowera bowiem, występując jako obrońca interesów kapitału prywatnego swych obywateli, motywował swe postępowania względami polityki światowej. Trudno obecnie stwierdzić, w jakim stopniu obawiano się w Waszyngtonie przejęcia władzy w Gwatemali przez komunistów i czy w ogóle taka ewentualność była poważnie brana pod uwagę. Wydaje się natomiast, iż w panującej wówczas atmosferze koła rządzące Stanów Zjednoczonych, osądzając program reform rządu gwatemalskiego, zakwalifikowały go nie tylko jako zagrożenie konkretnych interesów kapitału prywatnego USA za granicą bądź jako osłabienie wpływów Stanów Zjednoczonych w Gwatemali lub nawet w Ameryce Środkowej, lecz również jako groźbę dla swej pozycji międzynarodowej w konfrontacji Wschód – Zachód. Innymi słowy, jako zmianę światowego układu sił na niekorzyść USA. Gwatemala była więc też ofiarą zimnej wojny, a konkretnie zimnowojennej polityki Stanów Zjednoczonych.

Tego rodzaju podejście było logiczną konsekwencją ówczesnej filozofii stosunków międzynarodowych, wyznawanej przez przywódców politycznych Stanów Zjednoczonych. Sekretarz stanu Dulles, podobnie jak jego poprzednik D. Acheson, był przeświadczony, iż możliwość negocjacji ze Związkiem Radzieckim zaistnieje jedynie wtedy, gdy światowy układ sił będzie się kształtował zdecydowanie na korzyść Zachodu. Do tego czasu, jego zdaniem należało

rozwijać potęgę i wzmacniać jedność świata zachodniego. Przy czym, według Dullesa, niezbędnym tego warunkiem było stałe utrzymywanie określonego stopnia napięcia międzynarodowego. Jak zwierzył się jednemu ze swych współpracowników z Departamentu Stanu: „Jeżeli brak jest wyraźnego zagrożenia ze strony bloku radzieckiego, nasza wola utrzymania jedności i siła mogą osłabnąć".

W odniesieniu do Ameryki Łacińskiej, traktowanej jako jeden z elementów światowego układu sił, główną troską Stanów Zjednoczonych było umocnienie „solidarności państw półkuli zachodniej" przez stałe podkreślanie niebezpieczeństwa ze strony krajów socjalistycznych, jakoby inspirujących „działalność wywrotową" w krajach latynoamerykańskich. W praktyce oznaczało to, iż każde wystąpienie antyjankesowskie, każdy ruch reformatorski czy rewolucyjny, jeżeli tylko zmierzał do zmiany społecznego status quo, a więc osłabiał rządy sojusznicze lub zagrażał interesom gospodarczym Stanów Zjednoczonych, mógł zostać oceniony przez rząd USA z punktu widzenia polityki światowej jako zmiana międzynarodowego układu sił na niekorzyść Zachodu. I z tych już powodów mógł zostać uznany jako rezultat „spisku komunistycznego" i jako zagrożenie dla jedności „wolnego świata", a więc jako jego osłabienie w konfrontacji Wschód – Zachód.

Tego rodzaju podejście było charakterystyczne nie tylko dla stosunku USA do Ameryki Łacińskiej. Niepokoje społeczne, ruchy narodowowyzwoleńcze w całym Trzecim Świecie były traktowane przez koła rządzące Stanów Zjednoczonych jako jeszcze jeden z elementów zimnej wojny. Charakteryzując ten aspekt działalności rządu Eisenhowera, znany teoretyk stosunków międzynarodowych Hans Morgenthau pisał, że „zarówno myślenie, jak i postępowanie naszego rządu opiera się na założeniu, iż tylko Związek Radziecki wykorzystuje rewolucję światową – co jest słuszne – lecz również, że jest jej twórcą – co jest wygodnym absurdem".

Powyższą interpretację zastosowały Stany Zjednoczone

właśnie wobec wydarzeń w Gwatemali. W Ameryce Łacińskiej mogła ona odpowiadać tylko najbardziej reakcyjnym reżimom. Dla większości rządów latynoamerykańskich interwencja w Gwatemali była jednakże dowodem na to, iż Stany Zjednoczone nie rozumieją ich wewnętrznych potrzeb i problemów, tym bardziej że równocześnie pogłębiały się kontrowersje w sferze stosunków gospodarczych. Sprawa Gwatemali wpłynęła na ich zaostrzenie. W ocenie bowiem Stanów Zjednoczonych inwazja z czerwca 1954 roku była z punktu widzenia taktycznego o tyle udaną (chodzi o jej niewielkie koszty materialne i szybki przebieg), że odsunęła, jak się wydaje, rewizję polityki latynoamerykańskiej USA na plan dalszy. Według kół rządowych inwazja dowiodła, że Stany Zjednoczone posiadają wystarczającą siłę do efektywnego rozprawienia się z każdą sytuacją w rodzaju gwatemalskiej. I chyba dlatego rząd Eisenhowera nie przywiązywał dużej wagi do postulatów latynoamerykańskich ani też do wypowiedzi wielu działaczy politycznych i gospodarczych w Stanach Zjednoczonych (takich jak brat prezydenta Milton Eisenhower, D. Dilon i Nelson Rockefeller), którzy nawoływali do zwrócenia większej uwagi na sprawy Ameryki Łacińskiej.

## *Rozwój stosunków wojskowych do 1960 roku*

Państwa Ameryki Łacińskiej zaczęły otrzymywać pomoc wojskową od Stanów Zjednoczonych, w okresie powojennym, dopiero od 1951 roku, tj. po IV ogólnoamerykańskiej konferencji w Waszyngtonie. W maju 1946 roku prezydent H. Truman przedstawił wprawdzie w Kongresie projekt rozwoju współpracy wojskowej republik amerykańskich, który przewidywał między innymi standaryzację uzbrojenia oraz zwiększoną pomoc w szkoleniu latynoamerykańskich sił zbrojnych. Kongres jednakże projektu nie zatwierdził.

1. Fidel Castro w czasie
jednego z pierwszych przemówień
po zajęciu Hawany

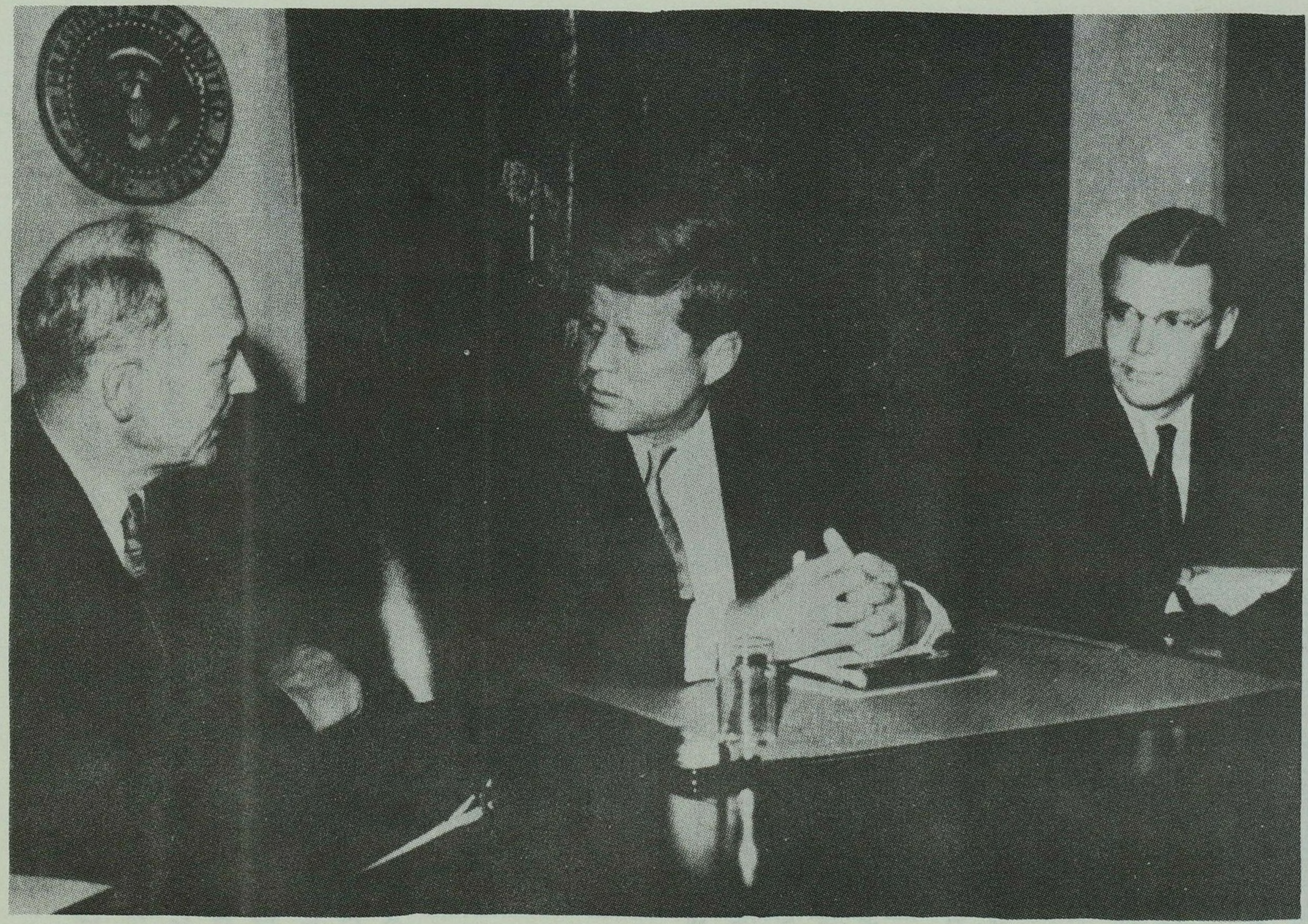

2. Kennedy, Rusk i McNamara – główni architekci polityki zagranicznej USA w latach sześć-dziesiątych

Wojna w Korei wpłynęła na zmianę sytuacji. Stany Zjednoczone pragnąc uzyskać polityczne poparcie państw Ameryki Łacińskiej i wciągnąć je do szerszego uczestnictwa w konfrontacji zimnowojennej zaktywizowały swoją działalność w sferze stosunków wojskowych. Wspomniana już IV konferencja z 1951 roku zaleciła Ogólnoamerykańskiej Radzie Obrony opracowanie planów strategicznych dla Ameryki Łacińskiej oraz postanowiła: „Republiki amerykańskie, zgodnie z ich możliwościami i systemami prawnymi, będą realizować tego rodzaju politykę wojskową, by poprzez samopomoc i pomoc wzajemną:

1. Każde z nich umocniło te siły zbrojne i zasoby, które są najbardziej przydatne dla wspólnej obrony oraz utrzymywało je w takim stanie, który zezwoli na ich szybkie wykorzystanie dla obrony półkuli zachodniej.

2. Każde z nich współpracowało z innymi w sprawach wojskowych w celu umocnienia potencjału militarnego półkuli zachodniej dla obrony przeciwko agresji".

Ponieważ kraje latynoamerykańskie nie zgodziły się na utworzenie formalnego sojuszu wojskowego, program pomocy wojskowej był realizowany na podstawie porozumień dwustronnych, zawieranych zgodnie z ustaleniami, uchwalonej przez Kongres USA ustawy o wzajemnym bezpieczeństwie z 1951 roku.

Według tego aktu, państwa otrzymujące pomoc powinny wypełnić szereg warunków. I tak pomoc miała być udzielana jedynie na przedsięwzięcia wchodzące w zakres planów przygotowywanych przez Ogólnoamerykańską Radę Obrony. Potrzeby każdego z krajów miały być określone przez ekspertów USA. Przyjęcie warunków pomocy było ujęte w formie umów dwustronnych o pomocy wzajemnej. Pierwsza z nich została podpisana z Ekwadorem w 1952 roku. Zobowiązywała ona rząd ekwadorski między innymi do ułatwienia produkcji i transferu surowców i materiałów strategicznych potrzebnych w Stanach Zjednoczonych w rezultacie deficytu lub potencjalnego deficytu ich własnych zasobów" oraz do współpracy z rządem USA w przed-

sięwzięciach, których celem była kontrola handlu z państwami socjalistycznymi. Analogiczne umowy zostały zawarte w tym samym roku z Chile, Kolumbią, Kubą i Peru. W 1953 roku z Brazylią i Dominikaną. W roku następnym z Urugwajem, Nikaraguą i Hondurasem. W 1955 roku z Haiti i Gwatemalą, a w 1958 roku z Boliwią. Tak więc tylko 13 państw Ameryki Łacińskiej było objętych programem pomocy wojskowej. Udzielono jej w trzech postaciach:

1. bezpośredniego i bezpłatnego przekazywania uzbrojenia;

2. umożliwienia zakupu w USA broni i wyposażenia po zniżonych cenach;

3. tworzenia misji wojskowych dla pomocy w szkoleniu.

Sumy przeznaczone na te cele nie były duże w porównaniu z wydatkami wojskowymi USA w innych rejonach świata. W latach 1952–1960 kraje Ameryki Łacińskiej otrzymały pomoc wojskową wartości około 350 milionów dolarów.

Wpływ pomocy na wartość latynoamerykańskich sił zbrojnych, z punktu widzenia wojskowego, nie był oceniany przez ekspertów zbyt wysoko. Niektórzy z nich twierdzili nawet, że w latach pięćdziesiątych ogólny stan obronności Ameryki Łacińskiej przedstawiał się gorzej aniżeli w 1945 roku. Sytuacja na tym odcinku odzwierciedlała miejsce tego rejonu w ówczesnych planach strategicznych rządu USA. Ogólny plan obrony półkuli zachodniej, opracowany przez Ogólnoamerykańską Radę Obrony w 1957 roku, był skoordynowany z przyjętym w tym czasie przez strategów amerykańskich podziałem świata na dwie strefy — „strefę główną" i „strefę dodatkową". Pierwsza z nich rozciągała się między 10 a 40 równoleżnikiem szerokości północnej. Ona też, według oceny Departamentu Obrony stanowiła potencjalną „arenę konfliktów zbrojnych między wolnym światem i państwami komunistycznymi". „Strefa dodatkowa" obejmowała wszystkie inne obszary a więc również i Amerykę Łacińską. Ogólnoamerykańska Rada Obrony wychodziła z założenia niewielkiej ewentualności bezpo-

średniego ataku spoza półkuli zachodniej. Z tego powodu wyznaczała ona latynoamerykańskim siłom zbrojnym funkcje pomocnicze. W tym, między innymi, „utrzymania porządku wewnętrznego", „uniemożliwienia działalności wywrotowej", „ochrony ważnych obiektów wojskowych i gospodarczych", „zabezpieczenia dróg komunikacyjnych".

Przedstawione założenia były w dużym stopniu sprzeczne z wypowiedziami przedstawicieli rządu USA, którzy najczęściej – w celu uzasadnienia pomocy wojskowej dla Ameryki Łacińskiej – wysuwali do 1960 roku na plan pierwszy argumenty o zagrożeniu z zewnątrz. Jeszcze w 1959 roku, motywując potrzebę programu umocnienia latynoamerykańskich flot wojennych, podkreślano: „Najpoważniejszym zagrożeniem dla bezpieczeństwa półkuli zachodniej jest działanie obcych łodzi podwodnych w rejonie Morzą Karaibskiego i wzdłuż wybrzeży Ameryki Południowej".

W świetle przedstawionego wyżej planu oraz praktyki trudno przypuścić, by autorzy podobnych oświadczeń istotnie wierzyli, iż celem pomocy wojskowej dla państw Ameryki Łacińskiej był rozwój ich potencjału obronnego.

O wiele bardziej wiarygodna była wersja, zgodnie z którą pomocy udzielano do zabezpieczenia źródeł surowcowych i do ochrony połączeń komunikacyjnych. I tak występując w Senacie w 1954 roku pomocnik sekretarza stanu F. H. Holland podkreślał: „W okresie wojny będziemy bardzo uzależnieni od surowców latynoamerykańskich dla potrzeb naszej gospodarki. Utrzymanie tego niezbędnego handlu w okresie wojny będzie zależało od ochrony międzynarodowych połączeń lotniczych, morskich oraz szeregu obiektów strategicznych".

Istotnie, w imporcie Stanów Zjednoczonych surowce o znaczeniu strategicznym z Ameryki Łacińskiej odgrywały dużą rolę. W 1950 roku stanowiły one np.: wanad 100%, kwarc krystaliczny ponad 90%, ropa naftowa ponad 80%, włókna sizalowe ponad 70%, antymon i miedź ponad 60%, beryl, bizmut, kadm i ołów ponad 50% oraz cyna i wolfram ponad 40% całego importu.

Oprócz zapewnienia sobie dostaw surowców rządowi Stanów Zjednoczonych chodziło również o utrzymanie pozycji monopolisty w zakresie dostaw broni i sprzętu wojskowego. Głównym jednak celem programów pomocy wojskowej było osiągnięcie politycznego zaangażowania krajów latynoamerykańskich w zimnowojennej konfrontacji, o czym świadczyły nie tylko wspomniane uprzednio klauzule o handlu z państwami socjalistycznymi w umowach o pomocy wzajemnej, lecz cała argumentacja, jaka im towarzyszyła, mająca stworzyć atmosferę zagrożenia i tym samym usprawiedliwić hegemonię Stanów Zjednoczonych na półkuli zachodniej.

## *Problemy stosunków gospodarczych w latach pięćdziesiątych*

Dla krajów Ameryki Łacińskiej priorytet w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi posiadały sprawy gospodarcze. One były tym czynnikiem, który pobudzał rządy latynoamerykańskie do rezygnacji z aspiracji politycznych. Akceptując bowiem zimnowojenną doktrynę rządu Stanów Zjednoczonych łudziły się, iż jako państwa szczególnie związane z USA w sferze politycznej i militarnej uzyskają w zamian korzyści natury ekonomicznej. Z tych powodów lansowały nawet tezę o szczególnym charakterze swych związków ze Stanami Zjednoczonymi i starały się przedstawić siebie jako tradycyjnych niejako sojuszników rządu USA na arenie międzynarodowej. Tego rodzaju podejście nie przyniosło oczekiwanych rezultatów, co wywoływało wśród rządów państw Ameryki Łacińskiej rozczarowanie, tym większe że w okresie wojennym Stany Zjednoczone nie szczędziły im obietnic pomocy. Po 1945 roku rząd USA zaczął zachowywać w tym zakresie daleko idącą wstrzemięźliwość.

Rozbieżność stanowisk wobec problemów stosunków gospodarczych ujawniła się bardzo szybko. Pierwsze jej przejawy miały już miejsce na ogólnoamerykańskich konfe-

rencjach w Rio de Janeiro w 1947 roku i w Bogocie w 1948 roku. W odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych delegaci latynoamerykańscy w swych wystąpieniach kładli główny nacisk na sprawy ekonomiczne. O ile w czasie konferencji w Rio de Janeiro przedstawicielom USA udało się uniknąć dyskusji na te tematy, o tyle w Bogocie zmuszeni byli ujawnić swą pozycję. Sekretarz stanu Marshall rozwiał w swym przemówieniu wszelkie iluzje delegatów z Ameryki Łacińskiej. Podkreślił z naciskiem ogólne międzynarodowe zobowiązania swego kraju oraz znaczenie odbudowy Europy dla półkuli zachodniej. W sposób nie budzący wątpliwości dał do zrozumienia, iż nie należy oczekiwać ze strony rządu USA zwiększenia pomocy gospodarczej.

Tego rodzaju stosunek wynikał z traktowania aspektów gospodarczych latynoamerykańskiej polityki jako pomocniczych wobec celów politycznych. Było to logiczną konsekwencją podporządkowania stosunków z Ameryką Łacińską potrzebom strategii światowej. Patrząc z jej punktu widzenia, Ameryka Łacińska musiała znaleźć się na samym końcu listy rejonów największego zainteresowania. Główne bitwy zimnej wojny rozgrywały się w Europie i na Dalekim Wschodzie. Tam też koncentrowała się pomoc finansowa i gospodarcza rządu Stanów Zjednoczonych. Ponadto należy sądzić, że koła rządzące USA uważały, iż mogą sobie pozwolić na ignorowanie żądań krajów latynoamerykańskich. Przywódcy polityczni USA wierzyli, że ich dominacja gospodarcza na półkuli zachodniej oraz brak konkurenta w powojennym świecie, który byłby w stanie ją osłabić, wykluczają możliwość jej poderwania czy utraty. W równym stopniu nieprawdopodobną wydawała się im perspektywa zwycięstwa rewolucji socjalistycznej w tym rejonie.

Stanowisko rządu Stanów Zjednoczonych nie opierało się wyłącznie na tezie, iż nie mogą one zaspokoić żądań latynoamerykańskich z uwagi na ich zobowiązania międzynarodowe, wynikające z zimnej wojny. Ich negatywny stosunek posiadał również uzasadnienie ekonomiczne i do-

ktrynalne, które obejmowało nie tylko północnoamerykańską strategię gospodarczą wobec Ameryki Łacińskiej, ale także odnosiło się do wszystkich rejonów krajów gospodarczo zacofanych. Gdy w 1944 roku na konferencji w Bretton Woods tworzono Bank Światowy, delegaci latynoamerykańscy wywalczyli, by do pierwotnie proponowanej nazwy „Międzynarodowy Bank Odbudowy" dodać słowo „Rozwoju". Proponowali również, by fundusze banku były podzielone po połowie na cele rozwoju i odbudowy. Ten postulat nie uzyskał jednakże akceptacji Stanów Zjednoczonych i krajów europejskich.

Aspiracje krajów Ameryki Łacińskiej nie znajdowały zrozumienia w kołach rządzących USA. Typowa dla tego okresu była wypowiedź sekretarza skarbu Morgenthau, który dowodził, że istnieje „harmonia interesów gospodarczych między bardziej i mniej rozwiniętymi krajami", opierająca się na założeniu, iż „proces industrializacji, bez którego poprawa poziomu życia jest nieosiągalna, może zostać osiągnięty w sposób najbardziej efektywny poprzez wzrost importu maszyn i innego wyposażenia przemysłowego. Cóż bowiem może być bardziej naturalnego dla Indii i Chin jak import tego rodzaju towarów z Anglii i Stanów Zjednoczonych z ich ogromnie rozwiniętą zdolnością ich produkowania?"

Przedstawiciele rządu USA występowali szczególnie ostro przeciwko wszelkim modelom rozwoju gospodarczego, które przewidywały wzrost roli kapitału państwowego i podkreślały zalety centralnego planowania. W oficjalnym oświadczeniu delegacji USA na wspomnianej już konferencji w Bogocie w 1948 roku wyrażono następującą opinię na ten temat: „Istniało i istnieje silne przeświadczenie wśród szeregu innych republik amerykańskich, iż rozwój gospodarczy powinien dokonywać się i być pobudzany głównie nie przez inicjatywę prywatną, jak to ma miejsce w Stanach Zjednoczonych, lecz poprzez działalność rządowych korporacji rozwoju, finansowanych przez zagraniczny i miejscowy kapitał rządowy w ostatecznym

wypadku przez mieszany kapitał rządowo-prywatny z zapewnieniem odpowiedniej kontroli rządu nad planowaniem i realizacją [...] Delegacja Stanów Zjednoczonych zajmuje następujące stanowisko: jesteśmy zdecydowanie za zdrowym [sic] rozwojem gospodarczym, wierzymy, że kapitał prywatny, zarówno obcy jak i krajowy, powinien być brany pod uwagę i dopuszczony do wykonania głównej części zadania. Tylko poprzez kanały kapitału prywatnego można zapewnić odpowiedni przypływ kapitału zagranicznego".

Na marginesie powyższego oświadczenia należy podkreślić, że rządy latynoamerykańskie, które uznawały potrzebę zwiększenia roli państwa w działalności gospodarczej, nie występowały wcale przeciwko kapitałowi prywatnemu rodzimemu czy zagranicznemu. Uważały natomiast, że w warunkach ich krajów udział kapitału państwowego jest niezbędny do przyspieszenia tempa rozwoju gospodarczego. Stąd też pragnęły uzyskać rządową pomoc finansową ze Stanów Zjednoczonych.

Rozbieżności w sprawach gospodarczych pogłębiły się wraz z pogorszeniem terms of trade po wojnie koreańskiej. („Terms of trade" – stosunek cen asortymentu towarów importowanych do danego kraju do cen towarów eksportowych w określonym czasie). Rząd Eisenhowera czynił pewne starania, by poprawić istniejący stan rzeczy. Ogólnie jednak przedsięwzięte kroki nie miały na celu stworzenia nowego programu, odbiegającego od polityki poprzedniej administracji.

Mogły się o tym przekonać kraje Ameryki Łacińskiej w trakcie ogólnoamerykańskiej konferencji ministrów finansów i gospodarki w Rio de Janeiro w 1954 roku. Delegaci latynoamerykańscy pod bezpośrednim wpływem obietnic danych im na konferencji w Caracas przedstawili Stanom Zjednoczonym szeroki program współpracy gospodarczej. W specjalnym sprawozdaniu przygotowanym na konferencję przez Komisję Gospodarczą ONZ do spraw Ameryki Łacińskiej wskazywano na istnienie palącej po-

trzeby zwiększenia przypływu zagranicznych funduszy państwowych, konieczność stabilizacji cen na surowce, większych kredytów na cele uprzemysłowienia oraz poparcie dla utworzenia wspólnego rynku Ameryki Łacińskiej. W załączonym dokumencie „grupy przygotowawczej" na plan pierwszy również wysunięto konieczność zwiększenia pomocy finansowej. Według autorów tego dokumentu, powinna ona wynosić, przynajmniej w okresie przejściowym, miliard dolarów rocznie.

Reakcja delegacji Stanów Zjednoczonych na przedłożony program była zdecydowanie negatywna. Przedstawiciele rządu USA nie traktowali go nawet jako możliwej podstawy do dyskusji. Zgodzili się jedynie na zwiększenie kredytów przez rządowy Bank Eksportowo-Importowy.

Historia się powtórzyła w czasie długo odkładanej, z powodu stanowiska rządu USA, gospodarczej konferencji OPA w Buenos Aires w 1957 roku. Przyjęta na niej deklaracja nie zawierała żadnych konkretnych postanowień i była jedynie zbiorem ogólnych zasad. Wprawdzie wśród nich znalazła się po raz pierwszy akceptacja koncepcji gospodarczej integracji państw Ameryki Łacińskiej oraz zalecenie współpracy z Komisją Gospodarczą ONZ do spraw Ameryki Łacińskiej w tej sferze, co niewątpliwie stanowiło zmianę w dotychczasowym stanowisku USA, w praktyce jednak do połowy 1960 roku Stany Zjednoczone przypatrywały się latynoamerykańskim wysiłkom integracyjnym z mieszaniną ideologicznej dezaprobaty i głębokiej nieufności.

Konferencje w Rio de Janeiro i w Buenos Aires ujawniły, że rząd Stanów Zjednoczonych nie myślał o odstąpieniu od dotychczasowego stanowiska wobec stosunków gospodarczych z Ameryką Łacińską. Pozostawało ono od 1945 roku niezmienione i opierało się na następujących podstawowych założeniach:

— prywatny kapitał zagraniczny powinien mieć wyraźny priorytet w latynoamerykańskich programach rozwoju;

— istniejące agendy kredytowe rządu USA i ONZ są

w pełni wystarczające dla zaspokojenia potrzeb finansowych Ameryki Łacińskiej;

– współpraca gospodarcza powinna rozwijać się raczej przez stosunki dwustronne aniżeli na bazie stosunków wielostronnych.

Przedstawione założenia diametralnie różniły się od latynoamerykańskich. Nic też dziwnego, że wszelkie postulaty krajów Ameryki Łacińskiej pod adresem Stanów Zjednoczonych spotykały się zawsze z negatywną reakcją. Rząd Eisenhowera odpowiadał odmownie właściwie na każdą propozycję, nawet pochodzącą od proamerykańsko nastawionych elit latynoamerykańskich, niezależnie od tego, czy dotyczyły one utworzenia Ogólnoamerykańskiego Banku Rozwoju, czy zawarcia z krajami Ameryki Łacińskiej układu handlowego o stabilizacji cen na tradycyjne produkty ich eksportu, czy też pomocy finansowej na cele rozwoju gospodarczego.

Szczególnie dotkliwie kraje Ameryki Łacińskiej odczuwały ignorowanie ich żądań w zakresie zwiększenia pomocy finansowej na cele rozwoju gospodarczego. Należy podkreślić, iż nie tylko one były pomijane w programach pomocy USA dla zagranicy. W latach 1949–1952 ogólna pomoc USA wynosiła średnio 3,4 miliarda dolarów rocznie. Z tego 86% przypadało na Europę Zachodnią, a tylko 14% na kraje pozostałe. W latach 1953–1957 średnia roczna suma pomocy USA spadła do 1,8 miliarda dolarów, lecz 75% przypadało już tym razem na kraje Trzeciego Świata. Zmieniło się jednakże przeznaczenie przyznawanych funduszy. Jeżeli w 1949 roku stosunek pomocy gospodarczej do wojskowej kształtował się jak 4 : 1, w końcu 1950 roku nastąpiło jego odwrócenie i przez całe lata pięćdziesiąte kształtował się on średnio jak 1 : 2.

Ogólnie więc, pomimo zwiększenia w latach pięćdziesiątych udziału Trzeciego Świata w programach pomocy USA, na cele ich rozwoju gospodarczego wydatkowano mniej aniżeli w przypadku krajów europejskich. Zważywszy ograniczone znaczenie strategiczne Ameryki Łacińskiej

z punktu widzenia potrzeb konfrontacji zimnowojennej, nic dziwnego, że na kraje tego regionu przypadało zaledwie około 4% ogólnej sumy pomocy USA w latach 1945 – 1961. Przy czym udział krajów latynoamerykańskich w ogólnej pomocy na cele rozwoju gospodarczego był jeszcze mniejszy i kształtował się w granicach 2%. Podobny był udział krajów afrykańskich. W Trzecim Świecie najwięcej uzyskiwały państwa Dalekiego i Bliskiego Wschodu.

Brak porozumienia w sferze stosunków gospodarczych zaważył na całokształcie kontaktów krajów latynoamerykańskich ze Stanami Zjednoczonymi, wywołując w końcu lat pięćdziesiątych ich kryzys. Istota rozbieżności nie polegała już tylko na tym, że w rezultacie całkowitego podporządkowania swej latynoamerykańskiej polityki potrzebom strategii światowej i partykularnym interesom północnoamerykańskich monopoli koła rządzące USA nie dostrzegały lub lekceważyły niebezpieczeństwo, tkwiące, jak pisał G. Arciniegas, w istnieniu drugiej „niewidocznej" Ameryki Łacińskiej – „milczącej, uciśnionej, będącej ogromnym rezerwuarem rewolucji", lecz również w tym, że nie rozumiały sytuacji i potrzeb „oficjalnej" Ameryki Łacińskiej, czyli swych klasowych sojuszników.

# Rewolucja i kontrrewolucja

## *Rodowód i główne założenia Sojuszu dla Postępu*

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych pod wpływem zmian w sytuacji międzynarodowej, wyrażających się ogólnie we wzroście potęgi i znaczenia krajów socjalistycznych oraz we wstąpieniu w decydujące stadium procesu dekolonizacji, wśród elity rządzącej USA pojawiły się głosy kwestionujące wiele z panujących dogmatów w polityce zagranicznej. Rząd Eisenhowera krytykowano za brak elastyczności i zdolności właściwego reagowania na wydarzenia w świecie. W toku mającej miejsce wówczas debaty nastąpiła krystalizacja nowych założeń, które zostały przejęte przez rząd Kennedy'ego i były obowiązujące do końca lat sześćdziesiątych. Atakowano przede wszystkim doktrynę „masowego odwetu" i strategię nuklearnego powstrzymywania. W zbiorowym opracowaniu przygotowanym dla Kongresu w 1959 roku na temat wpływu rozwoju technologii na politykę USA podkreślano z nutą rozgoryczenia: „Delikatnie mówiąc było nieszczęściem, że nasza zdolność odwoływania się do odwetu w miejscach według naszego wyboru [...] okazała się w monopolistycznym posiadaniu Zachodu w takim samym stopniu jak broń jądrowa. Minęły zaledwie dwa miesiące od zapowiedzi sekretarza stanu Dullesa, że członkowie SEATO będą wspierani głównie »siłami sojuszników, które zadadzą cios agresorowi w każdym miejscu« gdy 15 radzieckich bombowców dalekiego zasięgu typu Bizon przeleciało nad Placem Czerwonym w dzień 1 maja [1957 roku – *T.K.*]. Demonstrując w jaskrawy sposób możliwości ZSRR do zadania ciosu na cele położone w USA [...] Stany Zjednoczone,

być może, nie zrezygnowałyby z ingerencji w sprawy Węgier, gdyby możliwości radzieckie w dziedzinie broni nuklearnej pozostawały na poziomie 1953 roku. W obliczu perspektywy strat w czasie zadawania przez USA ciosu przeciwnikowi, który posiadł zdolność do zmasowanego odwetu, amerykańska strategia nuklearnego powstrzymywania ujawniła swoje ograniczone możliwości".

Zamiast istniejącej doktryny zaczęto lansować strategię „zróżnicowanego reagowania" (w polskiej literaturze występuje ona również pod nazwą „gibkiego" lub „elastycznego reagowania"). Chodziło o problem efektywnego wykorzystania siły zbrojnej jako instrumentu polityki zagranicznej. Wychodząc z założenia, że posługiwanie się groźbą wojny totalnej przestało spełniać tę rolę z uwagi na zmiany w układzie sił, wysunięto tezę o konieczności rozwoju zdolności USA do prowadzenia „wojen ograniczonych" z zastosowaniem głównie broni konwencjonalnej. Już w 1954 roku G. Kennan, jeden z teoretyków doktryny „powstrzymywania" w okresie prezydentury Trumana, w książce *Rzeczywistość amerykańskiej polityki zagranicznej* pisał: „Ludzie przywykli do myśli, że czasy wojen ograniczonych minęły. Jestem przekonany, że jest akurat odwrotnie, że skończył się okres wojen totalnych i od dnia dzisiejszego ograniczone operacje wojskowe są jedynymi, które mogą w sposób właściwy służyć osiągnięciu jakiegokolwiek konkretnego celu".

Obok Kennana głównymi propagatorami nowej strategii byli między innymi H. Morgenthau, „ojciec" szkoły „realizmu politycznego" w stosunkach międzynarodowych, H. Kissinger i generał M. Taylor. Ten ostatni postulował, by Stany Zjednoczone odrzuciły całkowicie doktrynę „zmasowanego odwetu" i jasno zadeklarowały, że będą w każdej chwili gotowe dać odpór przeciwnikowi, „niezależnie od miejsca, za pomocą takich środków i sił, jakich będzie wymagała konkretna sytuacja".

Nie oznaczało to jednak rezygnacji z przygotowań do wojny z użyciem broni nuklearnej. Chodziło raczej o wzbo-

gacenie strategii militarnej USA, o stworzenie rządowi możliwości zróżnicowanego reagowania w zależności od potrzeb danej sytuacji, tj. od rodzaju zagrożenia. H. Morgenthau ujmował problem w sposób następujący: „Skoro odwołanie się do totalnej przemocy grozi samobójstwem, w jaki sposób państwo może bronić swych interesów w anarchistycznym świecie, w którym przemoc jest w dalszym ciągu ostatecznym środkiem polityki? [...] Wyjściem z tego dylematu jest zapewnienie zdolności militarnej do prowadzenia totalnej wojny nuklearnej, taktycznej wojny nuklearnej i konwencjonalnej wojny przedatomowej".

Wysunięcie nowej doktryny militarnej było wywołane nie tylko zmianami w układzie sił, lecz wynikało również z przekonania o potrzebie wypracowania odpowiedniej polityki wobec Trzeciego Świata. W ocenie Waszyngtonu nowym polem walki między kapitalizmem a socjalizmem stały się Azja, Afryka i Ameryka Łacińska. O krajach tych kontynentów myślał J.F. Kennedy, wzywając w swej książce *Strategia pokoju*, wydanej w 1960 roku, do „efektywnego i błyskawicznego ingerowania w wojny ograniczone w każdym zakątku kuli ziemskiej".

Nowe koncepcje rodziły się bowiem pod bezpośrednim wpływem wydarzeń w Algierii, Laosie, Wietnamie, Kongo i na Kubie. Doktryna „zmasowanego odwetu", która według słów Kennedy'ego była „wyborem między zniszczeniem a upokorzeniem", okazała się całkowicie nieprzydatna w obliczu zagrożenia dla interesów USA ze strony ruchów narodowowyzwoleńczych. Zgodnie z nowymi założeniami, Trzeci Świat podzielono na dwie grupy państw. Do pierwszej należały wszystkie kraje Afryki i Ameryki Łacińskiej oraz część azjatyckich. Drugą grupę stanowiły państwa bezpośrednio sąsiadujące z krajami socjalistycznymi. W wypadku grupy pierwszej zakładano niewielkie prawdopodobieństwo ataku z zewnątrz. Za główne niebezpieczeństwo uznano działalność sił lewicowych i o niej myślano przede wszystkim, wysuwając koncepcję „wojen ograniczonych". Innymi słowy, strategia miała umożliwić zaangażowanie

militarne USA wszędzie tam, gdzie według oceny Waszyngtonu istniało zagrożenie zwycięstwa rewolucji socjalistycznej. Stąd większy nacisk ze strony kół wojskowych Pentagonu na rozwój broni konwencjonalnej, na tworzenie „sił specjalnych", szkolonych do walki z partyzantami.

Strategia „wojen ograniczonych" nie była czysto wojskowa. Zawierała również zalecenie stosowania środków gospodarczych i politycznych. Rząd Kennedy'ego traktował problem szeroko, zakładając, że wojna antypartyzancka nie może być efektywnie prowadzona jedynie przy użyciu sił zbrojnych. Należało uzyskać poparcie miejscowej ludności, umocnić w krajach zagrożonych rewolucją siły jej przeciwne. Likwidować warunki gospodarczo-społeczne i polityczne rodzące rewolucję. Taka była motywacja nowej koncepcji pomocy dla krajów gospodarczo zacofanych. Powstawała ona w tym samym czasie, co strategia „wojen ograniczonych", i była w istocie jej rozwinięciem czy uzupełnieniem, chociaż pozornie, w porównaniu z założeniami i praktyką programów pomocy rządu Eisenhowera, wyglądała na bardziej pokojową i nie związaną tak ściśle z zimną wojną.

Podobne wrażenie było spotęgowane faktem, iż debaty nad polityką USA wobec krajów Trzeciego Świata toczyły się między innymi pod hasłem konieczności zmiany priorytetów w programach pomocy na rzecz środków gospodarczych kosztem wojskowych. Rząd Eisenhowera krytykowano za „zimnowojenny stosunek", za faworyzowanie pomocy militarnej. Oponenci wysuwali natomiast tezę o potrzebie podejścia „ekonomicznego" do całokształtu problematyki pomocy gospodarczej. Poważny wpływ na rozwój nowych koncepcji wywarło opracowanie grupy badawczej z Centrum Studiów Międzynarodowych przy Massachusetts Institute of Technology, kierowanej przez M.F. Millikana i W.W. Rostowa. Było ono przygotowane na zlecenie Kongresu w 1957 roku. Postulowano w nim całkowite oddzielenie pomocy gospodarczej od wszelkiej innej i przy jej rozdzielaniu pomiędzy państwa „wolnego świata" zale-

cano kierowanie się wyłącznie kryterium ekonomicznym zdolności danego kraju do „wchłonięcia kapitału", tj. możliwości jego efektywnego wykorzystania na cele rozwoju. Autorzy stwierdzali następnie, że tego rodzaju program pomocy będzie prowadził do ustanowienia ustabilizowanych i „demokratycznych" systemów politycznych. Większość autorów innych opracowań tego okresu zgadzała się ogólnie z tezami Millikana – Rostowa. Ciekawa była owa wiara w niejako mechanicznie następujący za wzrostem gospodarczym typ rozwoju politycznego: postęp gospodarczy przyczynia się do stabilizacji politycznej, rozwoju systemu demokracji burżuazyjnej i tym samym uniemożliwia rewolucję socjalistyczną.

Częściowo wywodziła się ona z szeroko rozpowszechnionego w Stanach Zjednoczonych przekonania, że istnieje bezpośredni związek przyczynowo-skutkowy między nędzą a rewolucją socjalistyczną: im biedniejszy jest dany kraj, tym większa istnieje możliwość wybuchu w nim rewolucji społecznej. I odwrotnie, wraz z jego rozwojem gospodarczym następuje proces stabilizacji politycznej i „niebezpieczeństwo" rewolucji oddala się. Ten fałszywy pogląd na źródła przemian rewolucyjnych był tak głęboko zakorzeniony w umysłach przedstawicieli klas rządzących w USA, że jeszcze w 1965 roku McNamara dowodził, że teza o bezpośrednim związku między przemocą a zacofaniem gospodarczym jest „nie do odparcia".

Innym źródłem wiary w możliwość osiągnięcia określonego kierunku rozwoju politycznego za pomocą wzrostu gospodarczego była równie iluzoryczna przesłanka, której treść oddają najlepiej słowa kończące wspólną książkę Millikana i Rostowa wydaną w 1957 roku, a będącą rozszerzoną wersją wspomnianego już opracowania:

Wszystkie narody wspólnie żeglują
żeglują tą samą drogą
nieuchronnie w kierunku jednego przeznaczenia.

Podejście ekonomiczne do problemów pomocy zyskało wielu zwolenników. W sierpniu 1958 roku ośmiu senato-

rów z Partii Demokratycznej wystosowało do prezydenta Eisenhowera list otwarty w którym wysunęli żądanie rewizji programu wzajemnego bezpieczeństwa ponieważ nastąpiło, ich zdaniem, poważne zakłócenie proporcji między pomocą gospodarczą a wojskową. We wrześniu prezydent powołał specjalny komitet pod przewodnictwem W.H. Drapera, który miał się ustosunkować do postulatów autorów listu. W sierpniu 1959 roku tzw. sprawozdanie Drapera było gotowe. Jego konkluzje odbiegały jednak znacznie od sugestii senatorów. Odrzucono ich główny zarzut, że pomoc wojskowa była zbyt duża w porównaniu z gospodarczą.

J. F. Kennedy był jednym z owych ośmiu senatorów, którzy domagali się od rządu wprowadzenia zmian do programu pomocy dla krajów Trzeciego Świata. Obejmując urząd prezydenta uzyskał możliwość realizacji głoszonych postulatów. I w poważnym stopniu rzeczywiście to uczynił. W pierwszym orędziu do Kongresu na temat pomocy zagranicznej 22 marca 1961 roku stwierdził między innymi, iż istniejące dotychczas programy pomocy i koncepcje im towarzyszące nie odpowiadają potrzebom lat sześćdziesiątych. Stany Zjednoczone powinny okazywać pomoc krajom gospodarczo zacofanym, by pchnąć część z nich na drogę „samoczynnego wzrostu gospodarczego, a pozostałe zbliżyć do tego momentu, kiedy przestaną być uzależnione od pomocy z zewnątrz".

Prezydent nie odrzucał oczywiście istnienia zimnej wojny. Jego zdaniem, wszystkie „bez wyjątku" państwa Trzeciego świata „znajdowały się pod presją komunistyczną". Jednakże „podstawowym celem naszego programu pomocy dla zagranicy w latach sześćdziesiątych nie będzie negatywna walka z komunizmem, lecz zademonstrowanie całemu światu, że w XX wieku podobnie jak w XIX, na półkulach południowej i północnej, wzrost gospodarczy i demokracja polityczna mogą współistnieć z powodzeniem".

Jednocześnie prezydent zastrzegł się, że kraje Trzeciego

3. Plan inwazji na Playa Giron

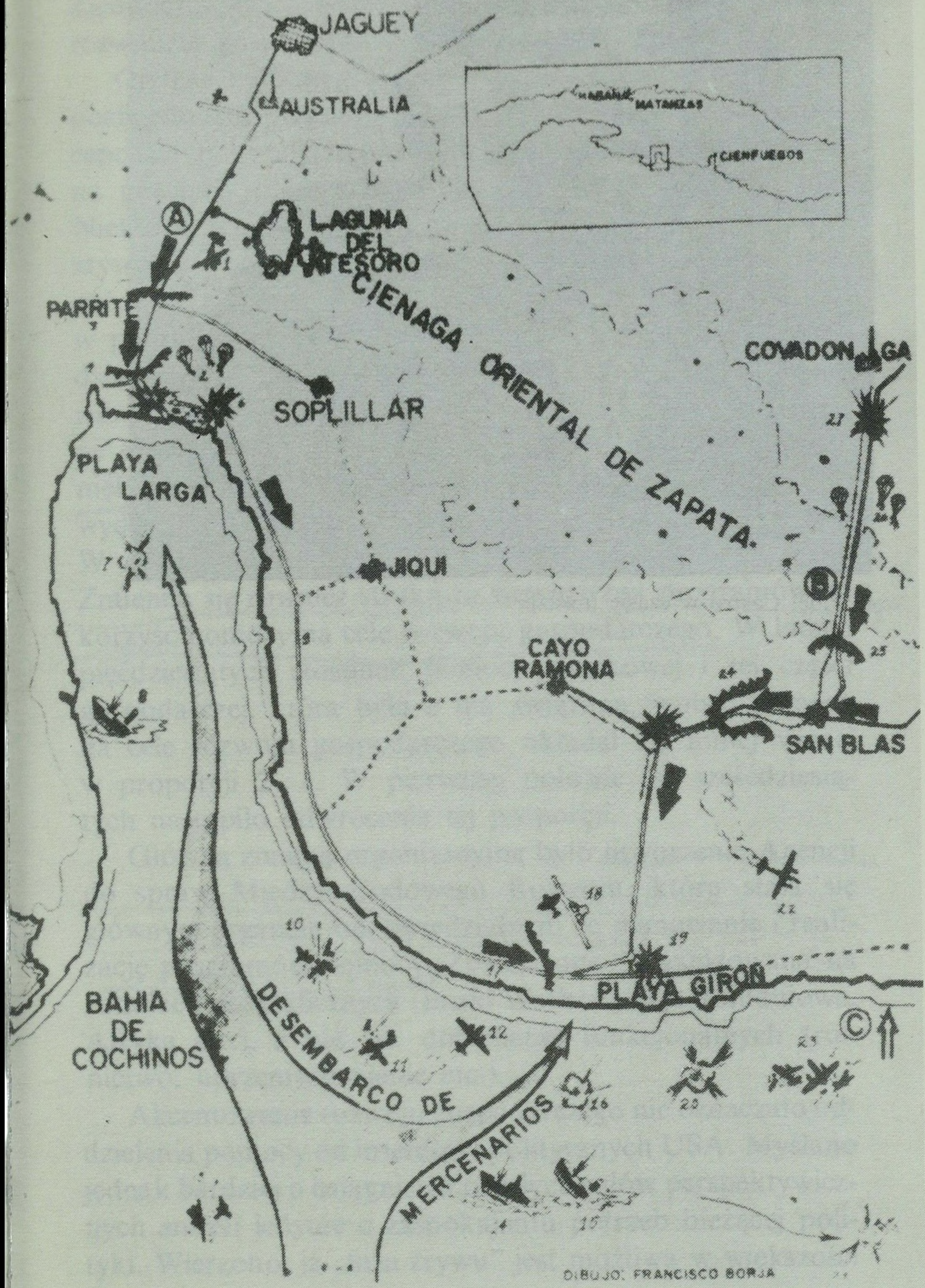

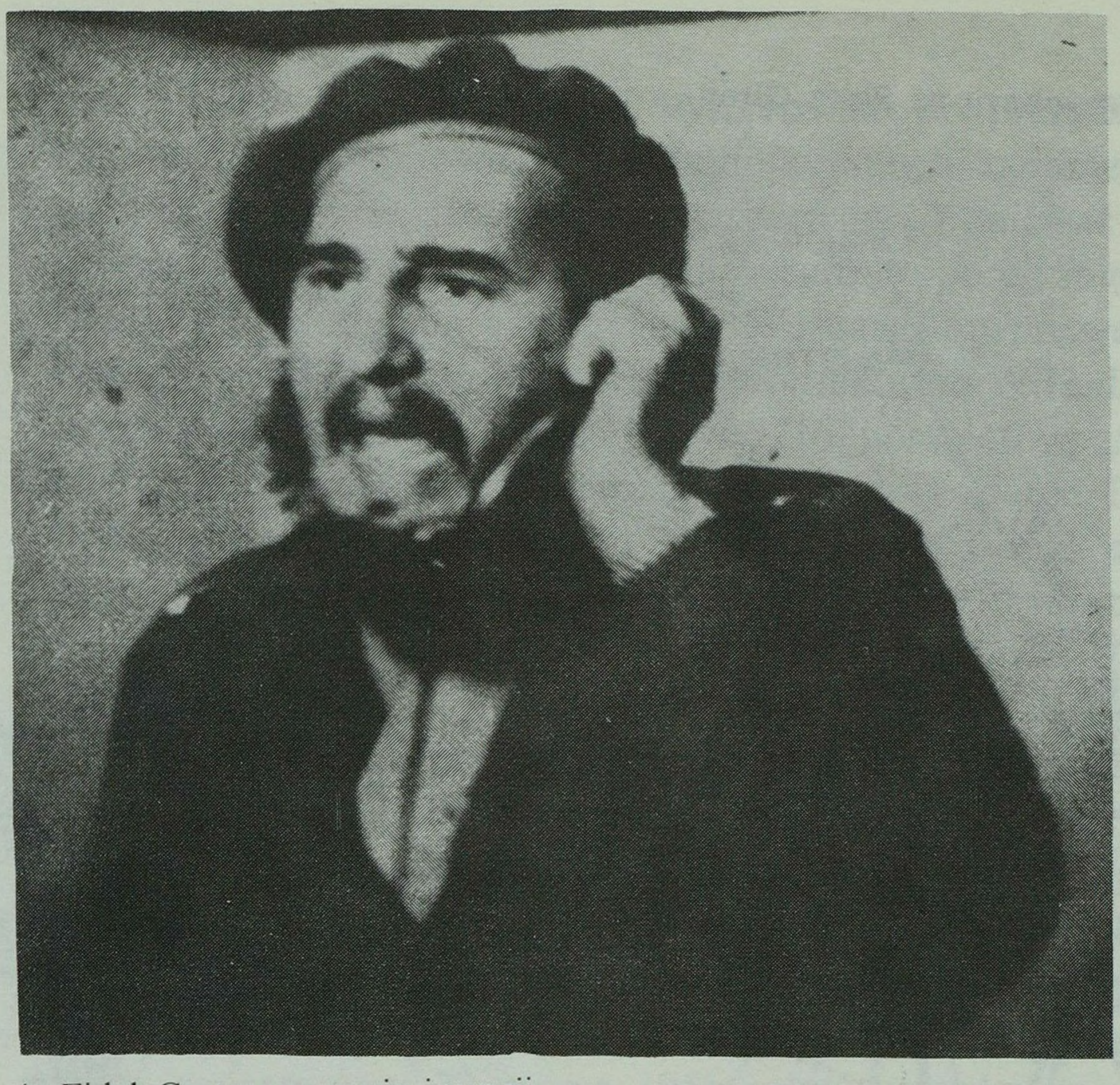

4. Fidel Castro w czasie inwazji

Świata „osiągną decydujący zwrot", jeżeli przeprowadzą konieczne reformy wewnętrzne, a do wysiłków Stanów Zjednoczonych przyłączą się pozostałe państwa wysoko rozwinięte gospodarczo.

Orędzie było wygłoszone w stylu dramatycznym i nie pozbawionym przesady. Kennedy oparł się na wielu koncepcjach powstałych znacznie wcześniej, w tym również na pewnych optymistycznych założeniach ery Trumana. Niektóre z nowych elementów w rodzaju tezy o „fazie zrywu" i przejścia do „etapu samoczynnego wzrostu gospodarczego" były teoretycznie wielce wątpliwe, chociaż w początkach lat sześćdziesiątych wierzono w ich prawdziwość. Zmiana priorytetów w programach pomocy była jednak wyraźna. Potwierdzają to dane statystyczne. Ogólne sumy na pomoc dla krajów gospodarczo słabo rozwiniętych wzrosły. W latach 1956–1960 Stany Zjednoczone wydatkowały na ten cel średnio 2,5 miliarda rocznie. W okresie 1961–1963 średnia wzrosła do 4 miliardów. Zmieniła się również struktura wewnętrzna programów na korzyść pomocy na cele rozwoju gospodarczego. W latach pięćdziesiątych stosunek pomocy wojskowej i tej części gospodarczej, która była z nią związana, wobec pomocy na cele rozwoju gospodarczego układał się mniej więcej w proporcji 2 : 1. W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych nastąpiło odwrócenie tej proporcji.

Główną zmianą organizacyjną było utworzenie Agencji do spraw Międzynarodowego Rozwoju, która stała się głównym organem odpowiedzialnym za planowanie i realizację programów pomocy. Została ona zorganizowana na zasadach geograficznych (Bliski Wschód, Azja Południowa, Afryka etc.), a nie jak dotychczas funkcjonalnych (rolnictwo, uprzemysłowienie etc.).

Akcentowanie rozwoju gospodarczego nie oznaczało oddzielenia pomocy od interesów politycznych USA. Myślano jednak bardziej o osiągnięciu trwałych celów perspektywicznych aniżeli jedynie o zaspokajaniu potrzeb bieżącej polityki. Wierzono, iż „faza zrywu" jest możliwa w większości

krajów, co w konsekwencji miało spowodować stopniowe zmniejszenie pomocy. Zakładano również, że wprowadzenie państw Trzeciego Świata w „fazę zrywu" może spowodować „wybuchowość procesu modernizacji" i stąd wysuwano postulat konieczności ujęcia napięć społecznych w ramy zmian pokojowych i sterowanych przez ośrodki władzy. Podkreślano, że sam wkład finansowy jest niewystarczający, że należy stopniowo wprowadzać przemiany społeczne w rodzaju reformy rolnej, podatkowej, instytucji politycznych dla zapewnienia większego w nich uczestnictwa ogółu ludności.

Grupa doradców prezydenta, a byli nimi w tym czasie tzw. intelektualiści czynu, przedstawiciele nauk politycznych i społecznych, głównie ekonomiści z elitarnych uczelni Stanów Zjednoczonych, była przekonana, że w rezultacie podobnej polityki będzie można uzyskać umocnienie systemu demokracji burżuazyjnej, wyeliminowanie zagrożenia rewolucją socjalistyczną, stabilizację polityczną, a w dalszej perspektywie „światową społeczność" ustabilizowanych, demokratycznych i pokojowych państw, związanych trwale ideologią cywilizacji zachodniej. Jak przyznawał później jeden z nich, A. Schlesinger, była to próba „przekonania krajów rozwijających się, by oparły swoje postanowienia działania bardziej na tezach Locka aniżeli Marksa".

A więc, by kraje Trzeciego Świata przejęły ideały demokracji zachodniej, zwłaszcza w wydaniu anglosaskim. Nie ograniczano się do głoszenia tego rodzaju postulatów. Rzeczywiście starano się realizować przedstawione założenia w praktycznej działalności i latynoamerykańska polityka rządu USA była tego doskonałym przykładem. Opracowany w początkach lat sześćdziesiątych program Sojuszu dla Postępu wywodził się z wyżej przedstawionych ogólnych koncepcji. Nie był czymś wyjątkowym w polityce zagranicznej USA. Przeciwnie, był próbą dostosowania nowej polityki światowej do warunków regionalnych. Był jednym z wariantów doktryny „zróżnicowanego reagowania" i zwią-

zanego z nią podejścia ekonomicznego w dziedzinie pomocy gospodarczej. I chociaż konkretne warunki regionu nadawały programowi koloryt lokalny, nie odbiegał on od ogólnej strategii rządu Stanów Zjednoczonych wobec Trzeciego Świata. W swej ewolucji często odzwierciedlał wydarzenia na obszarach krajów rozwijających się poza półkulą zachodnią.

Charakter specyficzny programu wynikał natomiast z faktu, że powstawał on jako odpowiedź na zwycięstwo rewolucji kubańskiej oraz pod wpływem inicjatyw rządów państw Ameryki Łacińskiej. Jego podstawowe postulaty miały wiele wspólnego z poglądami głoszonymi przez ekonomistów latynoamerykańskich, zgrupowanych wokół Komisji Gospodarczej ONZ do spraw Ameryki Łacińskiej. Wyrażając interesy klasowe burżuazji swych krajów uznawali oni konieczność przeprowadzenia reform gospodarczo-społecznych, żywiąc jednocześnie iluzje co do możliwości zawartych w neokapitalistycznym modelu rozwoju gospodarczego.

Program Sojuszu dla Postępu nie był narzucony rządom latynoamerykańskim. I chociaż wielu ich przedstawicieli nie żywiło złudzeń co do tego, że jest on próbą umocnienia hegemonii USA na półkuli zachodniej, ogólnie w krajach Ameryki Łacińskiej uważano jego proklamowanie za zjawisko pozytywne. Zawierał on przecież wiele z ich żądań z okresu lat pięćdziesiątych. Przy czym dominującym pozostawało wśród elit rządzących przeświadczenie, że w istniejących warunkach ogólnomiędzynarodowych i regionalnych rozwój gospodarczy Ameryki Łacińskiej w ramach systemu kapitalistycznego jest niemożliwy bez pomocy Stanów Zjednoczonych. Brak w ich pojęciu jakiejkolwiek alternatywy w tym względzie decydował w istocie o ich generalnym podejściu do polityki USA – i to niezależnie od zróżnicowania pozycji politycznych między nimi. Nawet występujące wówczas tendencje do niezaangażowania mieściły się w ramach tego stanowiska.

Nowa latynoamerykańska polityka rządu USA rodziła

się w atmosferze impasu w stosunkach ogólnoamerykańskich. Rząd Eisenhowera, chociaż zdawał sobie sprawę z istniejącego stanu i podejmował starania dla jego zmiany, jednocześnie nie był gotów do radykalnej rewizji swoich pozycji. Nawet głośne niepowodzenie wizyty wiceprezydenta Nixona w 1958 roku w krajach Ameryki Łacińskiej nie spowodowało przeobrażeń w ogólnym podejściu. Przygotowane w tym czasie przez Miltona Eisenhowera sprawozdanie o stosunkach z Ameryką Łacińską, mimo że utrzymane w tonie alarmującym, nie wnosiło w istocie nic nowego, a jedynie potwierdzało zalecenia poprzedniego raportu. Jedyną zmianą było wyrażenie poparcia dla idei utworzenia Ogólnoamerykańskiego Banku Rozwoju.

Dużo większą inicjatywę przejawiały rządy latynoamerykańskie. Wykorzystując rozgłos antynixonowskich demonstracji prezydent Brazylii J. Kubitschek wystosował 28 maja 1958 roku list do prezydenta USA, w którym proponował wymianę poglądów na temat całokształtu stosunków ogólnoamerykańskich. W dalszej korespondencji J. Kubitschek przedstawił szeroki program działania, który stał się znany jako „operacja panamerykańska". Zakładał on potrzebę wspólnego przedyskutowania takich problemów, jak rola i miejsce północnoamerykańskich inwestycji prywatnych w rozwoju gospodarczym Ameryki Łacińskiej, zwiększenie kredytów rządowych USA, utworzenie wspólnego banku regionalnego, stabilizacji cen na surowce itp.

Odpowiedź prezydenta Eisenhowera była wymijająca i zawierała między innymi charakterystyczne dla stanowiska ówczesnego rządu republikańskiego stwierdzenie: „Istnieje szeroki krąg zagadnień, który należy przedyskutować i zbadać, łącznie na przykład z problemem pełnego wprowadzenia w życie deklaracji solidarności ogólnoamerykańskiej uchwalonej na konferencji w Caracas w 1954 roku".

„Operacja panamerykańska" była przedmiotem obrad konferencji ministrów spraw zagranicznych we wrześniu 1958 roku w Waszyngtonie. Plan brazylijski nie zyskał powszechnego poparcia. Zastrzeżenia pod jego adresem,

oprócz USA, wysuwały również niektóre kraje Ameryki Łacińskiej, zwłaszcza odnośnie do jego aspektów politycznych. Kubitschek za główny cel swojego planu uznał umocnienie roli Ameryki Łacińskiej w systemie Zachodu. Ta jednoznaczna deklaracja przynależności nie odpowiadała wielu rządom latynoamerykańskim. Niektóre z nich obawiały się, że wytknięty cel, podobnie jak w przeszłości, przesłoni zadania gospodarcze. Aby rozwiać te obawy, przedstawiciel Brazylii zapewniał na spotkaniu w Waszyngtonie: „Integracja Ameryki Łacińskiej z wysiłkami Zachodu [...] nie powinna oznaczać identyfikacji z anglo-amerykańską polityką lub NATO".

Ostatecznie dalszą dyskusję postanowiono przenieść na forum OPA. Jednym konkretnym rezultatem konferencji było oświadczenie rządu USA o wyrażeniu zgody na utworzenie Ogólnoamerykańskiego Banku Rozwoju. Okoliczności podjęcia tej decyzji dobrze ilustrują ówczesne stanowisko Waszyngtonu do problemów Ameryki Łacińskiej. Idea utworzenia banku nie była nowa. Stany Zjednoczone już raz zgodziły się wstępnie na uczestnictwo w tego rodzaju instytucji na początku II wojny światowej. Po jej zakończeniu ich pozycja zmieniła się i pomimo nalegań rządów latynoamerykańskich sprawa utworzenia banku regionalnego nie posunęła się naprzód. W sierpniu 1958 roku prezydent Eisenhower miał wygłosić na zbliżającej się sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ przemówienie dotyczące wydarzeń na Bliskim Wschodzie i przy tej okazji zadeklarować poparcie dla utworzenia w tym rejonie regionalnego banku rozwoju. To czyniło niewygodnym dalsze sprzeciwianie się identycznej propozycji latynoamerykańskiej.

Dopiero w istocie zwycięstwo rewolucji kubańskiej i jej dalszy rozwój wpłynęły na przyspieszenie procesu kształtowania się nowego podejścia do spraw Ameryki Łacińskiej. W początkach 1960 roku na ten temat toczyły się jeszcze ożywione dyskusje, lecz już w zupełnie innej atmosferze. Jak wspomina w swych pamiętnikach

Eisenhower, „wiedzieliśmy jedno: Fidel Castro jest bohaterem mas w wielu krajach latynoamerykańskich. Widzą one w nim rzecznika uciskanych i wroga uprzywilejowanych, kontrolujących w większości tych krajów bogactwo i władzę".

W lipcu 1960 roku prezydent przedstawiał ocenę sytuacji już wyraźnie pod wpływem tej nowej atmosfery, stwierdzając w jednym z przemówień między innymi, iż „Ameryka Łacińska przechodzi okres zmian gospodarczo-społecznych. Dyktatury schodzą z drogi. Umiarkowane grupy, dążące do realizacji programu legalnych reform, rywalizują z dyktaturami z lewa i z prawa".

W tej sytuacji, zdaniem Eisenhowera, Stanom Zjednoczonym pozostaje alternatywa – „społeczna ewolucja lub rewolucja". Dlatego też powinny one udzielić pomocy tym siłom politycznym w Ameryce Łacińskiej, które pragną „zaspokoić potrzeby swych narodów w drodze praworządnego procesu zmian".

Zgodnie z tymi założeniami, podsekretarz stanu D. Dillon, na specjalnej konferencji ministrów gospodarki państw OPA we wrześniu 1960 roku w Bogocie, przedstawił projekt programu działania, który uwzględniał większość z postulatów latynoamerykańskich. Jednocześnie przekazał on ofertę prezydenta na udzielenie kredytu w wysokości 500 milionów dolarów dla jego inauguracji. Program został zaaprobowany i ujęty w formie tzw. aktu bogotańskiego.

Przyjęcie tego dokumentu stanowiło istotne odejście od dotychczasowego stanowiska USA i niewątpliwie utorowało drogę do dalszych zmian. Co do konieczności ich wprowadzenia prezydent Kennedy nie miał żadnych wątpliwości. Będąc zdecydowanym zwolennikiem podejścia ekonomicznego do problemów pomocy i doktryny „zróżnicowanego reagowania", w duchu tych koncepcji dążył do sformułowania nowej polityki. U jej podstaw legła ocena przyczyn rozwoju sytuacji w Ameryce Łacińskiej. Różniła się ona zasadniczo od panującego w czasach

zimnej wojny schematu myślenia, zgodnie z którym za wszelkimi zaburzeniami społecznymi widziano „rękę Moskwy" czy „spisek komunistyczny". Jego miejsce zajęła bardziej realistyczna analiza faktów. Podkreślano w niej, że przyczyną napięć i konfliktów jest całokształt stosunków gospodarczych i społecznych, stan ogólnego zacofania. Winy za ten stan, według ideologów nowej polityki, nie ponosiły stosunki kapitalistyczne, lecz fakt, iż są one zbyt słabo rozwinięte. Tacy autorzy, jak A. Berle, N. Maritano, A. Obaid, F. Tannenbaum i wielu innych, widzieli główną przyczynę kryzysu w Ameryce Łacińskiej w konflikcie między pozostałościami feudalizmu a stosunkami kapitalistycznymi. Stąd w ich pracach znajdujemy, w tej lub innej formie, przeciwstawienie „feudalnego kapitalizmu" Ameryki Łacińskiej „oświeconemu kapitalizmowi" państw rozwiniętych. Z tego powodu też sytuację w krajach latynoamerykańskich porównywano często do europejskiej w czasach dojrzewania Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Opierając się na tego rodzaju analizie sytuacji, wysunięto koncepcję „pokojowej i kierowanej rewolucji", której treścią miały być reformy burżuazyjno-demokratyczne, a jej głównym zadaniem usunięcie przeszkód na drodze rozwoju kapitalizmu i doprowadzenie do jego „unowocześnienia". Przy czym chodziło głównie o to, by proces modernizacji istniejących struktur społeczno-gospodarczych nie przekształcił się w rewolucję socjalistyczną, która dla autorów omawianych tez była synonimem rewolucji zbrojnej i totalitaryzmu, antytezą zmian pokojowych i demokracji.

Powołana przez prezydenta Kennedy'ego specjalna grupa ekspertów do sformułowania nowej polityki wobec Ameryki Łacińskiej w swym raporcie podkreślała, iż podstawowym problemem dla USA jest „oddzielenie nieuchronnych i koniecznych przemian społecznych w Ameryce Łacińskiej" od wpływów politycznych sił lewicowych. W skład tej grupy wchodzili: były współpracownik

F. D. Roosevelta, A. Berle, bliski doradca Kennedy'ego F. M. Goodwin, A. Morales-Carrion i T. Moscoso z Puerto Rico, profesorowie L. Gordon z Harwardu, który brał udział w opracowaniu planu Marshalla, R. Alexander z Uniwersytetu Rutgers, specjalista od ruchów lewicowych w Ameryce Łacińskiej, oraz A. Whitaker, historyk latynoamerykanista.

Uważając, że największym niebezpieczeństwem dla interesów USA w Ameryce Łacińskiej jest możliwość wzrostu znaczenia sił lewicowych, wymienieni autorzy oceniali, iż szczególnie zagrożonymi obszarami były rejony Morza Karaibskiego i kraje andyjskie z uwagi na największe, ich zdaniem, możliwości zdobycia władzy przez partyzantów podobnie jak na Kubie. Zważywszy, iż „dobre intencje i plany gospodarcze nie powstrzymają kul i granatów", Stany Zjednoczone powinny być w każdej chwili, ich zdaniem, przygotowane do udzielenia pomocy istniejącym rządom. Jednakże, podkreślano w raporcie, działania militarne nie wystarczą do powstrzymania komunizmu. Trzeba stworzyć „pozytywną demokratyczną filozofię" stanowiącą jego alternatywę. Należy również prowadzić tego rodzaju politykę, by wszystkie ruchy polityczne, które pragną przemian społecznych, lecz jednocześnie występują za kontynuacją ustroju, „były świadome poparcia ze strony Stanów Zjednoczonych". W tym celu autorzy raportu proponowali utworzenie „ośrodka koordynacyjnego dla postępowo-demokratycznego frontu Ameryki Łacińskiej".

W dziedzinie stosunków gospodarczych w raporcie zalecono opracowanie przez rząd Stanów Zjednoczonych „perspektywicznego planu gospodarczego dla całej półkuli zachodniej" w oparciu o wieloletnie programy rozwoju przygotowane przez kraje latynoamerykańskie. Według autorów raportu, należało również – nie zapominając o podstawowej roli sektora prywatnego – odstąpić od „doktrynalnej opozycji" przeciwko udzielaniu pomocy sektorowi państwowemu.

Przedstawione wnioski i zalecenia odegrały dużą rolę w czasie formułowania polityki rządu USA wobec Ameryki Łacińskiej. Oczywiście o konieczności podjęcia przygotowań do możliwych działań militarnych w oficjalnych oświadczeniach nie wspomniano, wysuwając na plan pierwszy postulaty odnoszące się do stosunków politycznych i gospodarczych. One też znalazły się w Karcie Sojuszu dla Postępu, zredagowanej i uchwalonej na nadzwyczajnej konferencji ogólnoamerykańskiej Rady Gospodarczo-Społecznej OPA w sierpniu 1961 roku w Punta del Este. Rząd Stanów Zjednoczonych zobowiązał się w niej do zabezpieczenia głównej części niezbędnego, zdaniem ekspertów, minimum 20 miliardów dolarów na cele rozwoju krajów Ameryki Łacińskiej w okresie najbliższych dziesięciu lat. Rządy latynoamerykańskie, ze swej strony, podjęły się przeprowadzenia niezbędnych reform. Każde z państw regionu miało opracowywać własne plany rozwoju, a integracja gospodarcza została uznana jako pożądane rozwiązanie. Wśród celów programu wymieniono między innymi osiągnięcie tempa wzrostu dochodu na jednego mieszkańca do 2,5% w skali rocznej; zróżnicowanie struktury gospodarczej krajów regionu i ich stopniowe uniezależnienie od eksportu surowców i importu środków produkcji; przyspieszenie procesu uprzemysłowienia, zwiększenie wydajności pracy i produkcji w rolnictwie, popieranie programów reformy rolnej, likwidacja analfabetyzmu, rozwój służby zdrowia, rozszerzenie budownictwa mieszkaniowego, walka z inflacją i deflacją, rozwój współpracy w celu rozwiązania problemu nadmiernych fluktuacji cen na surowce.

Zakres podjętych przez rząd Stanów Zjednoczonych zobowiązań był niewątpliwie szeroki. Zakładał niespotykane dotąd w historii stosunków ogólnoamerykańskich zaangażowanie Waszyngtonu w rozwój wewnętrzny krajów Ameryki Łacińskiej wraz ze wszystkimi związanymi z tym kosztami politycznymi i finansowymi. Przy jego pomocy chciano osiągnąć wiele celów. Głównie o charakterze politycznym, pomimo wyraźnej przewagi treści społecznej

i gospodarczej w samym programie. Nie lekceważono oczywiście interesów gospodarczych USA. Prezydent i jego doradcy nigdy tego nie ukrywali. Kennedy w książce *Strategia pokoju* otwarcie wskazywał na korzyści wynikające z udzielania pomocy gospodarczej, pisząc: „Pomoc gospodarcza służy stymulowaniu naszych międzynarodowych powiązań handlowych. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że pomoc udzielona dzisiaj oznacza handel jutro. W naszym kraju istnieje wiele gałęzi przemysłowych, które rozwijają się wraz z rozszerzeniem eksportu. Bardzo duża część funduszy, które przekazujemy w formie kredytów za granicę, odnajduje swą drogę powrotną bezpośrednio lub pośrednio do naszego przemysłu".

Realizację programu uzależniano wprost od zwiększenia przepływu kapitału prywatnego USA do Ameryki Łacińskiej i od intensyfikacji stosunków handlowych. Rząd Stanów Zjednoczonych starał się zachęcać koła północnoamerykańskiego kapitału do szerszej ekspansji, zwłaszcza że w początkach lat sześćdziesiątych nie oceniały one krajów latynoamerykańskich jako bezpiecznych dla swej działalności, co znalazło wyraz w niechęci do podejmowania nowych przedsięwzięć inwestycyjnych.

Przyjęcie założenia, iż powodzenie programu Sojuszu dla Postępu jest bezpośrednio uzależnione od aktywności północnoamerykańskich inwestorów, prowadziło w konsekwencji do wielu poważnych następstw. Powodowało bowiem faworyzowanie przez rząd USA tych krajów latynoamerykańskich, które w swej polityce gospodarczej uwzględniały postulat tworzenia tzw. sprzyjającego klimatu dla inwestycji zagranicznych i wchodzenie w konflikty z rządami, które tego nie czyniły. Innymi słowy, kraje latynoamerykańskie posiadały w praktyce w ramach programu Sojuszu dla Postępu ograniczony wybór strategii rozwoju, co hamowało podejmowanie i realizację tych wszystkich przedsięwzięć, zwłaszcza reform społecznych, których skutki gospodarcze wpływały niekorzystnie lub kolidowały z interesami kapitału północnoamerykańskiego.

Przedstawione założenie posiadało źródła w innej,

bardziej fundamentalnej tezie, będącej w istocie główną osią całego programu Sojuszu dla Postępu. Chodzi o panujące przekonanie, iż wzrost dominacji gospodarczej USA może sprzyjać rozwojowi gospodarczemu krajów Ameryki Łacińskiej. Głosy krytyczne w tej kwestii, jeżeli się pojawiły, dotyczyły jedynie form owej dominacji, sposobów jej dostosowania do potrzeb gospodarczych regionu. Nigdy nie kwestionowano natomiast poglądu, że istnieją możliwości rozwoju gospodarczego krajów tam położonych w warunkach zależności od interesów północnoamerykańskiego kapitału monopolistycznego, tak jak nie widziano związku między zacofaniem gospodarczym i dominacją.

Wydaje się jednak, że byłoby błędne stwierdzenie, jakoby celem programu Sojuszu dla Postępu było przede wszystkim rozszerzenie ekspansji gospodarczej, że taka była jego główna motywacja. Problemy gospodarcze traktowano bowiem w ścisłym powiązaniu z potrzebą osiągnięcia celów politycznych. I chociaż dostrzegano możliwości sytuacji konfliktowych, traktowano je raczej jako odejście od normy i ogólnie zakładano harmonię interesów gospodarczych i politycznych.

W sferze polityki bieżącej Sojusz dla Postępu był pomyślany jako uzupełnienie antykubańskiej polityki. Miał być on ową „pozytywną stroną" negatywnej walki z rewolucją kubańską. W tym sensie latynoamerykańska polityka rządu USA lat sześćdziesiątych była próbą realizacji doktryny „powstrzymywania" w skali regionalnej, a Sojusz dla Postępu odgrywał w niej rolę swoistego planu Marshalla dla Ameryki Łacińskiej. Na podobieństwo wskazywał prezydent Kennedy w przemówieniu proklamującym program 13 marca 1961 roku, stwierdzając między innymi: „wierzę, że Stany Zjednoczone ze swej strony pomogą w zabezpieczeniu środków odpowiednich rozmiarów, by zapewnić powodzenie temu śmiałemu planowi rozwoju tak samo, jak pomogliśmy [...] odbudować ekonomikę Europy Zachodniej".

Pomiędzy programem Sojuszu dla Postępu i planem

Marshalla istniały poważne różnice. W polityce USA wobec krajów zachodnioeuropejskich w końcu lat czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych głównym motywem było przeświadczenie o konieczności udzielenia pomocy istniejącym systemom władzy, osłabionym wojną, w przekonaniu jednak o ich wartości. Innymi słowy, była to polityka utrzymania status quo nie tylko w sensie zapewnienia ciągłości ustrojowej, lecz również jej przejawów i form. W wypadku Ameryki Łacińskiej chodziło także o udaremnienie rewolucji socjalistycznej, lecz poprzez nadanie rozwojowi politycznemu krajów regionu nowego kierunku. Program Sojuszu dla Postępu opierał się na przesłance konieczności „modernizacji" istniejących systemów władzy, a nie po prostu ich wsparcia. I patrząc z tego punktu widzenia, przynajmniej w teorii, Stany Zjednoczone nie stały wyłącznie na gruncie status quo. Stąd hasło „pokojowej rewolucji" pomyślane jako ideologiczna alternatywa drogi kubańskiej. Dla kół rządzących USA łączyło się ono wyłącznie z kierunkiem zmian ewolucyjnych, reformistycznych, w warunkach porządku publicznego, umiarkowanego konfliktu i bez przemocy. Wskazywano zwłaszcza na konieczność eliminacji przemocy. Hasło „pokojowej rewolucji" wywodziło się bowiem w prostej linii z tradycyjnej mitologii demokracji liberalnej, której jednym z podstawowych założeń jest koncepcja pokojowego postępu. Zakłada ona dopuszczalność jedynie zmian pokojowych, a przemoc polityczną traktuje jako anomalię społeczną, jako rezultat takich cech grupowych, jak brak szacunku do prawa, histerii tłumów czy działalności wyobcowanych ze społeczeństwa jednostek. A więc ogólnie jako zjawisko wewnętrznie anormalne i „chorobliwe", a nie jako konsekwencję określonego systemu społeczno-politycznego, wyłącznego monopolu władzy elit, niedopuszczania do udziału w procesie podejmowania decyzji całych grup etnicznych i klas społecznych czy też ich wyzysku gospodarczego.

W tym potępieniu przemocy nie brakowało hipokryzji,

ponieważ koła rządzące Stanów Zjednoczonych przymykały oczy na najbardziej nawet brutalne jej przejawy ze strony dyktatorskich reżimów, a same przygotowywały się do użycia siły w obliczu perspektywy rewolucji w krajach regionu. Sprzeciw w istocie budziła jedynie przemoc rewolucyjna, a nie „legalna", wywodząca się z istniejących ośrodków władzy.

Podobny stosunek do problemu zmian nie tylko decydował o ograniczonym charakterze „pokojowej rewolucji" programu Sojuszu dla Postępu i określał jej klasową istotę, lecz wskazywał również na jej głęboko reakcyjne w rzeczywistości przeznaczenie polityczne.

## *Od Playa Giron do kryzysu karaibskiego 1962 roku*

W miarę radykalizacji rewolucji na Kubie wzrastała wobec niej wrogość Stanów Zjednoczonych. Brak możliwości wywierania wpływu na rozwój wydarzeń na wyspie był dla rządu USA szczególnie irytujący. Pierwsze akty młodej władzy, przede wszystkim radykalne zmiany w aparacie władzy, likwidacja sił zbrojnych Batisty, ustanowienie trybunałów ludowych do sądzenia osób współpracujących z byłym reżimem, dekret o reformie rolnej z maja 1959 roku, przewidujący między innymi nacjonalizację ziem należących do obywateli USA, i wreszcie zajęcie rafinerii towarzystw naftowych Texas Oil i Royal Dutch, odmawiających przerobu ropy radzieckiej, wywołały ostrą reakcję rządu Eisenhowera. W czerwcu 1960 roku wstrzymuje on całkowicie import cukru kubańskiego. Był to krok poważny, zważywszy że Kuba sprzedawała na rynek północnoamerykański 3 miliony ton cukru rocznie, czyli około połowy ówczesnej jej produkcji. W następnych miesiącach ograniczono stopniowo cały handel z Kubą, spodziewając się, że wywoła to trudności gospodarcze i zmusi rząd F. Castro do kompromisu. Można było

tego oczekiwać. Przed rewolucją gospodarka kubańska była strukturalnie zintegrowana niemal całkowicie z systemem kapitalizmu monopolistycznego Stanów Zjednoczonych. W 1959 roku inwestycje północnoamerykańskie na Kubie wynosiły około 1,5 miliarda dolarów. Do firm północnoamerykańskich należało między innymi 90% sieci telefonicznej i elektrycznej, 50% kolei, 25% wszystkich depozytów bankowych, około 40% produkcji cukru, poważne udziały w górnictwie i przemyśle naftowym. Nie było takiego kraju na świecie, którego rynek byłby do tego stopnia zdominowany przez Stany Zjednoczone. Aż 80% importu kubańskiego przypadało na towary północnoamerykańskie.

Wbrew oczekiwaniom gwałtowne zerwanie istniejących od lat 50 powiązań gospodarczych nie przyniosło rezultatów. Wywołało tylko ze strony kubańskiej oskarżenia o agresję gospodarczą. Nie osłabiły jednak determinacji przywódców Kuby w kontynuacji rewolucyjnych przemian. Decydującą rolę w tym okresie odegrała pomoc krajów socjalistycznych. W końcu 1961 roku pochłaniały one już prawie cały eksport cukru kubańskiego i przypadało na nie około 80% obrotów handlowych Kuby.

Pragnąc uzyskać sankcję międzynarodową dla dalszych kroków antykubańskich, Stany Zjednoczone dążyły w 1960 roku do zwołania organu konsultacyjnego OPA. Rządy latynoamerykańskie odniosły się do tej inicjatywy z wyraźną niechęcią i przez pewien czas blokowały ją skutecznie. Rewolucja kubańska cieszyła się ogromną popularnością w społeczeństwach krajów latynoamerykańskich, z którą liczyć się musiały nawet wrogie jej reżimy. Państwa regionu lansowały usilnie tezę, że sprawa nie posiada zasięgu ogólnoamerykańskiego, a dotyczy jedynie stosunków dwustronnych Kuby z USA. Obok niewątpliwej sympatii dla rewolucji kubańskiej, mającej bardzo różne źródła, najsilniejszym motywem sprzeciwu rządów latynoamerykańskich była po prostu niechęć do zajęcia jakiegokolwiek stano-

wiska, a już z pewnością nie chciały one uchodzić za wykonawcę poleceń Waszyngtonu.

W lipcu 1960 roku Peru wyręczyło USA, występując z formalnym wnioskiem o rozpatrzenie sprawy Kuby na forum OPA. Zwracała uwagę podejrzana zbieżność propozycji tego kraju z udzieleniem mu przez rząd Stanów Zjednoczonych pokaźnych kredytów oraz z przyznaniem zwiększonej kwoty importowej cukru.

Tak doszło do VI posiedzenia konsultacyjnego ministrów spraw zagranicznych OPA w sierpniu 1960 roku w San José, w Kostaryce. Sekretarz stanu C. Herter, podobnie jak poprzednio Dulles na konferencji w Caracas w 1954 roku, dążył do uzyskania od krajów latynoamerykańskich formalnego zobowiązania do podjęcia wspólnej akcji na wypadek powstania w Ameryce Łacińskiej „rządu komunistycznego". Pragnął również przyjęcia rezolucji potępiającej lub przynajmniej wymieniającej Kubę w tym kontekście. Nie znalazł wśród pozostałych uczestników zrozumienia. Ostatecznie uchwalono ogólnikową deklarację, która zawierała potępienie wszelkich prób ingerencji w sprawy Ameryki Łacińskiej ze strony jakiegokolwiek państwa spoza półkuli zachodniej, potwierdzała zasady nieinterwencji oraz stwierdzała, że system OPA jest „niezgodny z jakąkolwiek formą totalitaryzmu".

Rząd USA nie był w pełni zadowolony z rezultatów spotkania. Sprawiły natomiast pewną satysfakcję rządom latynoamerykańskim, porównującym je z wynikami konferencji w Caracas.

Brak poparcia ze strony innych członków OPA nie wpłynął w najmniejszym stopniu na politykę USA wobec Kuby. 3 stycznia 1961 roku prezydent Eisenhower podejmuje decyzję o zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Hawaną. 13 marca prezydent Kennedy, proklamując program Sojuszu dla Postępu, nie ukrywał, że jednym z jego celów jest walka z rewolucją kubańską. W tym czasie trwały gorączkowe przygotowania, rozpoczęte jeszcze w marcu

1960 roku, do obalenia rządu F. Castro według modelu „operacji gwatemalskiej" przy pomocy specjalnie w tym celu szkolonych emigrantów kubańskich. 21 marca 1961 roku powołali oni Radę Rewolucyjną, pełniącą funkcje rządu na emigracji. Trzy dni później Departament Stanu opublikował broszurę o Kubie, w której oskarżał rząd Castro o oddanie kraju w ręce komunistów i zamiar agresji na półkulę zachodnią. We wszystkich środkach masowego przekazu w atmosferze wzrastającej wrogości powielano schemat propagandowy, opierający się niezmiennie na stwierdzeniach w rodzaju, iż Castro doprowadził do wypaczenia rewolucji, obraża stale przywódców USA, odnosi się z wrogością do ich obywateli, zagarnął bezprawnie ich własność; rząd USA wykazywał wprost nadzwyczajną cierpliwość i wyrozumiałość, nadszedł jednak czas podjęcia zdecydowanej akcji, ponieważ nie można dopuścić, by w rękach komunistów znalazł się przyczułek na półkuli zachodniej, „zaledwie 90 mil od naszych wybrzeży".

17 kwietnia nastąpił moment kulminacyjny. Oddziały kontrrewolucjonistów kubańskich wylądowały na wyspie.

Inwazja na Playa Giron zakończyła się całkowitym niepowodzeniem. Określana w prasie amerykańskiej jako „jedna z najbardziej źle pomyślanych, zaplanowanych i wykonanych operacji wojskowo-wywiadowczych w historii" i jako „niesłychany błąd w ocenie sytuacji" stanowiła dla rządu Stanów Zjednoczonych klęskę dyplomatyczną, osłabiającą jego prestiż międzynarodowy.

Charakterystycznym i zadziwiającym zarazem był fakt, że nie nastąpiła po niej jakakolwiek poważna dyskusja na temat stanowiska rządu USA wobec Kuby. Na łamach prasy w dalszym ciągu dominowały wezwania do kontynuacji polityki wrogości wobec rewolucji kubańskiej. Typowy był komentarz z 24 kwietnia znanego dziennikarza Stuarta Alsopa, iż „prestiż, a nawet honor Stanów Zjednoczonych jest obecnie wyraźnie zaangażowany w doprowadzeniu do ostatecznego upadku Castro". Jedyną krytyką

oficjalną i prasową było w istocie wyrażenie smutku, iż przedsięwzięcie się nie udało, że zostało „spartaczone", że pełen dobrych intencji młody prezydent „poślizgnął się". Takie określenia jak „niepowodzenie", „fiasko", „katastrofa" były używane w kontekście rozczarowania i przy założeniu, że podobna akcja może zostać powtórzona. W tydzień po inwazji James Reston pisał, że naród amerykański „jeszcze może dotrzymać obietnicy utopienia brodatego tyrana w Morzu Karaibskim".

A jakie nauki wyciągnął rząd? Wbrew legendzie inwazja nie była wynikiem pospiesznej, nieprzemyślanej decyzji — pułapki. Wiele osób z najbliższego otoczenia prezydenta wyrażało otwarcie swoją opozycję. Był wśród nich i dowódca Marine Corps i podsekretarz stanu Ch. Bowles, a nawet, chociaż w sposób mniej zdecydowany, sekretarz stanu D. Rusk. W końcu marca senator Fulbright wręczył prezydentowi memorandum, w którym obszernie uzasadniał swój sprzeciw wobec projektu próby obalenia siłą rządu kubańskiego. Zamiast tego proponował on przyjęcie „polityki powstrzymywania" wobec Kuby w oparciu o program Sojuszu dla Postępu. Zalecenie to, które po inwazji zaczęto stopniowo wprowadzać w życie, po kryzysie karaibskim stało się podstawą całej latynoamerykańskiej strategii rządu USA.

Współpracownik prezydenta T. Sorenson twierdzi, że Kennedy zgodził się na inwazję głównie z powodu obawy przed politycznymi i psychologicznymi konsekwencjami odwołania już rozpoczętych przygotowań oraz częściowo dlatego, iż „czuł, że odrzucenie planu inwazji będzie przejawem słabości z jego strony, niezgodnym z ogólną jego postawą".

Na łamach „New York Timesa" z 23 lipca 1965 roku wyrażono natomiast przypuszczenie, że Kennedy nie chciał okazać się mniej antykubańskim, mniej zdecydowanym aniżeli poprzedni rząd republikański.

Obawiano się również reakcji ze strony kontrrewolucjonistów kubańskich. Uważano, że odwołanie inwazji

może wpłynąć „demoralizująco" na nich, osłabić ich wolę walki z rewolucją socjalistyczną. R. M. Bissel, Jr., który kierował przygotowaniami do całej operacji z ramienia CIA, wysunął nawet tego rodzaju uzasadnienie: uchodźcy kubańscy szkoleni w bazie gwatemalskiej do udziału w inwazji „stanowili najsilniejszą siłę wojskową na obszarach między Meksykiem i Panamą. Było całkiem prawdopodobne, że podejmą próbę opanowania dla siebie bazy w Nikaragui, Hondurasie lub w Gwatemali. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że byli oni w stanie pokonać armię gwatemalską".

Podstawowym jednak czynnikiem, który wpłynął na podjęcie decyzji, było przeświadczenie, że cała operacja przyniesie sukces. Opierało się ono na założeniu, że inwazja spowoduje natychmiastową aktywizację sił kontrrewolucyjnych na Kubie, że wywoła masowe powstanie przeciwko władzy rewolucyjnej. Wydarzenia wykazały jak bardzo odległe od rzeczywistości były podobne oceny sytuacji wewnętrznej na Kubie.

Ogólnie jednak fiasko operacji nie zmieniło sposobu myślenia. Niepowodzenia starano się nawet z początku zwyczajnie zbagatelizować. Jedna z czołowych postaci wśród doradców Białego Domu, McGeorge Bundy, skwitował je lakonicznie jako rzucenie „cegły w okno", a jak wiadomo nową szybę nietrudno wstawić.

Okazało się jednak, że szkody były większe. Inwazja nie tylko osłabiła prestiż międzynarodowy nowego rządu, lecz poderwała również jego pozycję wewnątrz kraju. Jej klęska wzbudziła w Stanach Zjednoczonych wątpliwości co do osądu Kennedy'ego i mądrości jego doradców. Stworzyła obraz prezydenta „niezdecydowanego", czego nie omieszkali wykorzystać konkurenci do władzy. Kuba stała się dla rządu „polityczną piętą Achillesa" i gdy prezydent określił ją jako „trudny orzech do zgryzienia", miał przede wszystkim na myśli implikacje w wewnętrznym życiu politycznym. Kennedy i jego doradcy wyciągnęli z całej sprawy jeden wniosek, że w istniejącej sytuacji zachodzi niemal konieczność zademonstrowania

twardej linii, by udowodnić wewnątrz kraju i za granicą, że pomimo piramidalnej głupoty swego przedsięwzięcia młody prezydent potrafi być silny, rozważny i stanowczy.

20 kwietnia, w trzy dni po inwazji, na spotkaniu z przedstawicielami wydawców prasowych, po pełnym hipokryzji stwierdzeniu, że jest on przeciwko interwencji jednostronnej jako sprzecznej z tradycją i zobowiązaniami międzynarodowymi Stanów Zjednoczonych, prezydent pospieszył z zapewnieniem, iż „nasza powściągliwość nie jest niewyczerpana. Jeżeli tylko okaże się, że ogólnoamerykańska doktryna nieinterwencji jest po prostu zwykłą wymówką lub przykryciem dla polityki bezczynności, jeżeli państwa półkuli zachodniej nie wypełnią swych zobowiązań przeciwdziałania przeciwko zewnętrznej penetracji komunistycznej, wówczas chcę, żeby istniało jednoznaczne zrozumienie tego, że rząd nie zawaha się wypełnić swojego głównego obowiązku, którym jest zapewnienie bezpieczeństwa kraju".

Innymi słowy, nie wykluczał on całkowicie możliwości interwencji ze strony Stanów Zjednoczonych. „Pobrzękiwanie szabelką" nie ustało. W tych warunkach pokojowe inicjatywy kubańskie pozostawały bez echa. Po pierwszej konferencji w Punta del Este, w sierpniu 1961 roku, E. Che Guevara w rozmowie ze specjalnym doradcą prezydenta R. Goodwinem, podkreślając nieodwracalność procesu rewolucyjnego na Kubie, proponował wypracowanie modus vivendi w stosunkach wzajemnych. Wskazywał między innymi, że rząd kubański jest gotów wypłacić odszkodowanie za wywłaszczoną własność obywateli Stanów Zjednoczonych i zobowiązać się do niezawierania formalnego sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Rząd USA odpowiedział milczeniem.

W drugiej połowie 1961 roku Stany Zjednoczone podejmują szeroką akcję dyplomatyczną, mającą na celu uzyskanie poparcia ze strony krajów Ameryki Łacińskiej dla swej antykubańskiej polityki. W styczniu 1962 roku udaje się im po wielu zabiegach doprowadzić do zwołania VIII konferencji konsultacyjnej OPA w Punta del Este. Sekretarz

stanu D. Rusk domagał się od krajów latynoamerykańskich podjęcia sankcji w formie kolektywnego zerwania stosunków dyplomatycznych oraz nałożenia embarga na handel z Kubą. Jego propozycja spotkała się ze sprzeciwem sześciu państw: Argentyny, Brazylii, Meksyku, Boliwii, Chile i Ekwadoru. Szczególne znaczenie posiadała opozycja Brazylii, występującej z postulatem koegzystencji z rządem Castro. Inne delegacje powoływały się na zasadę samostanowienia i poddawały pod wątpliwość legalność proponowanej akcji w świetle układu z Rio de Janeiro i Karty OPA.

Nie chcąc wyjechać z Punta del Este z pustymi rękoma, delegacja USA zmieniła taktykę i odstąpiła częściowo od koncepcji sankcji. Domagała się w zamian wykluczenia Kuby z OPA. Wspomniane wcześniej sześć krajów wystąpiło również z krytyką tej propozycji, wskazując, że nie jest to możliwe bez rewizji statutu organizacji. Wymaganą większość dwóch trzecich głosów uzyskały Stany Zjednoczone dopiero w rezultacie zakulisowych manewrów, w ostatniej niemal chwili kupując decydujący głos Haiti obietnicą pomocy gospodarczej. Nie tylko zresztą Haiti. Związek między poparciem latynoamerykańskim dla stanowiska rządu USA i bliską perspektywą obrad Kongresu USA nad zatwierdzeniem funduszy na Sojusz dla Postępu był ewidentny. Na mocy przyjętej w ten sposób rezolucji zawieszono prawa Kuby wynikające z przynależności do OPA do czasu zmiany ustroju społecznego jako niezgodnego z zasadami systemu ogólnoamerykańskiego. Na konferencji uchwalono również większością głosów (Brazylia, Chile, Ekwador i Meksyk wstrzymały się od głosu) rezolucję wzywającą do „natychmiastowego wstrzymania handlu bronią i sprzętem wojskowym z Kubą".

Konferencja w Punta del Este zakończyła się częściowym sukcesem rządu Stanów Zjednoczonych. Kraje Ameryki Łacińskiej zgodziły się bowiem z tezą, że rewolucja socjalistyczna jest nie do pogodzenia z systemem ogólnoamerykańskim. Brak jednak poparcia dla idei sankcji oraz opozycja ze strony sześciu państw przeciwko wykluczeniu

rządu Castro z OPA osłabiało poważnie wartość praktyczną przyjętych rezolucji. Podobnie jak w San José, Stanom Zjednoczonym nie udało się przekonać krajów latynoamerykańskich, że kubański rząd rewolucyjny stanowi zagrożenie dla pokoju i bezpieczeństwa półkuli zachodniej. Jedynym „udowodnionym przestępstwem" Kuby był jej ustrój społeczny, co w świetle przepisów konstytucyjnych OPA nie mogło zostać w żadnym wypadku uznane za podstawę do podjęcia sankcji zbiorowych. Stąd rezolucja wzywająca do wstrzymania handlu bronią z Kubą była wyraźnie naruszeniem tych przepisów.

Dla łaknącego sukcesów w kwestii kubańskiej rządu USA wyniki konferencji nie były zadowalające. Z jego punktu widzenia problem pozostawał nie rozstrzygnięty. Rząd Kuby cieszył się w dalszym ciągu ogromnym prestiżem i sympatią nie tylko w Ameryce Łacińskiej, ale również i na całym świecie. Stąd też antykubańskie posunięcia rządu Stanów Zjednoczonych nie miały dobrej prasy praktycznie nigdzie poza granicami Stanów Zjednoczonych. Tam znów były krytykowane jako zbyt mało skuteczne i określane często mianem „polityki bezczynności". Kuba nie zdradzała jakichkolwiek oznak osłabienia. Popularność władzy rewolucyjnej wśród mas kubańskich była ogromna w sposób widoczny dla każdego obserwatora. Stosunki z krajami socjalistycznymi rozwijały się z coraz większą intensywnością, a ich poparcie dla rewolucji stało się jednoznaczne. Obejmowało już nie tylko pomoc gospodarczą i polityczną, lecz również wojskową.

Takie było zewnętrzne tło wydarzeń, które rozegrały się w czasie tzw. kryzysu rakietowego lub kryzysu karaibskiego. Wypadki owych dni październikowych są powszechnie znane. Opisywano je wielokrotnie i poddawano analizie szczegółowej. Otacza je legenda i atmosfera patetycznego dramatu. Świat znalazł się przecież na krawędzi III wojny światowej.

Ale prezydent Stanów Zjednoczonych podjął drastyczne środki nie z powodu rzekomego zagrożenia ze strony

rakiet radzieckich na Kubie. Była to próba sił z ZSRR, chęć demonstracji całemu światu swojej stanowczości, możliwości i potęgi. Istniał jeszcze jeden czynnik, bardzo aktualny i praktyczny — polityka wewnętrzna. Kryzys nastąpił u progu wyborów do Kongresu. Komitet wyborczy Partii Republikańskiej ogłosił, że sprawa Kuby będzie „dominującym problemem kampanii wyborczej". Partia Republikańska zajęła w kwestii polityki wobec Kuby pozycję wprost łudząco podobną do okresu wyborów prezydenckich 1952 roku. Wówczas atakowano politykę „powstrzymywania" wobec krajów socjalistycznych, prowadzoną przez prezydenta Trumana, za „pasywność" i brak perspektyw oraz wysuwano w charakterze alternatywy demagogiczną doktrynę „wyzwalania". Podobnie obecnie żądano od rządu Kennedy'ego bardziej „aktywnej" postawy wobec rewolucji kubańskiej, a zarzuty formułowano za pomocą identycznych określeń. Nad wszystkim dodatkowo ciążył cień fiaska na Playa Giron.

Przedwyborcze sprawozdanie wiceprezydenta L. Johnsona podkreślało, że sprawa Kuby przyczyniła wiele szkód Partii Demokratycznej, a opinia publiczna nabiera przekonania, że prezydentowi brak stanowczości, że nie jest „mocnym człowiekiem". Potwierdzały to sondaże instytutów badania opinii publicznej, przewidujące utratę wielu miejsc w Kongresie przez Partię Demokratyczną. Kennedy był pełen najgorszych przeczuć co do perspektywy porażki w walce o stanowiska gubernatorów w wielkich kluczowych stanach Nowy York, Michigan, Ohio i Kalifornii, która mogła zaważyć na wyniku wyborów prezydenckich 1964 roku. Ten fakt plus decyzja zepchnięcia ZSRR do defensywy były rzeczywistymi przyczynami podjęcia historycznej decyzji o kwarantannie Kuby. Strach przed zagrożeniem ze strony tego kraju miał niewiele z tym wszystkim wspólnego. Jak pisał jeden z „ludzi prezydenta" R. Hilsman, w czasie kryzysu „Stany Zjednoczone być może nie były w śmiertelnym niebezpieczeństwie, lecz rząd był z pewnością". Później wszystko wyglądało już trochę jak w filmie

sensacyjnym. Nie dla pozostałego świata, lecz dla miejscowej publiczności. Urzędnicy siedzieli przy swych biurkach w czasie weekendu; w oknach Departamentu Stanu przez całe noce świeciło się światło; prezydent w otoczeniu szefów sztabu; wszyscy członkowie Kongresu ściągnięci do Waszyngtonu; ostre pogotowie wojenne w całym kraju.

W warunkach skrajnego napięcia osiągnięto kompromis. Rakiety rozmontowano w zamian za obietnicę Stanów Zjednoczonych wstrzymania się od interwencji wobec Kuby. Pokój został uratowany. Kryzys uczynił z prezydenta bohatera. Umocnił jego pozycję polityczną wewnątrz kraju. Playa Giron poszła w zapomnienie.

Obrana przez rząd Kennedy'ego „polityka powstrzymywania" wobec Kuby przestała być kwestionowana w Stanach Zjednoczonych. Oznaczała ona odejście od działań jednostronnych, porzucenie idei powtórzenia „operacji gwatemalskiej" i przejście do akcji wielostronnej za pomocą OPA. Rezygnacja z interwencji bezpośredniej nie oznaczała pogodzenia się z istnieniem socjalistycznej Kuby. Politykę USA tego okresu trafnie charakteryzowała wypowiedź byłego podsekretarza stanu E. Martina w Kongresie w lipcu 1963 roku.

„Jesteśmy zobowiązani — mówił on — do uczynienia wszystkiego, co w naszej mocy, aby zahamować polityczny, społeczny i gospodarczy rozwój Kuby pod rządami Castro, by uczynić go bardziej kosztownym dla Związku Radzieckiego i mniej atrakcyjnym dla Kubańczyków. Będziemy zachęcać i popierać naród tego kraju do zmiany obecnego rządu".

W praktyce oznaczało to kurs na całkowitą izolację polityczną i gospodarczą Kuby na półkuli zachodniej wraz ze stałym udzielaniem poparcia wszelkim elementom kontrrewolucyjnym. W rezultacie kubańskie władze rewolucyjne znalazły się w sytuacji nieustannego zagrożenia. Wspominając pierwsze lata po zwycięstwie rewolucji F. Castro tak charakteryzował ówczesne nastroje: „Byliśmy przekonani, że imperialiści szykują się do inwazji i w tym

czasie myśleliśmy tylko o tym, by zebrać broń w górach, przygotować się do wojny".

Świadomość niebezpieczeństwa nie mogła nie oddziaływać na postępowanie rządu kubańskiego. Tym bardziej że rozwój gospodarczy wyspy napotykał poważne trudności. Sytuacja ekonomiczna i międzynarodowa Kuby oraz poczucie wzrastającego osamotnienia przed przywódcami tego kraju postawiła zdecydowanie na plan pierwszy zadanie obrony rewolucji. Temu została podporządkowana cała polityka Kuby, wszelkie reakcje wobec biegu wydarzeń w świecie, a szczególnie w Ameryce Łacińskiej.

## *Kraje Ameryki Łacińskiej wobec Kuby (1960-1964)*

Rewolucja kubańska, towarzyszące jej wydarzenia, a szczególnie kryzys karaibski, wywołały gwałtowne przyspieszenie procesu polaryzacji sił politycznych w krajach latynoamerykańskich. Przybierał on formy ostrej konfrontacji, łącznie z walką zbrojną. Stał się jedną z przyczyn rozwoju ruchów partyzanckich. W tych warunkach pozycja ugrupowań reformistycznych, starających się stworzyć alternatywę zarówno dla prawicy jak i dla lewicy, uległa osłabieniu. Pod presją sił prawicowych i konserwatywnych, przestraszone perspektywą drogi rewolucyjnej, traciły one możliwości manewru, następnie zaś swoją autonomię i swoją osobowość, a wraz z tym często wpływy i władzę.

W tym procesie problem kubański odgrywał rolę niemal symboliczną. Stosunek do niego stał się podstawowym kryterium oceny postawy rządów i partii politycznych. Stąd też Stany Zjednoczone wywierając presję w kwestii kubańskiej nie tylko przyspieszały ów proces polaryzacji, lecz jednocześnie identyfikowały się z jednym z jego biegunów. Tym samym osłabiały pozycje sił reformistycznych, za którymi opowiadały się deklaratywnie. Prawica i siły zachowawcze zyskały zaś w konsekwencji w Stanach

Zjednoczonych sojusznika, co miało wpływ nie tylko na rozwój wewnętrzny państw latynoamerykańskich, ale również na realizację programu Sojusz dla Postępu.

Wspomniane procesy przebiegały w sposób zróżnicowany w poszczególnych krajach. Najwcześniej widownią ostrego konfliktu i krwawych zaburzeń wewnętrznych stały się Wenezuela i Kolumbia. W tych krajach ich reformistyczni przywódcy, R. Betancourt z Wenezueli i A. Lleras Camargo z Kolumbii, otwarcie stanęli po stronie prawicy i prześcigali się we wrogości wobec rewolucji kubańskiej. Reżimy dyktatorskie Ameryki Środkowej i rejonu Morza Karaibskiego sekundowały im w tym żarliwie. W innych krajach polaryzacja następowała w tempie wolniejszym. Rządy Argentyny, Boliwii, Brazylii, Meksyku, Ekwadoru, Urugwaju i Chile przez pewien czas, powodując się często odmiennymi motywami, skutecznie hamowały realizację „polityki powstrzymywania" wobec Kuby. Z tej grupy bardzo wcześnie wypadła Argentyna.

Ewolucja stanowiska rządu A. Frondiziego i krach kariery politycznej tego męża stanu były wielce charakterystyczne dla losów wielu polityków latynoamerykańskich o podobnej orientacji.

Zostawszy w 1958 roku pierwszym od lat „cywilnym" prezydentem, Frondizi realizował ogólnie politykę sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Jego rząd nie wysuwał haseł neutralności lub niezaangażowania. Nie identyfikował się również z krajami Trzeciego Świata. W poważnym stopniu decydowała o tym chęć podkreślenia odrębności swojej platformy politycznej od peronizmu. W wywiadzie prasowym dla agencji UPI, udzielonym 2 lutego 1959 roku na zakończenie wizyty w Stanach Zjednoczonych, pierwszej wizyty prezydenta argentyńskiego w całej historii wzajemnych stosunków, Frondizi podkreślał, że „los Argentyny jest obecnie związany ze Stanami Zjednoczonymi i z innymi państwami półkuli zachodniej. Argentyna już nigdy nie powróci do izolacjonizmu, który charakteryzował jej politykę w okresie dwóch wojen światowych, ani też do

neutralistycznej trzeciej pozycji, reprezentowanej przez reżim Perona".

Deklarując się jako sojusznik USA Frondizi uważał, że w istniejącej w początkach lat sześćdziesiątych ogólnej sytuacji międzynarodowej istnieje możliwość rewizji wzajemnych stosunków w kierunku nadania im cech partnerstwa.

Był on wyraźnie niechętny rewolucji kubańskiej i otwarcie podkreślał swój antykomunizm. Podobnie jednak jak wielu innych polityków latynoamerykańskich obawiał się, że problem kubański wywoła trudności wewnętrzne i przesłoni, tak jak zimna wojna w przeszłości, problemy gospodarcze w stosunkach z USA. W rozmowie z prezydentem Kennedym w Palm Beach na Florydzie w końcu grudnia 1961 roku wyraził to w sposób następujący:

„Kwestia Kuby, niezależnie od jej znaczenia, odciąga nas od poszukiwań optymalnych rozwiązań problemów zacofania gospodarczego, które są jedną z przyczyn sprawy kubańskiej. Zaproponowane środki represyjne odsuwają nas od ogólnej polityki prewencyjnej, która jest najważniejsza i jedyna, jaka może doprowadzić do uzyskania trwałych rozwiązań".

Opierając się na tego rodzaju założeniach rząd argentyński starał się doprowadzić do załagodzenia konfliktu USA – Kuba oraz do jego ograniczenia, by nie ciążył na całokształcie stosunków ogólnoamerykańskich. W kwietniu rząd argentyński wysunął projekt zwołania konferencji prezydentów USA, Meksyku, Chile, Brazylii i Argentyny w celu przedyskutowania sposobów zmniejszenia napięcia w rejonie Morza Karaibskiego. Zaoferował również swoje usługi w charakterze pośrednika w stosunkach między Waszyngtonem i Hawaną.

Niezrażony niepowodzeniem swych inicjatyw, które zostały odrzucone, Frondizi nie zaniechał prób mediacyjnych. W sierpniu 1961 roku spotyka się z E.Che Guevarą w Buenos Aires, co nie przynosi jednak żadnych rezultatów.

Aby rozwiązać jakiekolwiek wątpliwości co do swojej

pozycji, rząd argentyński występuje jednocześnie z żądaniem zwołania Ogólnoamerykańskiej Rady Obrony dla „rozpatrzenia dalszego w niej udziału delegata Kuby". 26 kwietnia 1961 roku Rada Obrony wykluczyła Kubę z tego organu. Więcej jednak Stany Zjednoczone pomimo starań nie były w stanie od Argentyny uzyskać. Zamiast oczekiwanego poparcia dla inicjatywy zwołania organu konsultacyjnego OPA rząd argentyński wystosował memorandum, w którym powrócił do swej poprzedniej koncepcji zwołania konferencji prezydentów pięciu państw, tym razem dla „przedyskutowania problemu kubańskiego i form pomocy dla Ameryki Łacińskiej". Charakterystyczne było łączenie sprawy Kuby z pomocą gospodarczą. Związek ten, uzasadniany często różnego rodzaju argumentacją, podkreślały również inne rządy latynoamerykańskie. Była to z ich strony próba kontynuacji tradycyjnej polityki wobec Stanów Zjednoczonych, a mieszczącej się w ramach prostej reguły: ustępstwa polityczne w zamian za korzyści gospodarcze.

Swoje stanowisko wobec sprawy Kuby prezydent Frondizi przedstawił szeroko i chyba najbardziej przejrzyście w dwóch podobnych w treści listach, skierowanych 2 stycznia 1962 roku do prezydentów USA i Kolumbii. W liście do Kennedy'ego podkreślał między innymi, że jest przeciwnikiem rządu F. Castro i nie podziela jego ideologii. Jednocześnie jednak, pisał Frondizi, Argentyna sprzeciwia się ingerencji wojskowej, jak również nie popiera propozycji zerwania stosunków handlowych i dyplomatycznych z Kubą. Według autora listu, tego rodzaju kroki nie zaszkodzą rządowi w Hawanie, lecz tylko stworzą trudności i naruszą stabilizację wewnętrzną w krajach Ameryki Łacińskiej. Prezydent Argentyny wyrażał obawę, że uchwalenie sankcji może doprowadzić do zjednoczenia sił lewicowych, ponieważ nikt nie uwierzy, iż nie zostały one podjęte pod presją USA. W charakterze alternatywy proponował, by „w formie kategorycznej wymienić wszystkie zasady, na których opiera

się solidarność kontynentalna, i postawić Kubę przed podjęciem decyzji, czy pozostaje w systemie ogólnoamerykańskim, czy też nie".

Innymi słowy, przerzucał odpowiedzialność za izolację Kuby na rząd tego kraju. Taki rozwój sytuacji byłby z pewnością ze względów polityki wewnętrznej wygodny dla wielu rządów latynoamerykańskich.

Stany Zjednoczone nie zgodziły się z tą propozycją pomimo jej ponownego wysunięcia na VII konferencji w Punta del Este. Jednak stanowisko Argentyny wywarło wówczas wpływ na odejście przez delegację USA od koncepcji sankcji. Delegat Argentyny wstrzymał się również od głosu przy uchwalaniu rezolucji o wykluczeniu Kuby.

Pełne sprzeczności i pozbawione w istocie konsekwencji stanowisko rządu Frondiziego wobec Kuby wywołało ostrą reakcję ze strony armii argentyńskiej. Pod jej presją, zaledwie w kilka dni po konferencji w Punta del Este, 8 lutego 1962 roku Argentyna zrywa stosunki dyplomatyczne i handlowe z Kubą. Ustępując prawicy, Frondizi osłabił jednocześnie swoje pozycje wśród innych ugrupowań politycznych. W tym czasie sytuacja wewnętrzna w Argentynie rozwijała się niekorzystnie dla niego. W wyborach na stanowiska gubernatorów prowincji i uzupełniających do Kongresu w marcu 1962 roku zwycięstwo odnieśli peroniści. Siły zbrojne zareagowały błyskawicznie i 28 marca w drodze zamachu stanu odsunęły Frondiziego od władzy.

W Stanach Zjednoczonych obserwowano rozwój wydarzeń w Argentynie z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony postawa Frondiziego wobec Kuby wywoływała w Waszyngtonie irytację. Od momentu jego obalenia USA zyskały w Argentynie ważnego sojusznika w kwestii kubańskiej. Z drugiej jednak strony Frondizi był uważany za przyjaciela Stanów Zjednoczonych i pokładano w nim duże nadzieje, że stworzy atrakcyjną alternatywę wobec peronizmu, którego odrodzenia rząd USA obawiał się najbardziej. Nie szczędzono rządowi Frondiziego pomocy

finansowej, często wyrażano aprobatę dla jego posunięć w polityce wewnętrznej. Ostatecznie jednak rząd Kennedy'ego po krótkich wahaniach postanowił nie reagować na zamach stanu i zaakceptować zaistniały stan rzeczy.

Najpoważniejszą przeszkodą w realizacji „polityki powstrzymywania" wobec Kuby było stanowisko Brazylii w okresie rządów J. Quadrosa (1960--1961) i I. Goularta. Ich polityka zagraniczna stanowiła wyłom w tradycji tego kraju, orientującego się w przeszłości najczęściej na Stany Zjednoczone i lansującego hasło pierwszego sojusznika tego mocarstwa w Ameryce Łacińskiej. W Brazylii najsilniej przejawiły się tendencje do neutralizmu i niezaangażowania. Prowadziła ona aktywną działalność na rzecz zbliżenia ze światem afro-azjatyckim. Częściowo nowa platforma wynikała z przekonania, że w warunkach zmienionej ogólnej sytuacji międzynarodowej, rywalizacji o przyszłość Trzeciego Świata, niezależność w sferze polityki zagranicznej uczyni Stany Zjednoczone bardziej skłonne do udzielenia zwiększonej pomocy gospodarczej. Była również spowodowana rozczarowaniem do praktycznych rezultatów poprzedniej polityki sojuszu z USA.

Jak pisał H. Jaguaribe, jeden ze znanych autorów brazylijskich: „Oprócz pozbawienia nas korzyści z wymiany handlowej ze Wschodem proamerykańska polityka zagraniczna umiejscowiła nasz kraj samotnie w systemie hegemonii Stanów Zjednoczonych, co spowodowało negatywne konsekwencje. Popadając przez tę politykę w stan całkowitej zależności od interesów Stanów Zjednoczonych staliśmy się jedynie ich narzędziem".

W kwestii kubańskiej Brazylia głosiła potrzebę współistnienia z rządem F. Castro i sprzeciwiała się wszelkim krokom represyjnym. Dawała też dowody sympatii wobec rewolucji kubańskiej. Po pierwszej konferencji w Punta del Este w sierpniu 1961 roku prezydent Quadros nie zawahał się udekorować Che Guevarę wysokim odznaczeniem brazylijskim.

Największy niepokój Waszyngtonu wywoływała jednak

nie tyle polityka zagraniczna Brazylii, ile przede wszystkim jej sytuacja wewnętrzna. Charakteryzował ją brak stabilizacji gospodarczej i społecznej, pogłębiony słabą pozycją rządu. I. Goulart, który objął urząd prezydencki w warunkach kryzysu politycznego we wrześniu 1961 roku, w rezultacie rezygnacji Quadrosa, usiłował odgrywać rolę mediatora i prowadził politykę ustępstw wobec zwalczających się wzajemnie sił, dążąc do utrzymania bardzo kruchej ich równowagi. Jego próby umocnienia własnej pozycji kończyły się niepowodzeniem. W istocie nikt nie uważał go za reprezentanta swoich interesów. Siły prawicowe pragnęły się go pozbyć. Lewica natomiast uważała go za prezydenta okresu przejściowego i dążyła do wykorzystania jego słabości dla umocnienia własnych pozycji wobec prawicy. W rezultacie Goulart był pozbawiony możliwości efektywnego sprawowania władzy i zmuszony do ciągłych manewrów i kompromisów.

Rząd Stanów Zjednoczonych śledził z obawą wydarzenia w Brazylii, lękając się, by ich rozwój nie doprowadził, jak to określał ówczesny wiceprezydent L. Johnson, do powstania „nowych Chin". Przestraszony mocą wystąpień brazylijskich mas ludowych, nie dażąc zaufaniem Goularta, którego oceniano w Waszyngtonie jako polityka niezdolnego do zaprowadzenia „porządku w kraju", Biały Dom wyraźnie postawił na przejęcie władzy przez siły prawicowe. Stąd też ostre ograniczenie pomocy finansowej w tym czasie dla Brazylii ze strony USA i zależnych od nich międzynarodowych organizacji nie miało na celu wywierania wpływu na kierunek polityki rządu Goularta, lecz pogłębienie trudności gospodarczych w tym kraju i stworzenie warunków do zmiany władzy. Odmowa udzielenia kredytów była formalnie uzasadniona względami ekonomicznymi. Wysuwając pod adresem Goularta żądania zmiany polityki gospodarczej zdawano sobie sprawę, że w wypadku akceptacji przez niego zalecanych kroków „stabilizacyjnych" wejdzie on w konflikt z całą lewicą, pozbawi się poparcia szerokich mas i tym samym

zda się na łaskę sił prawicowych. Innymi słowy, żądano od niego „politycznego samobójstwa".

Tak się po części stało, gdyż Goulart starał się niektóre z zaleceń kredytodawców realizować. W kwietniu 1964 roku siły zbrojne dokonały zamachu stanu i pod hasłem „ratowania kraju przed komunizmem" obaliły prezydenta. Rząd Stanów Zjednoczonych nie krył swego zadowolenia. Uznanie nowych władz było natychmiastowe i wyrażone z entuzjazmem. W ślad za nim przyznano fundusze na pomoc gospodarczą. Brazylia stała się jej największym odbiorcą w Ameryce Łacińskiej. Tę metamorfozę stanowiska Waszyngtonu ilustrują wymownie poniższe dane o pomocy gospodarczej dla Brazylii w tym okresie:

| *rok* | *mln dol.* |
|---|---|
| 1962 | 81,1 |
| 1963 | 38,1 |
| 1964 | 15,1 |
| 1965 | 122,1 |
| 1966 | 129,3 |

Jednym z pierwszych kroków nowych władz brazylijskich było zerwanie wszelkich kontaktów z Kubą. Stany Zjednoczone mogły już ze spokojem oczekiwać na rezultaty zwołanej do Waszyngtonu w lipcu 1964 roku IX konferencji konsultacyjnej OPA. Istotnie uczestnicy konferencji potępili Kubę i uchwalili jako sankcję obowiązkową zerwanie stosunków dyplomatycznych i handlowych z tym krajem oraz przerwanie z nim wszelkiej komunikacji i innych kontaktów. Przeciwko rezolucji głosowały cztery państwa: Boliwia, Urugwaj, Chile i Meksyk. Argentyna wstrzymała się od głosu. Po konferencji pierwsze trzy podporządkowały się uchwale OPA. Jedynym więc krajem w Ameryce Łacińskiej, który nie zerwał stosunków dyplomatycznych z Kubą, był Meksyk. Rząd tego kraju zajął w kwestii kubańskiej najbardziej stałe stanowisko.

Podobnie jak w innych krajach latynoamerykańskich

również w Meksyku sprawa rewolucji kubańskiej stała się przedmiotem walki wewnętrznej. Meksykańska elita rządząca wykorzystuje politykę zagraniczną do tworzenia określonego obrazu na użytek wewnętrzny dla podbudowania swojej władzy argumentem, że wywodzi się ona w prostej linii z rewolucji meksykańskiej. Obraz ten zawiera zazwyczaj stwierdzenie, że Meksyk jest rządzony przez niezykle narodowo nastawioną i patriotyczną elitę, prowadzącą samodzielną politykę zagraniczną, co w kontekście realiów tego kraju oznacza niezależność od Stanów Zjednoczonych. Stąd w okresie powojennym dla kolejnych rządów meksykańskich stałym problemem było podtrzymywanie tego obrazu pomimo jego sprzeczności z rzeczywistością, którą były ścisłe związki z USA i zależność gospodarcza od północnego sąsiada. Przykład stosunków z Kubą ilustruje podobne starania.

Meksykańczycy, wychowani w duchu ideałów własnej rewolucji, z entuzjazmem przywitali pojawienie się nowej Kuby. W miarę narastania kryzysu w stosunkach Hawany z Waszyngtonem i wraz z pojawieniem się nacisków w kierunku okazania „solidarności" przeciwko rządowi Castro Meksyk znalazł się w niełatwej sytuacji. Trudności wynikały nie tylko z powodu czynnika zewnętrznego, ale również były spowodowane sytuacją wewnętrzną. Wybór kierunku polityki zagranicznej wobec Kuby stał się przedmiotem ostrej walki politycznej pomiędzy różnymi grupami nacisku wewnątrz monopolistycznie rządzącej Partii Instytucjonalno-Rewolucyjnej i poza nią. Na lewo od centrum ubolewano nad „śmiercią meksykańskiej rewolucji" i nad stagnacją struktury władzy politycznej. Dla tych elementów poparcie dla rewolucji kubańskiej odzwierciedlało dążenie do reform i walkę z dominacją Stanów Zjednoczonych. Na prawo od centrum słuchano natomiast z podejrzliwością niektórych populistycznych wypowiedzi prezydenta L. Mateosa, a szczególnie krytycznie oceniano jego oświadczenia o potrzebie bardziej sprawiedliwego podziału dochodu narodowego. Dla

tych grup poparcie dla Kuby oznaczało osłabienie ścisłych więzi z USA i zmniejszenie atrakcyjności kraju dla inwestorów zagranicznych. Fakt, że L. Cardenas, ostatni z reformistycznych prezydentów Meksyku (1934–1940) i uznany przywódca lewego skrzydła partii rządzącej, występował w obronie rewolucji kubańskiej, potęgował zaniepokojenie prawicy.

Dla lewego skrzydła Partii Instytucjonalno-Rewolucyjnej sprawa stosunków z Kubą przekształciła się w wygodny pretekst dla mobilizacji sił na rzecz zmian w systemie politycznym. Dla prawego skrzydła tej partii Kuba stała się probierzem populistycznych tendencji w polityce rządu Mateosa. W drugiej połowie 1960 i w 1961 roku oba skrzydła prowadziły ożywioną debatę. Lewica żądała, by prezydent jednoznacznie poparł rewolucję kubańską, określaną jako podobną do meksykańskiej, którą chciano reaktywować. Prawica ostrzegała rząd przed negatywnymi skutkami udzielenia poparcia rządowi „komunistycznemu". Po jej stronie opowiedziały się główne organizacje przemysłowe i handlowe oraz część hierarchii kościelnej.

O rezultatach tej „wielkiej debaty" zadecydowała sytuacja gospodarcza Meksyku i jego zależność od Stanów Zjednoczonych. Tempo wzrostu gospodarczego Meksyku zmniejszało się od 1955 roku. Jeżeli w latach pięćdziesiątych wynosiło ono średnio 2,8% rocznie, w okresie 1960–1962 uległo zmniejszeniu do zaledwie 0,8% rocznie. W 1960 roku uległa zahamowaniu działalność inwestycyjna miejscowego kapitału prywatnego. Po raz pierwszy w okresie powojennym ogólna suma wywiezionego kapitału zagranicznego przewyższyła jego przypływ. Rząd próbował ratować sytuację poprzez zwiększenie roli sektora publicznego. Tego rodzaju polityka wymagała jednakże uzyskania kredytów zagranicznych. W praktyce udzielić ich mogły jedynie Stany Zjednoczone lub zależne od nich międzynarodowe organizacje finansowe. Prawe skrzydło dowodziło, że przyczyną trudności gospodarczych jest realizacja koncepcji populistycznych i polityka wobec

Kuby, które powodują utratę zaufania u przedstawicieli sektora prywatnego miejscowego i zagranicznego. Potwierdzano ten sąd w Stanach Zjednoczonych. W specjalnym sprawozdaniu ekonomicznym „The New York Times" na temat Meksyku z 11 stycznia 1961 roku podkreślano, że do pogłębienia się kłopotów gospodarczych przyczyniają się prokubańskie oświadczenia.

Rząd meksykański kontynuował niezależny kurs w polityce zagranicznej wobec Kuby do końca 1961 roku. Na konferencji w Punta del Este w styczniu 1962 roku meksykański minister spraw zagranicznych zademonstrował już nowe stanowisko. Poparł on tezę, że rząd kierujący się ideologią marksistowsko-leninowską nie może uczestniczyć w OPA. Jednocześnie, jego zdaniem, Karta OPA nie zawiera odpowiednich postanowień w tej materii. Dlatego też głosował przeciwko uchwale o wykluczeniu rządu kubańskiego z OPA, wysuwając obiekcje prawno-proceduralne. W ten sposób rozstrzygnięto trudny dylemat. Rząd Meksyku mógł bowiem twierdzić, że nie poparł antykubańskiej rezolucji. Jego sprzeciw nie nosił jednakże charakteru merytorycznego. Prawe skrzydło partii rządzącej aprobowało stanowisko rządu. W 1964 roku na konferencji w Waszyngtonie delegacja Meksyku zastosowała identyczną taktykę. I również w tym wypadku rząd uzyskał akceptację prawicy. Trudno żeby miała ona jakiekolwiek pretensje, skoro Departament Stanu też nie protestował przeciwko decyzji Meksyku o utrzymanie stosunków z Kubą i podkreślał, że nie zakłóca ona w niczym dobrych stosunków między obu krajami. Stany Zjednoczone wykazały „ojcowską wyrozumiałość" i brak formalizmu. Meksyk uzyskał kredyty międzynarodowe, wzrósł przypływ północnoamerykańskiego kapitału prywatnego.

Wyniki IX waszyngtońskiej konferencji konsultacyjnej OPA z lipca 1964 roku stanowiły punkt kulminacyjny czteroletnich wysiłków Stanów Zjednoczonych. Koncepcja izolacji politycznej i gospodarczej Kuby święciła zwycięstwo, a wraz z nią doktryna jednorodności ustrojowej Ameryki Łacińskiej. Rewolucja kubańska została przez OPA

wyklęta i wyjęta spod prawa. Od tego momentu blokada tego kraju była niemal całkowita. Nie oznaczało to jednak zamknięcia rozdziału kubańskiego w stosunkach ogólnoamerykańskich. Problem istniał nadal i oddziaływał silnie na dalszy ich rozwój.

## *Przeciwko dyktatorom*

Inaugurując program Sojuszu dla Postępu prezydent Kennedy użył jako motto słów Benito Juáreza: „Demokracja jest przeznaczeniem ludzkości". A w swym wystąpieniu podkreślał z mocą, iż sukces programu zależy od wprowadzenia w krajach latynoamerykańskich demokratycznych systemów władzy — „wolność polityczna musi towarzyszyć postępowi materialnemu [...] progresso si, tirania no!"

Przytoczone słowa nie były wygłoszone wyłącznie dla ozdoby. Nie służyły osiągnięciu li tylko efektu propagandowego. W Waszyngtonie rzeczywiście wierzono, że reformy społeczne i polityczne są dla krajów Ameryki Łacińskiej niezbędne, że ich wprowadzenie umocni tzw. demokratyczną lewicę, że stanie się ona atrakcyjną alternatywą polityczną dla narodów latynoamerykańskich zarówno wobec ugrupowań prawicowych i konserwatywnych, jak i wobec lewicy rewolucyjnej. L. Muñoz Marin, przyjaciel Kennedy'ego i długoletni gubernator Puerto Rico, uchodzący z tego powodu za wybitnego znawcę problemów latynoamerykańskich, jeden z „ojców" Sojuszu dla Postępu, wielokrotnie podkreślał, że tylko udzielenie poparcia "demokratycznej lewicy" uczyni z tego programu przedsięwzięcie udane. Była ona, jego zdaniem, jedyną grupą polityczną w Ameryce Łacińskiej, „która rzeczywiście pragnie całkowitego powodzenia Sojuszu". A nawet więcej, bo „jedyną nie totalitarną siłą, która rozumie istotę fermentu rewolucyjnego w Ameryce Łacińskiej i jest zdolna zapewnić odpowiedzialne kierownictwo dla nadania tej rewolucji kierunku konstruktywnego".

Wyznaczeni w charakterze głównych wykonawców pro-

gramu Sojuszu dla Postępu i określani wspólną nazwą „demokratycznej lewicy" politycy stanowili w istocie bardzo zróżnicowaną grupę. Wchodzili do niej zarówno przedstawiciele klas średnich, jak i oligarchii. Zaliczano do niej między innymi takie postacie, jak kolejnych prezydentów Wenezueli R. Betancourta i R. Leoni, założyciela partii Amerykański Rewolucyjny Sojusz Ludowy (APRA) Peruwiańczyka V. R. Haya de la Torré, prezydenta J. Figueresa z Kostaryki, argentyńskiego prezydenta A. Frondizi, boliwijskiego V. Paz Estenssoro, kolumbijskiego Lleras Camargo i J. Boscha z Republiki Dominikańskiej.

Działacze ci, o bardzo różnej, często barwnej przeszłości politycznej, byli przeważnie postaciami znanymi w Ameryce Łacińskiej. Bardziej politycy aniżeli ideolodzy, niekiedy sfrustrowani przeszłymi doświadczeniami walki o władzę, widzieli w poparciu Stanów Zjednoczonych rękojmię swych dalszych sukcesów, a w programie Sojuszu dla Postępu dogodną platformę polityczną. Żądali od Waszyngtonu, by jednoznacznie wypowiedział się po ich stronie, a nawet więcej, by formalnie porzucił politykę nieinterwencji i stał się ich patronem politycznym, gotowym w razie potrzeby użyć wszelkich środków w ich obronie. Dawali tym świadectwo słabości i braku wiary we własne siły. I niezależnie od subiektywnej motywacji i od tego, co często głosili, ich pozycja była przejawem postawy sprzedajnej i antynarodowej. Nie tylko godzili się, lecz uważali za konieczne, ba, nawet za dobrodziejstwo, utrzymanie swych krajów w jarzmie zależności, w kajdanach dominacji mocarstwowej. I w tym byli najbardziej atrakcyjni dla Stanów Zjednoczonych. Nie darmo w Waszyngtonie mówiono o nich jako o „prawdziwych patriotach", a nie jako o „nacjonalistach".

Wielu z nich wierzyło przypuszczalnie szczerze w potrzebę reform, w konieczność dokonania zmian w skostniałych strukturach społeczno-politycznych swych krajów, w nieodzowność szybszego rozwoju gospodarczego. I w tym byli odmienni od przedstawicieli interesów oligarchii, od

całej latynoamerykańskiej prawicy, zarówno tej „oświeconej" jak i wszelkiej innej. Lecz z równą mocą byli oni przekonani, że w istniejącym światowym układzie sił postęp w ich krajach jest zależny od pozytywnego zaangażowania Stanów Zjednoczonych, że nie może on być dokonany inaczej jak tylko w ramach ustroju kapitalistycznego.

Sprawą interesującą jest nie to, że właśnie tego rodzaju polityków uznano za najbardziej godnych roli nowych przywódców Ameryki Łacińskiej, ale raczej, że uważano ich za zdolnych do jej odegrania. Z pewnością poważne znaczenie posiadały względy subiektywne, fakt, że dobrze ich znano i że się „podobali". Nie reprezentowali ani antyjankesizmu, ani nacjonalizmu. Opowiadali się w sposób jednoznaczny jako przeciwnicy rewolucji socjalistycznej, jako zdecydowani antykomuniści. Głosili przynależność do cywilizacji zachodniej. Nie zdradzali też żadnych odchyleń ideologicznych w stronę marksizmu. Byli przeświadczeni o wyższości systemu demokracji burżuazyjnych. To ułatwiało porozumienie, pozwalało znaleźć wspólny język, decydowało o sympatii, lecz przecież nie przesądzało sprawy przydatności. Nie tym się więc wyłącznie kierowano. Wątpliwe też, by decydowały o wyborze propagowane wówczas przez niektórych przedstawicieli świata akademickiego w Stanach Zjednoczonych teorie wzrostu roli i znaczenia klas średnich w społeczeństwach latynoamerykańskich.

Wydaje się, że motywy wynikały w tym wypadku z bardziej przyziemnych przesłanek i nie rodziły się na gruncie analizy realiów latynoamerykańskich. Przeświadczenie, że „demokratyczna lewica" będzie w stanie sprawować skutecznie władzę w Ameryce Łacińskiej, wywodziło się z tego samego źródła, co wiara w sukces programu Sojuszu dla Postępu. Z przekonania mianowicie, że Stany Zjednoczone, z ich gospodarczo-militarnym potencjałem, są zdolne modelować na podobieństwo swoje rozwój polityczny innych krajów. Wystarczy znaleźć właściwych poli-

tyków w sensie chęci, przekonań i zdolności. Możliwości nie są w istocie warunkiem niezbędnym, ponieważ Stany Zjednoczone są w stanie je stworzyć. Wspomniany Muñoz w wygłoszonym 3 maja 1962 roku przemówieniu ostrzegał, że cele polityczne Sojuszu mogą nie zostać osiągnięte w przypadku, gdy „partiom demokratycznej lewicy zabraknie kilku tysięcy dolarów". Oto i cały problem. Wystarczy go rozwiązać, a zwycięstwo będzie zapewnione. Ignorancja czy może rezultat doświadczeń wyniesionych z życia politycznego Stanów Zjednoczonych plus optymizm, wywodzący się z poczucia wszechpotęgi.

Wiara w powodzenie przedstawionej kombinacji politycznej była dlatego silna, że rozwój sytuacji w Ameryce Łacińskiej w drugiej połowie lat pięćdziesiątych zdawał się potwierdzić istnienie mocnych tendencji w krajach rejonu do zerwania z despotyzmem i militaryzmem. Jeszcze w 1954 roku 12 z 20 państw latynoamerykańskich było rządzone przez ludzi w mundurach, którzy doszli do władzy przeważnie drogą pozakonstytucyjną. W połowie 1961 roku pozostał już tylko jeden z nich przedstawiciel — generał A. Stroessner w Paragwaju.

Hasła demokratyczne w programie Sojuszu dla Postępu, będące przede wszystkim rezultatem kalkulacji politycznej, pojawiły się również po części jako reakcja na krytykę powojennych rządów USA za ich popieranie reżimów dyktatorskich, wypowiadaną często tak w Stanach Zjednoczonych, jak i w krajach latynoamerykańskich.

Zgadzał się z nią prezydent Kennedy, uważając, że przyniosła ona wiele szkód. W książce *Strategia pokoju* pisał, że przebieg rewolucji kubańskiej mógł być inny, gdyby „rząd Stanów Zjednoczonych nie popierał Batisty tak długo i tak bezkrytycznie".

Rozdźwięk pomiędzy liberalną frazeologią i praktyką polityki zagranicznej USA był bowiem w wypadku Ameryki Łacińskiej zbyt ewidentny, by mógł nie wywoływać wątpliwości u każdego. Trudno było oskarżać F. Castro o zdradę demokracji, a jednocześnie darzyć względami reżimy dykta-

Biblioteka Główna

torskie. Podobnie, jak niełatwo było znaleźć odpowiedź na pytania postawione przez meksykańskiego intelektualistę C. Fuentesa, który zwracając się do opinii publicznej Stanów Zjednoczonych, pisał w okresie nasilenia ataków na kubański rząd rewolucyjny: „Dlaczego nie rozpoczniecie kampanii prasowej przeciwko Somozie, dlaczego nie interweniowaliście w Wenezueli za władzy Péreza Jimèneza, dlaczego popieraliście przez 30 lat Trujillo, dlaczego nie wypowiecie się przeciwko Stroessnerowi? Co mamy myśleć o was, gdy udzielacie pomocy przestępczym i skorumpowanym reżimom".

Nie był to głos jedyny i pierwszy, oskarżający Stany Zjednoczone o moralną hipokryzję. Nawet przyjaciel tego kraju R. Betancourt czuł się „skonsternowany" i „zażenowany" faktem udzielania przez USA pomocy dyktatorom, która wyłącznie „umacniała ich tyranię".

Problem nie był obcy wielu przywódcom Stanów Zjednoczonych, choć ulegał istotnemu przekształceniu w ich świadomości. Odzwierciedlał on w pewnym sensie stały konflikt wewnętrzny północnoamerykańskiego pragmatyzmu w jego licznych przejawach – między silnie rozwiniętym dogmatycznym idealizmem a wiarą w sukces i efektywność działania jako probierza prawdy. Te dwa elementy występowały od lat w doktrynie polityki zagranicznej USA. Nie były jednak zazwyczaj traktowane jako kłócące się ze sobą. Mocarstwowy szowinizm i rasizm godził je znakomicie. Poczucie wyższości, przekonanie o większej wartości i doskonałości własnych instytucji politycznych, „wyjątkowości" rozwoju historycznego Stanów Zjednoczonych, pozwalały na nieskrępowaną swobodę postępowania wobec „niedojrzałych" cywilizacyjnie krajów. Wątpliwe, by W. Wilson widział jakąkolwiek sprzeczność między polityką kanonierek i interwencji w Ameryce Łacińskiej a swymi 14 punktami. Z pełną świadomością nie traktował państw latynoamerykańskich jako równoprawnych partnerów w przekonaniu ich „niedojrzałości" w porównaniu z narodami europejskimi.

Poczucie wyższości zrodziło dwie postawy, funkcjonujące w praktyce w zależności od realnych potrzeb i subiektywnych skłonności ich reprezentantów. Pierwsza z nich, pojawiająca się w momentach szczególnej ofensywności Stanów Zjednoczonych na półkuli zachodniej, głosiła hasło „misji cywilizacyjnej". Prezydent Theodore Roosevelt w 1904 roku tłumaczył swą politykę brutalnej ekspansji jako „zobowiązanie moralne" do przekazania wyższej kultury mniej cywilizowanym narodom. Według niego, Stany Zjednoczone były „zmuszone" jako „państwo cywilizowane" spełniać funkcje „międzynarodowej władzy policyjnej" na półkuli zachodniej w przypadkach „ogólnego rozluźnienia więzów cywilizacyjnych" w krajach tam położonych.

W. Wilson też uważał, że narody latynoamerykańskie należy uczyć demokracji. Wkrótce po objęciu urzędu prezydenta w 1913 roku wysłał on do wszystkich placówek dyplomatycznych USA w Ameryce Łacińskiej instrukcję, której treść sprowadzała się do stwierdzenia, że Stany Zjednoczone są uprawnione do odgrywania roli sędziego w konfliktach wewnętrznych państw latynoamerykańskich i nie będą uznawały rządów ustanowionych na drodze pozakonstytucyjnej.

Istniała inna postawa, kładąca bardziej nacisk na efektywność prowadzonej polityki i łagodząca idealizm pełną pogardy tolerancją. Franklin Roosevelt nazywał Trujillo „skończonym łajdakiem", lecz uważał, że ponieważ jest on dla Stanów Zjednoczonych pożyteczny, należy udzielać mu poparcia. Tkwiło za tym rozumowaniem przeświadczenie, że obecność reżimów dyktatorskich jest w Ameryce Łacińskiej czymś naturalnym, elementem charakterystycznym pejzażu politycznego, a wynikającym z niższego poziomu kulturowego jej mieszkańców.

Prezydent Eisenhower nie czynił żadnego zróżnicowania w stosunkach z dyktatorskimi i tzw. demokratycznymi rządami. Jedynym kryterium był stopień zaangażowania po stronie USA w zimnej wojnie. Nie miał też skurpułów w okazywaniu szczególnych względów dyktatorom, deko-

rując wysokimi orderami takich ich przedstawicieli, jak generała Péreza Jiméneza z Wenezueli i M. Odrię z Peru.

W stanowisku rządu Kennedy'ego można było natomiast doszukać się z łatwością tego poczucia „misji cywilizacyjnej", która polegała na ratowaniu Ameryki Łacińskiej dla Zachodu. Pod tym względem mieścił się on w tradycji latynoamerykańskiej polityki swego kraju, a szczególnie jej nurtu pierwszego z omawianych, zakładającego istnienie moralnego prawa do interwencji w sprawy wewnętrzne „młodszych braci" na południe od Rio Grande, w imię szerzenia „szczytnych ideałów amerykańskiej demokracji".

Nie była to jednak krucjata czysto ideologiczna, lecz podjęta dla osiągnięcia konkretnych celów politycznych, a wśród nich głównego – utrzymania Ameryki Łacińskiej w sferze wpływów Stanów Zjednoczonych. Co oznaczało w praktyce walkę z ruchami rewolucyjnymi, z wpływem przykładu kubańskiego, dążenie do „stabilizacji" społeczno-politycznej półkuli zachodniej, by pozostawała bezpiecznym obszarem dla penetracji północnoamerykańskiego kapitału monopolistycznego. Wyznaczone cele były probierzem sukcesu polityki, one też zadecydowały o ostatecznych losach hasła „walki z dyktatorami".

Od samego początku programowe hasła przemian demokratycznych stały w ostrym konflikcie z rzeczywistością. Czyż pierwotnymi sygnatariuszami karty Sojuszu dla Postępu nie byli przedstawiciele jawnie dyktatorskich reżimów w rodzaju Stroessnera z Paragwaju i Duvaliera z Haiti?

Niemniej jednak Biały Dom podejmował wysiłki w kierunku urzeczywistnienia swego planu politycznego. Demonstrował ostentacyjnie poparcie dla przywódców, wywodzących się z kręgu „demokratycznej lewicy". Temu celowi służyła wizyta prezydenta Kennedy'ego w grudniu 1961 roku w Wenezueli i Kolumbii. Przez pewien czas Kennedy nosił się nawet z zamiarem stworzenia czegoś w rodzaju „klubu" prezydentów demokratycznych państw OPA, którego członkowie odbywaliby regularnie spotka-

nia w Palm Beach na Florydzie lub na Puerto Rico.

Szczególnymi względami Waszyngtonu cieszył się wenezuelski prezydent R. Betancourt, z którym Kennedy utrzymywał bliskie kontakty. W czasie jego wizyty w Waszyngtonie, w lutym 1963 roku, Kennedy nie zawahał się uznać poczynań swego gościa za „symbol tego, co pragniemy dla naszego kraju i dla naszych bratnich republik". Za słowami pochwały płynęła pomoc finansowa i wojskowa. Była ona bardzo potrzebna, gdyż ulubieniec rządził krajem ogarniętym niepokojami społecznymi i walką zbrojną. Pozwalało mu to jednakże uniknąć do końca swej czteroletniej kadencji ambarasującego zadania wprowadzenia w życie proklamowanych w momencie objęcia władzy w 1960 roku reform gospodarczych i społecznych. Zamiast tego był zagorzałym sprzymierzeńcem USA w realizacji „polityki powstrzymywania" wobec Kuby, oddając dyplomacji Stanów Zjednoczonych cenne usługi w OPA poprzez inicjowanie wielu antykubańskich poczynań i zabieganie o uzyskanie dla nich poparcia u innych krajów latynoamerykańskich.

Prawdziwie ogniową próbą dla nowej polityki Stanów Zjednoczonych stał się rozwój wydarzeń w Republice Dominikańskiej. Ten niewielki kraj basenu Morza Karaibskiego był rządzony nieprzerwanie w okresie 31 lat przez Rafaela Trujillo. Objął on władzę w 1930 roku w rezultacie „cudownych" wyborów, w czasie których oddano więcej głosów aniżeli było wyborców. Od samego początku prowadził politykę ścisłego sojuszu z USA. Jeszcze przed atakiem japońskim na Pearl Harbor zawarł w 1940 roku umowę ze Stanami Zjednoczonymi o udostępnieniu portów dla ich floty wojennej. Republika Dominikańska była jednym z pierwszych państw Ameryki Łacińskiej, które wypowiedziały wojnę. W czasie jej trwania rząd Dominikany przyznał Stanom Zjednoczonym prawo do utworzenia bazy wojennej na swym terytorium. Po wojnie Trujillo równie chętnie udzielał poparcia USA we wszystkich ich poczynaniach. Był zaangażowanym sojusznikiem w okre-

sie zimnej wojny. Jego kraj był jednym z 12 państw latynoamerykańskich, które podpisały ze Stanami Zjednoczonymi dwustronne umowy o pomocy wojskowej. Udzielił zezwolenia na założenie bazy rakietowej. Nic dziwnego, że posiadał w Stanach Zjednoczonych wielu przyjaciół. Lobby generalissimusa Trujillo, bo taki tytuł sobie nadał, w Kongresie nie ustępowało wiele czangkajszekowskiemu w okresie rewolucji chińskiej. W Izbie Reprezentantów broniono go gorąco w latach pięćdziesiątych jako „stojącego po stronie Boga i chrześcijaństwa". Z czym zgadzał się autorytet w tych sprawach, kardynał Spellman, chwaląc publicznie Trujillo jako „bojownika walczącego z komunizmem".

Popularność Trujillo w Stanach Zjednoczonych nie wynikała jedynie z faktu, że ślepo wykonywał wszelkie polecenia Departamentu Stanu. Dyktator chwytał się również innych sposobów w celu stworzenia pozytywnego obrazu swojej osoby. Wydawał ogromne sumy na uzyskanie poparcia u wpływowych osobistości i instytucji. Nie szczędził dotacji na fundusze wyborcze obydwu partii. Odwoływał się też przypuszczalnie do zwykłego przekupstwa. Tak przynajmniej twierdził później jego szef policji.

W każdym razie do 1956 roku nie słychać było głosów oburzenia czy protestu wobec udzielania przez rząd Stanów Zjednoczonych pomocy Trujillo. W Kongresie przywódcy katoliccy wychwalali jego religijność i antykomunizm, grupy żydowskie pamiętały o jego geście w czasie II wojny światowej zaproszenia europejskich ofiar prześladowań nazistowskich do osiedlenia się w jego kraju. Senatorom z południa imponował metodami rządzenia. Czynniki rządowe były zadowolone z jego posłuszeństwa.

Wszystko to dotyczyło człowieka, który uczynił z rządzonego przez siebie kraju prawdziwe piekło, a jego rządy stały się synonimem korupcji i okrucieństwa. Pod tym względem nie miał wielu sobie równych nawet wśród innych dyktatorów.

Dopiero dokonane w 1956 roku w stylu gangsterskim

porwanie z ulic Nowego Jorku i następnie zamordowanie dominikańskiego profesora Jesuz de Galindez, politycznego przeciwnika dyktatora, rzuciło cień na ten cukierkowy obraz generalissimusa pokutujący w Stanach Zjednoczonych. Nie popsuło jednak stosunków oficjalnych. Ich pogorszenie nastąpiło dopiero w rezultacie akcji krajów latynoamerykańskich.

W poczuciu zagrożenia Trujillo współpracował z podobnymi sobie despotami krajów karaibskich. Spiskował wspólnie z nimi i intrygował przeciwko rządom, których samo istnienie uważali za niebezpieczne. Jego działalność była przyczyną wielu konfliktów w tym rejonie. Ona też zantagonizowała przeciwko niemu niektóre rządy latynoamerykańskie. Konferencja ministrów spraw zagranicznych OPA, która zebrała się w lipcu 1959 roku w Santiago de Chile formalnie dla przedyskutowania sytuacji w basenie Morza Karaibskiego, przemieniła się w forum krytyki reżimu Trujillo. Szczególną aktywność przejawiały w tym Kuba i Wenezuela, żądając zastosowania wobec Republiki Dominikańskiej sankcji zbiorowych. Sekretarz stanu C. Herter tym razem okazał się ogromnym obrońcą zasady nieinterwencji, czyniąc wszystko, by niedopuścić do uchwalenia potępiającej Trujillo rezolucji. Zadanie swoje wykonał. Przyjęto ostatecznie deklarację, w której zawarte było jedynie potępienie rządów dyktatorskich w ogóle.

Dopiero po ujawnieniu niezbitych dowodów udziału członków Republiki Dominikańskiej w próbie zamachu na prezydenta Betancourta w czerwcu 1960 roku poparcie USA dla Trujillo osłabło. Niemniej jednak w czasie sierpniowej konferencji ministrów spraw zagranicznych OPA w San José delegacja Stanów Zjednoczonych starała się o przyjęcie łagodnych środków nacisku, w rodzaju wysłania misji obserwatorów OPA do Republiki Dominikańskiej. Większość delegacji latynoamerykańskich żądała stanowczo uchwalenia sankcji. W nadziei, że państwa Ameryki Łacińskiej okażą wzajemność w czasie rozpatrywania sprawy Kuby, Stany Zjednoczone zrezygno-

wały z dalszej obrony dyktatora i poparły rezolucję wzywającą do zawieszenia stosunków dyplomatycznych i wstrzymania handlu bronią z Republiką Dominikańską.

Po konferencji Stany Zjednoczone zdecydowanie odwróciły się od Trujillo. Nie tylko przyłączyły się do uchwalonych sankcji, ale dodatkowo, już z własnej inicjatywy, ograniczyły drastycznie zakupy cukru w Republice Dominikańskiej, głównego jej artykułu eksportowego. Wypowiedzi przedstawicieli rządu w Kongresie na temat owego „cukrowego embargo" ujawniły, że rząd USA wyraźnie postanowił pozbyć się swojego długoletniego przyjaciela. Podsekretarz stanu Dillon nie krył tego, nazywając Trujillo „tyranem i mordercą".

Dla Kennedy'ego w momencie objęcia władzy problem więc nie istniał. Rząd nie musiał zajmować stanowiska wobec faktów dokonanych. Kłopoty zaczęły się 30 maja 1961 roku, po udanym zamachu na życie Trujillo, dokonanym przez grupę oficerów. Na wyspie niewiele się jednak zmieniło. Na czele nowego rządu stanął człowiek starego reżimu J. Balaguer, nominalny prezydent w okresie Trujillo. Syn dyktatora był w dalszym ciągu dowódcą sił zbrojnych. Rząd USA obawiał się dalszego biegu wypadków. Nie bardzo chciał udzielić poparcia następcom dyktatora, a jednocześnie pragnął uniknąć kryzysu politycznego na wyspie.

Postanowiono odwołać się do pomocy OPA. Formalnie wspomniane uprzednio sankcje były uchwalone wyłącznie z powodu „agresji" rządu Trujillo przeciwko Wenezueli i miały zostać poniechane z chwilą, gdy Republika Dominikańska przestanie „stanowić zagrożenie dla pokoju i bezpieczeństwa półkuli zachodniej". Departament Stanu wpłynął na OPA, by wykorzystano sankcje również w charakterze środka nacisku na rozwój sytuacji wewnętrznej na wyspie po zabójstwie dyktatora. Organizacja powołała czterostronną komisję, w której składzie znalazły się oczywiście Stany Zjednoczone. Udała się ona do Republiki Dominikańskiej i w ten sposób przez następne mie-

siące rząd USA uzyskał możliwość wywierania presji na rozwój wewnętrzny kraju za pośrednictwem organu międzynarodowego, bez potrzeby wznawiania pełnych stosunków dyplomatycznych i gospodarczych.

Z początku rząd Kennedy'ego zdecydował się na udzielenie poparcia dla Balaguera, chociaż zdawano sobie sprawę, że nie jest on najbardziej idealnym kandydatem. Kennedy uzasadniał swój wybór następująco: „Balaguer jest tylko naszym narzędziem. Antykomunistyczni liberałowie są jeszcze zbyt słabi. Musimy użyć naszych wpływów i pchnąć Balaguera na drogę demokracji".

Najbardziej obawiano się powtórzenia precedensu kubańskiego. Stąd stawka na ustanowienie silnej władzy. Analiza sytuacji dokonana w tym okresie przez prezydenta Kennedy'ego była znamienna: „Istnieją trzy możliwości, w zmniejszającym się porządku preferencji: uczciwy rząd demokratyczny, kontynuacja reżimu Trujillo lub reżim Castro. Powinniśmy dążyć do osiągnięcia pierwszej, lecz w istocie nie możemy odrzucić drugiej do czasu uzyskania pewności, że unikniemy trzeciej możliwości".

Cytowane słowa precyzyjnie ilustrują panujący wówczas w kołach rządzących USA sposób myślenia. W istocie tłumaczą one całość polityki Kennedy'ego i później Johnsona. Charakterystyczne jest posłużenie się schematyczną typologią reżimów politycznych. Dla Białego Domu wymienione trzy kierunki rozwoju wyczerpywały wszystkie. Nie widziano innych możliwości, stąd też i wybór pozostawał ograniczony, a w konsekwencji polityka mało elastyczna.

Główną przeszkodą w realizacji celów rządu Stanów Zjednoczonych okazali się jednak nie dominikańscy „kubańczycy", lecz pozostała na wyspie rodzina dyktatora. Istniejące w tym czasie na wyspie partie polityczne: konserwatywna, ale antytrujillowska Narodowa Unia Obywatelska (Union Civica Nacional – UCN) i lewicowa Ruch 14 Czerwca (Agrupación Politica 14 de Junio), żądały jej wygnania, a szczególnie syna Trujillo, posiadającego

wpływy w armii. Tylko pod tym warunkiem godziły się na współpracę z Balaguerem. USA zaczęły wywierać presję na Ramfisa Trujillo, by opuścił dobrowolnie kraj. Ten początkowo ulega, lecz w drugiej połowie listopada wyraźnie zmienia swoje zamiary i wszystko zaczynało wskazywać na to, że przygotowuje się do zagarnięcia władzy siłą. Stany Zjednoczone decydują się na interwencję. Z początku w drodze dyplomatycznej, publikując oświadczenie, że nie pozostaną bierne wobec podjęcia przez syna Trujillo próby „ponownego ustanowienia dyktatorskiej dominacji". A następnie poprzez odwołanie się do użycia siły.

Na rozkaz prezydenta w rejonie wyspy pojawiły się okręty floty wojennej USA. Ich obecność dodała odwagi oficerom lotnictwa dominikańskiego, którzy zmuszają syna dyktatora do opuszczenia kraju. Dyplomacja kanonierek święciła swój nowy triumf. Tym większy, że bez akompaniamentu protestów ze strony krajów latynoamerykańskich. Przedstawiciele „demokratycznej lewicy" gorąco wyrażali swą aprobatę. O taką postawę Stanów Zjednoczonych właśnie chodziło. Jedynie przywódca nowej Kuby uważał całą akcję za przejaw polityki imperializmu. Dostrzegał potencjalne niebezpieczeństwo, tkwiące w akceptacji bezprawia, niezależnie od jego motywów.

Okręty wojenne USA nie wysłano tylko w celu udaremnienia rodzinie Trujillo powrotu do władzy, lecz również dla zmuszenia Balaguera do ustąpienia na rzecz siedmioosobowej Rady Państwa. Była ona zdominowana przez partię Union Civica Nacional. Rada była organem tymczasowym. Wyznaczono datę wyborów na grudzień 1962 roku.

Stany Zjednoczone przyznały w tym czasie Republice Dominikańskiej wyraźny priorytet w ramach programu Sojuszu dla Postępu. Udzieliły poważnych kredytów na rozwój rolnictwa i infrastruktury, na pokrycie zadłużenia zagranicznego, subsydiowały ceny cukru. Do Republiki Dominikańskiej posłano misje pomocy technicznej i wojsko-

wej oraz licznych wolontariuszy „Korpusu pokoju". Rząd USA wyraźnie pragnął uczynić z wyspy okno wystawowe kapitalizmu i demokracji. Zademonstrować w praktyce całej Ameryce Łacińskiej dobrodziejstwa programu Sojuszu dla Postępu.

W wyborach w grudniu 1962 roku, przygotowanych i przeprowadzonych pod nadzorem OPA i Stanów Zjednoczonych, niespodziewane zwycięstwo odniósł Juan Bosch, przywódca Dominikańskiej Partii Rewolucyjnej (Partido Revolucionario Dominicano – PRD), który pokonał przedwyborczego faworyta z partii UCN.

Bosch powrócił do Republiki Dominikańskiej po dwudziestu latach wygnania. Długoletni przyjaciel Muñoza, Figueresa i Betancourta, był idealnym przywódcą z punktu widzenia zasad Sojuszu dla Postępu. Przejawiał gorący entuzjazm do tego programu. W przemówieniu, wygłoszonym tuż po wyborach, określił go jako „ideał polityczny i gospodarczy, w imię którego my, demokratyczni i rewolucyjni przywódcy, walczyliśmy od lat".

Bosch objął formalnie władzę 27 lutego przy akompaniamencie triumfalnych komentarzy w USA i w całej Ameryce Łacińskiej. Oto po 30 latach dyktatury Republika Dominikańska powróciła do rodziny państw demokratycznych dzięki wysiłkom Stanów Zjednoczonych i OPA. Jeszcze przed objęciem urzędu zaproszono Boscha do Waszyngtonu, przyjmując go z wielkimi honorami. Całą sprawę traktowano wyraźnie jako sukces. Okazało się jednak, że przedwcześnie.

Było ironią historii, że odziedziczone imperium osobiste tyrana stwarzało jedyną w swym rodzaju okazję przeprowadzenia bezbolesnych reform. Rodzina Trujillo zatrudniała 45% siły roboczej kraju. Do niej należało 13 z 14 istniejących na wyspie cukrowni. Kontrolowała 85% ogólnej produkcji cukru, co stanowiło 48% dochodów eksportowych państwa. W jej rękach znajdowało się jedna trzecia ziemi uprawnej, 71% produkcji tytoniu, 63% produkcji cementu. Po zgładzeniu Trujillo cała ta ogromna

fortuna przeszła pod kontrolę państwa. Nie trzeba było nikogo wywłaszczać.

Pomimo ogólnie sprzyjających warunków i pomocy ze strony Stanów Zjednoczonych prezydent Bosch stanął w obliczu problemów, z którymi nie potrafił sobie poradzić. Jego program, sformułowany w duchu zaleceń karty Sojuszu dla Postępu, obejmował przeprowadzenie reformy rolnej poprzez rozwój spółdzielczości, wprowadzenie postępowego systemu podatkowego, oddzielenie Kościoła od państwa, gwarancje praw obywatelskich, ograniczenie wydatków wojskowych.

Każdy z punktów programu antagonizował przeciwko niemu poszczególne ugrupowania tradycyjnej elity: Kościół współpracujący w przeszłości z Trujillo, siły zbrojne pozostawione bez żadnych zmian i dodatkowo wzmocnione pomocą wojskową USA. A wreszcie tych, którzy szermując hasłem „wolnego kapitalizmu konkurencyjnego" patrzyli pożądliwie na majątek Trujillo i żądali od prezydenta jego denacjonalizacji.

W miarę aktywizacji konserwatywnej opozycji sytuacja polityczna na wyspie stawała się coraz bardziej napięta. Największe niebezpieczeństwo dla rządu przedstawiały siły zbrojne, zdominowane przez reakcyjnych generałów. Prezydenta oskarżano o sympatie prokomunistyczne i zbyt tolerancyjny stosunek do lewicy. Uniemożliwiano realizację programu reform.

Skończyły się też stosunkowo szybko dobre stosunki Boscha z rządem Stanów Zjednoczonych. Dużą rolę odegrał w tym ambasador USA w Republice Dominikańskiej J. B. Martin. Uchodził on w swojej ojczyźnie za liberała. Z zawodu dziennikarz, piszący przemówienia dla A. Stevensona i prezydenta Kennedy'ego, przebywał w 1937 roku przez kilka miesięcy w Republice Dominikańskiej. Po powrocie zamieścił artykuł atakujący dyktaturę Trujillo. Był jednym z pierwszych dziennikarzy, którzy to uczynili. Jako ambasador miał od samego początku wiele zastrzeżeń do Boscha i jego partii, którą określał jako „zbyt

doktrynerską i przeideologizowaną". Boscha charakteryzował jako człowieka „emocjonalnie nieustabilizowanego", „aroganckiego, próżnego i kapryśnego". Jeszcze przed wyborami ostrzegał swój rząd: „Nie możemy dowierzać Juanowi Boschowi. Nie nadaje się on na prezydenta [...] jest lekkomyślnym hazardzistą politycznym, zdolnym zaryzykować wszystko, łącznie z systemem demokratycznym, dla osiągnięcia osobistego celu politycznego".

Ambasadorowie nie lubią zazwyczaj mylić się w ocenach i po wyborach wszystko, co czynił prezydent, było dla Martina potwierdzeniem pierwotnego sądu. Był niezadowolony, że Bosch odmówił modyfikacji niektórych postanowień uchwalonej po wyborach nowej konstytucji, szczególnie tych, które dotyczyły zakazu wielkiej własności ziemskiej i ograniczenia wpływów Kościoła. Nie słuchał też innych rad ambasadora w rodzaju rezygnacji z reformy rolnej, podjęcia energicznych wysiłków dla kontroli działalności kół lewicowych, zamknięcia postępowych szkół, wszczęcia represji wobec obywateli dominikańskich odwiedzających Kubę.

W miarę wzrostu napięcia i coraz większej wrogości wojska do prezydenta, rady ambasadora stawały się jeszcze bardziej daleko idące. W rozmowie z Boschem, jak pisze w swych pamiętnikach, zaproponował przyjęcie następującego planu „uspokojenia" sił zbrojnych. Po pierwsze, uchwalenie dominikańskiej wersji ustawy Smitha, nawet sprzecznej z konstytucją, dla umożliwienia podjęcia represji przeciwko „komunistom" i „lewicy", łącznie z masowymi deportacjami (ustawa Smitha była uchwalona w 1940 roku, uznawała między innymi za nielegalną wszelką działalność na rzecz obalenia rządu USA siłą; po wojnie wykorzystana także przeciwko partii komunistycznej USA). Po drugie, zwolnienie tempa procesu likwidacji pozostałości dyktatury i przyznanie większej autonomii wojsku. Po trzecie, ministrem obrony powinien zostać pułkownik Wessin y Wessin, zdecydowany przeciwnik prezydenta. Jak pisze Martin: „Bosch wyglądał na zdziwionego [...]

Powiedziałem, że Wessin jest silny, odważny i patriota oraz, o ile go znam, uczciwy. Jest również fanatycznym antykomunistą [w innym miejscu swych pamiętników Martin określał pułkownika jako dominikańskiego McCarthy'ego — *T. K.*]. Odpowiedzialna funkcja przypuszczalnie złagodzi jego fanatyzm. Jego nominacja stępi również ataki polityków o tolerancję wobec komunizmu".

Rady ambasadora najlepiej skomentował sam Bosch: „Dla udowodnienia, że jestem demokratą, powinienem pójść śladami Trujillo: więzić, deportować lub zabijać każdego podejrzanego o komunizm. Powinienem następnie podporządkować się opinii każdego starego generała lub pułkownika, którym Bóg widocznie przyznał wyłączne prawo sądzenia o tym, kto jest, a kto nie jest komunistą".

Raporty Martina czyniły swoje. Departament Stanu i rząd stopniowo zmieniały opinię o Boschu. Ale nawet i bez nich, należy sądzić, uległaby ona rewizji. Rząd Stanów Zjednoczonych pragnął sukcesu, a tymczasem na horyzoncie pojawiły się ponownie trudności. Już sam ten fakt dyskredytował Boscha jako przywódcę politycznego w oczach rządu USA. Oskarżenia opozycji wysuwane pod adresem Boscha o „sympatie komunistyczne" lub tolerancję wobec „komunistów" nie były traktowane w Stanach Zjednoczonych poważnie. Specjalne dochodzenie CIA, wszczęte z inicjatywy ambasadora Martina, ujawniło „zadziwiająco małą" liczebność komunistów w Republice Dominikańskiej. Według rządu USA podstawową wadą Boscha była jego nieumiejętność sprawowania efektywnej władzy, fakt, że nie chciał pójść na kompromis z opozycją. Toteż na kilka godzin przed planowanym przez wojsko zamachem stanu, gdy ambasador Martin zwrócił się do Waszyngtonu z sugestią wysłania w rejon wyspy lotniskowca w celu demonstracji siły, uzyskał odpowiedź, że „Departament Stanu nie może już nic więcej uczynić dla uratowania Boscha z uwagi na jego dotychczasową działalność. Teraz musi się on sam ratować". W kołach rządzących USA dominowała opinia, że Bosch „nie został

obalony, lecz sam się obalił", a „siły, które zjednoczyły się przeciwko niemu, były głównie jego tworem".

Nie oznaczało to, że rząd Kennedy'ego był zachwycony zamachem stanu, którego dokonał 25 września 1963 roku pułkownik Wessin. Ambasador Martin dostał nawet instrukcje przeciwdziałania i ostrzegał wojskowych, że przejęcie przez nich siłą władzy nie będzie aprobowane przez rząd USA. Niewiele to pomogło. Ambasador nie był jedynym przedstawicielem Stanów Zjednoczonych w Republice Dominikańskiej.

W korespondencji „New York Timesa" z tego kraju, opublikowanej 5 października 1963 roku, ujawniono, że wyżsi oficerowie misji wojskowej USA „otwarcie mówili swym dominikańskim partnerom, że zgadzają się z ich charakterystyką Juana Boscha jako prokomunisty".

Rząd Stanów Zjednoczonych, rozczarowany do Boscha, sądził przypuszczalnie, że w drodze nacisku zmusi wojskowych dominikańskich do rezygnacji ze sprawowania władzy i przekazania jej w ręce rządu cywilnego, a także złożenia obietnicy przeprowadzenia wyborów. Zerwano więc natychmiast po przewrocie stosunki dyplomatyczne i wstrzymano całkowicie pomoc wojskową i gospodarczą. Nie wpłynęło to jednak na oficerów dominikańskich. Chcąc zadowolić rząd USA, stworzyli oni wprawdzie marionetkową juntę cywilną, lecz na inne ustępstwa już się nie zgadzali. Kiedy podjęte środki nacisku nie przynosiły rezultatów, Departament Stanu przystąpił do stopniowego odwrotu. Z początku chciano w zamian za uznanie i wznowienie pomocy gospodarczej uzyskać u junty kocesje w rodzaju zapewnienia swobody działania dla wszystkich partii politycznych (oprócz komunistycznej), wyznaczenie jednego z przywódców PRD, lecz nie Boscha, na czoło junty, wyłączenie z niej przedstawicieli armii. Junta nie ustępowała i w Waszyngtonie, zgodnie z logiką uprzednio przedstawionego sposobu rozumowania, zaczęto się obawiać, że podjęte środki mogą doprowadzić do rewolucji czy rozwoju ruchu partyzanckiego lub wywołać ze strony jun-

ty zmasowaną falę represji przeciwko wszystkim jej oponentom politycznym. Wojskowi dominikańscy wyraźnie grali na tych obawach, donosząc o tajemniczych oddziałach partyzanckich, działających jakoby gdzieś w górach wyspy.

Tygodnie mijały i Departament Stanu łagodził swoje stanowisko. Jak pisał Martin: „Wycofujemy się krok za krokiem. Po kolei rezygnujemy z naszych celów, aż pozostaliśmy prawie z niczym".

Ostatecznie w połowie grudnia 1963 roku w zamian za obietnicę przeprowadzenia „wolnych wyborów" około 1965 roku Stany Zjednoczone skapitulowały. Warto w tym miejscu podkreślić, że z drobiazgowego sprawozdania Martina z tego okresu wynika niedwuznacznie, że zabójstwo Kennedy'ego opóźniło jedynie moment uznania junty, a więc, że nie była to wyłącznie decyzja Johnsona, który wznowił stosunki z Republiką Dominikańską w trzy tygodnie po objęciu urzędu prezydenta. Krok ten był logiczną konsekwencją uprzednio podjętych postanowień.

Na stanowisko dominikańskich wojskowych wpływał niewątpliwie ogólny rozwój sytuacji w Ameryce Łacińskiej, a szczególnie mierne rezultaty przeciwdziałania ze strony rządu USA fali przewrotów wojskowych w innych krajach rejonu.

W latach 1962–1963, łącznie z zamachem stanu w Republice Dominikańskiej, miało miejsce w Ameryce Łacińskiej sześć przewrotów wojskowych. Po bardzo łagodnej reakcji wobec pierwszego z nich, w Argentynie, zdecydowano się podjąć energiczną akcję wobec następnego. W lipcu 1962 roku peruwiańskie siły zbrojne przejęły władzę po wyborach prezydenckich, w trakcie których żaden z kandydatów nie zdołał uzyskać wymaganej konstytucyjnie bezwzględnej większości głosów. O wyborze prezydenta miał zadecydować Kongres. Dwóch z trzech głównych kandydatów: Haya de la Torré, przywódca partii Amerykański Rewolucyjny Sojusz Ludowy (APRA), i M. Odria połączyło siły. Odria miał zostać prezydentem, partia

APRA rządzić krajem poprzez większość w Kongresie. Ten plan został zniweczony przez wojskowych. Zgodnie ze znacznie wcześniej przygotowywanymi przez ambasadora USA w Limie J. Leoba zaleceniami, prezydent zawiesił stosunki dyplomatyczne, wstrzymał pomoc gospodarczą, wydał zarządzenie, by personel misji pomocy technicznej nie podejmował pracy. Dał do zrozumienia, że myśli o cofnięciu zakupów cukru w Peru. Departament Stanu opublikował ostre w tonie oświadczenie, w którym stwierdzono: „Potępiamy przewrót wojskowy, który doprowadził do obalenia rządu konstytucyjnego w Peru". W czasie konferencji prasowej prezydent Kennedy stwierdził między innymi: „Pragniemy bardzo powrotu rządów konstytucyjnych w Peru [...] Uważamy, że półkula zachodnia może być bezpieczna i wolna jedynie w warunkach istnienia rządów demokratycznych".

W Waszyngtonie spodziewano się, że podjęte kroki uzyskają poparcie wśród rządów latynoamerykańskich. 19 lipca, w dzień po peruwiańskim coup d'etat, „New York Times" w artykule redakcyjnym wyrażał opinię, że „Departament Stanu nie mógł uczynić niczego innego, jak zawiesić stosunki dyplomatyczne z Limą i wstrzymać dalszą pomoc w ramach programu Sojuszu dla Postępu. Każdy rząd w Ameryce Łacińskiej, który szanuje konstytucjonalizm i demokrację, z pewnością wyraźnie potępi przewrót".

Rządy latynoamerykańskie rzeczywiście dały wyraz swemu oburzeniu, tyle że było ono skierowane do zupełnie innego adresata. Trzy największe kraje — Brazylia, Argentyna i Meksyk — protestowały przeciwko północnoamerykańskiej interwencji w sprawy wewnętrzne Peru. Minister spraw zagranicznych Chile ostrzegał Stany Zjednoczone, by nie były „bardziej papieskie od papieża". Cztery kraje na czele z Wenezuelą, której prezydent Betancourt był osobistym przyjacielem Haya de la Torré, wystąpiły z inicjatywą zwołania konferencji ministrów spraw zagranicznych OPA dla rozpatrzenia sytuacji w Peru. Brak jed-

nak szerszego poparcia spowodował, że do konferencji nie doszło.

Rozwój sytuacji wewnętrznej w Peru przebiegał również nie po myśli rządu USA. Kontrolowana przez partię APRA Peruwiańska Konferencja Pracy wezwała wprawdzie do strajku powszechnego, lecz bez większego powodzenia. Dwóch kandydatów w wyborach prezydenckich (F. Belaúnde Terry i M. Odria) wyraziło poparcie dla sił zbrojnych i poddało krytyce stanowisko Stanów Zjednoczonych.

Efekt akcji był więc w istocie żaden. Junta wojskowa już w pierwszym oświadczeniu po objęciu władzy obiecywała szybki powrót do rządów konstytucyjnych. Trudno więc uznać, że gdy następnie powtarzała swoje przyrzeczenie, czyniła to w rezultacie presji USA. Rząd Kennedy'ego starał się stworzyć takie wrażenie i zapewnienia junty posłużyły mu jako usprawiedliwienie do wycofania się z całej awantury i powrotu do normalnych stosunków z Peru, co nastąpiło 17 sierpnia 1962 roku.

Rząd Stanów Zjednoczonych wyciągnął wnioski z „lekcji" peruwiańskiej. W przypadkach następnych przewrotów (w Gwatemali w marcu 1963 roku, w Ekwadorze w lipcu 1963 roku, w Hondurasie w październiku 1963 roku) zajmowały już daleko mniej pryncypialne stanowisko.

Gwatemalscy oficerowie, przejmujący władzę, czynili to z dużą pewnością siebie. Wprawdzie byli oni również ostrzegani przez dyplomatów USA, ze planowany przewrót nie spotka się z dobrym przyjęciem w Waszyngtonie, lecz jednocześnie wiedzieli dobrze, że Stany Zjednoczone nie są zadowolone z przeżartych korupcją rządów prezydenta Ydigorasa. Nie tylko z tego powodu. Rząd Kennedy'ego z wielkimi obawami oczekiwał zbliżających się wyborów w Gwatemali. Miał w nich uczestniczyć po powrocie z emigracji były prezydent tego kraju Juan Arévalo, którego uważano za wroga Stanów Zjednoczonych. Przewidywania oficerów gwatemalskich sprawdziły się. Ich rząd został uznany, pomoc gospodarcza i woj-

skowa przywrócona już 19 kwietnia, czyli w niecałe trzy tygodnie po coup d'etat, w zamian za mglistą obietnicę przeprowadzenia wyborów około 1965 roku.

Podobne było rozumowanie wojskowych ekwadorskich, przygotowujących się do zamachu stanu. Dla nikogo nie było tajemnicą, że rząd USA nie jest zadowolony z rządów prezydenta Arosemeny. Odmawiał on zerwania stosunków dyplomatycznych z rewolucyjną Kubą i często krytycznie wyrażał się o Stanach Zjednoczonych. To wystarczyło, by określano go jako „miękkiego" wobec komunizmu. W tym wypadku rząd Kennedy'ego nie zareagował na przewrót nawet złożeniem formalnego protestu. Przeciwnie, juntę pochwalono za jej „poczucie misji" i „postępowe" przekonania. Nie przerwano ani na chwilę udzielania pomocy gospodarczej i wojskowej, a uznanie nowych władz nastąpiło, podobnie jak w przypadku Gwatemali, w zamian za jeszcze mniej precyzyjne przyrzeczenie przeprowadzenia wyborów w „odpowiednim" czasie.

O reakcji rządu USA na zamach stanu w Republice Dominikańskiej już mówiliśmy. Podobnie zachowały się Stany Zjednoczone wobec wydarzeń w Hondurasie. Niewątpliwie rząd Kennedy'ego potraktował je w sposób bardziej surowy aniżeli inne przewroty, ku zdziwieniu i wręcz oburzeniu ich głównych aktorów. Widocznie w wypadku tych dwóch krajów w Waszyngtonie postanowiono uczynić coś dla ratowania poderwanej reputacji „obrońcy demokracji". Rząd Stanów Zjednoczonych przejawiał wyraźnie brak konsekwencji. Na zewnątrz starano się zachowywać pozory kontynuacji obranej uprzednio linii. W przemówieniach i oświadczeniach oficjalnych tego okresu stare sformułowania i hasła powtarzały się z regularnością. Przypuszczalnie nie bardzo wiedziano jak się z nich wycofać, by nie być oskarżonym o zdradę zasad programu Sojuszu dla Postępu lub nie stworzyć wrażenia poniesienia porażki. Zdawano sobie jednak sprawę z konieczności wprowadzenia modyfikacji do propagowanej polityki.

Niezdecydowanie tamtych dni, brak wizji innego podejścia i jednocześnie świadomość potrzeby zmian doskonale ilustruje bardzo ważne, a szerzej niezauważone, oświadczenie pomocnika sekretarza stanu dla spraw Ameryki Łacińskiej E. M. Martina z 5 października 1963 roku.

Rozpoczynało się ono od stwierdzenia: „Tradycyjnie i z przekonania Stany Zjednoczone są przeciwne obalaniu konstytucyjnych i demokratycznych rządów z wyboru gdziekolwiek, zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej".

Następnie autor przeszedł do głównego tematu swojego oświadczenia. W tonie kaznodziejskim, w sposób świadomie abstrakcyjny, dający możliwość różnych wykładni, przedstawił swoje poglądy na temat możliwości wywierania wpływu przez USA na inne kraje w warunkach „niedoskonałego" świata. Najistotniejszym był następujący fragment tych rozważań: „Wszyscy szanujemy macierzyństwo i potępiamy grzech. Obserwujemy jednak, że gdy rozkwita macierzyństwo, podobnie dzieje się z grzechem. W tym coraz bardziej nacjonalistycznym świecie państw suwerennych dezaprobata Stanów Zjednoczonych nie wstrzymuje innych od popełnienia tego, co uważamy za grzech polityczny [...] Obawiam się, że zostanę posądzony o apologię zamachów stanu. Nie bronię ich. Należy z nimi walczyć z pomocą wszelkich dostępnych środków. Chodzi raczej o podkreślenie, że demokracja jest zjawiskiem żywym, które wymaga czasu, odpowiedniej gleby i nasłonecznienia, by mogło się rozwinąć. Musimy uczynić wszystko, by pomóc w stworzeniu tych sprzyjających warunków. Jesteśmy w stanie tego dokonać i wiele już uczyniliśmy w tym zakresie. Nie możemy jednak po prostu wyhodowaną przez nas samych roślinę przekazać innym. Musi ona wyrosnąć z nasion zasianych w miejscowej glebie".

E. Martin starał się wyraźnie zająć stanowisko, w jego przekonaniu, umiarkowane między ekstremizmem „niecierpliwych idealistów" a cynicznych „defetystów". Nie

głosił potrzeby wprowadzenia zasadniczych zmian w polityce, lecz raczej zalecał jej uściślenie. Stąd też jego wypowiedź wywołała nieporównywalnie mniejszą reakcję od tej, która nastąpiła po oświadczeniu jego sukcesora T. Manna w marcu 1964 roku. W istocie jednak polityka prezydenta Johnsona wobec Ameryki Łacińskiej, a w szczególności w kwestii „szerzenia demokracji", nie była wcale tak bardzo radykalnym odejściem od stanowiska jego poprzednika.

Nie znaczy to, że rządy Johnsona nie wniosły niczego nowego do latynoamerykańskiej polityki Stanów Zjednoczonych. Przeciwnie, jego stanowisko było w wielu sprawach odmienne. Głównie jednak zmiana polegała na stylu i formie realizacji polityki. Jeszcze jako wiceprezydent Johnson był ustosunkowany krytycznie wobec podejścia rządu Kennedy'ego do problemów Ameryki Łacińskiej. Jego politykę określał jako „bałaganiarską" i zostawszy prezydentem uważał, że należy ją zmienić. Jego zdaniem, podejście poprzednika do spraw regionu było zbyt „ideologiczne". Szczególnie drażniło go podkreślenie roli instytucji demokratycznych. Johnsona jako prezydenta cechowało niewątpliwie większe zdecydowanie w podejmowaniu decyzji. W listopadzie 1963 roku uznaje on junty wojskowe w Rebublice Dominikańskiej i w Hondurasie. W styczniu 1964 roku zajmuje „twarde" i nieustępliwe stanowisko w czasie kryzysu panamskiego, nie godząc się na żadne ustępstwa w kwestii suwerenności strefy Kanału. 18 marca nowy pomocnik sekretarza stanu do spraw Ameryki Łacińskiej, Mann, na spotkaniu z ambasadorami USA w krajach latynoamerykańskich z mocą kilkakrotnie podkreśla błędność poprzedniego kursu politycznego na rzecz systemów demokratycznych. Jako główne kryterium w stosunkach z krajami regionu wysuwa względy bezpieczeństwa USA, efektywności walki z ruchami radykalnej lewicy i ochronę północnoamerykańskich inwestycji prywatnych.

Merytoryczną więc zmianą, którą wniosła tzw. doktryna Manna, było stwierdzenie, że Stany Zjednoczone nie

zamierzają już więcej reagować na pozakonstytucyjne zmiany rządów w Ameryce Łacińskiej.

Następnego dnia po ogłoszeniu doktryny ujawniono, że rząd Stanów Zjednoczonych zaaprobował udzielenie przez Ogólnoamerykański Bank Rozwoju poważnych kredytów dla dyktatora Haiti F. Duvaliera. W niespełna dwa tygodnie później zostaje obalony rząd Goularta w Brazylii. Tymczasowe władze wojskowe zostały uznane przez Stany Zjednoczone w przeciągu 12 godzin, a prezydent Johnson przesłał do nowych przywódców bezprecedensowo entuzjastyczny telegram. Dla wszystkich stało się jasne, że hasło „walki z dyktatorami" zostało definitywnie porzucone.

Odejście od „haseł demokratycznych" Sojuszu dla Postępu stanowiło przede wszystkim porażkę uprzednio wspomnianej kalkulacji politycznej. Było więc również przyznaniem się do popełnienia błędu w ocenie sytuacji. Przywódcy „demokratycznej lewicy" zawiedli oczekiwania rządu Stanów Zjednoczonych. Nie dlatego, że nie zawsze konsekwentnie realizowali programy reform, lecz głównie z powodu nieumiejętności zapewnienia sobie prawdziwie masowego poparcia w swych krajach. Zasadniczą ich wadą był w oczach kół rządzących USA fakt, że nie stali się alternatywą wobec rewolucyjnej lewicy ani też wobec prawicy. Przeciwnie, doprowadzali najczęściej do jeszcze większej polaryzacji sił politycznych, a więc do zaostrzenia sytuacji wewnętrznej.

Prezydent Kennedy, podejmując kroki represyjne wobec junty wojskowej w Peru, nie czynił tego w imię wierności zasadom demokracji burżuazyjnej, choć były one częścią jego światopoglądu. U podstaw jego działania tkwiło przeświadczenie, że peruwiańskie siły zbrojne trwale nie zabezpieczą ładu w kraju, ponieważ ich władza opiera się wyłącznie na sile i nie posiada szerokiego społecznego poparcia. W jego mniemaniu, nie były one zdolne zapewnić stabilnego rozwoju politycznego Peru, wykluczającego w przyszłości zwrot w kierunku rewolucji socjalistycznej. Zgodnie z ówczesną oceną rządu USA, ugrupowaniem

politycznym będącym w stanie zabezpieczyć tego rodzaju rozwój Peru była partia APRA, którą ambasador USA w Limie określał w tym okresie jako „najsilniejszą siłę antykomunistyczną, najbardziej zdolną do utrzymania w kręgu swych wpływów klasę robotniczą".

Częściowo polityka prezydenta Kennedy'ego była obliczona na osiągnięcie efektów długofalowych, a nie tylko na zaspokojenie potrzeb bieżących. Jako taka spotykała się z krytyką kół północnoamerykańskiego kapitału, zaangażowanego w krajach latynoamerykańskich. Nie analizowały one sytuacji w perspektywie dziesięcioleci, lecz lat najbliższych. Najważniejszą dla nich sprawą było zapewnienie ciągłości ekspansji gospodarczej. Nie oznacza to, że ich przedstawiciele występowali zawsze przeciwko wprowadzeniu reform. Uważali jednak, że muszą one być realizowane w sposób w pełni kontrolowany, w oparciu o silną władzę państwową. I w tym nie różnili się od rządu, który pragnął w istocie tego samego. Odmienność wynikała z innego podejścia do zalecanej kolejności rozwoju wydarzeń. Przedstawiciele północnoamerykańskich kół gospodarczych głosili konieczność z początku zaprowadzenia porządku, silnych rządów, a dopiero później wprowadzenia reform i być może stopniowej demokratyzacji życia wewnętrznego.

Podobnie rozumowali wojskowi z Pentagonu. Obarczeni zadaniem szybkiego rozprawienia się z ruchami partyzanckimi i umocnienia bezpieczeństwa wewnętrznego w krajach Ameryki Łacińskiej dążyli w imię efektywności działania do umocnienia pod każdym względem latynoamerykańskich sił zbrojnych.

Naciski ze strony kół gospodarczych i wojskowych były jedną z przyczyn owej niekonsekwencji w polityce rządu Kennedy'ego. Nie jedyną, bo sam prezydent i jego doradcy w momentach konieczności dokonywania wyboru dochodzili do wniosków podobnych. Bardzo mocno tkwił w świadomości elity rządzącej USA przedstawiony uprzednio schemat rozumowania, który najczęściej przekształcał się w pytanie: co lepiej zabezpieczy Stany Zjednoczone

przed możliwością rewolucji socjalistycznej w danym kraju, czy „uczciwy rząd demokratyczny", czy „reżim dyktatorski"? W teorii wypowiadano się często na rzecz rozwiązania pierwszego, lecz w praktyce nie decydowano się na podjęcie ryzyka. Wariant drugi nie dawał wprawdzie pewności trwałego umocnienia systemu politycznego władzy, ponieważ nie prowadził do uzdrowienia jego podstaw, ale w oparciu o monopol posiadania środków przymusu „ratował" sytuację w danym momencie, usuwał natychmiast niebezpieczeństwo nowej Kuby i zapewniał ciągłość dominacji Stanów Zjednoczonych. Tego nie mógł gwarantować „uczciwy rząd demokratyczny", rokujący jedynie nadzieję, że w drodze reform umocni trwale swoją pozycję w przyszłości. W istniejących rewolucyjnych warunkach Ameryki Łacińskiej poparcie dla rządów „silnej ręki" było dla USA wyborem łatwiejszej i bezpieczniejszej drogi w kierunku uzyskania podstawowych celów.

Dochodziło do tego pogłębiające się zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w Indochinach, spychające stopniowo sprawy latynoamerykańskie na plan dalszy, a tym samym stawiające przed rządem USA zadanie szybkiego uspokojenia „gorącego kontynentu".

Zdecydowane odejście przez administrację Johnsona od haseł demokratycznych Sojuszu dla Postępu wywołało burzę krytyki zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Ameryce Łacińskiej. Dużą aktywność przejawiali w tym przedstawiciele „demokratycznej lewicy". Poczuli się bowiem zagrożeni. Ich przyszłość polityczna stanęła pod znakiem zapytania. Rozwiały się ich nadzieje na jednoznaczne i stałe poparcie rządu USA. Nie brakowało również głosów krytycznych w Stanach Zjednoczonych. Typowa była wypowiedź S. Hansona, jednego ze zwolenników i propagatorów polityki Kennedy'ego, który w 1965 roku z gniewem pisał, że „z politycznego punktu widzenia Sojusz dla Postępu stał się oszukaństwem, wielką zdradą zasad".

Prezydent Johnson zniszczył oprawę ideologiczną, którą

posiadała polityka USA wobec Ameryki Łacińskiej w okresie Kennedy'ego, pozbawił ją owego silnie tkwiącego w społeczeństwie Stanów Zjednoczonych idealizmu oraz wiary w „misję historyczną". Biały Dom starał się temu przeciwdziałać i znaleźć w celu uspokojenia opinii publicznej argumentację ideologiczną dla nowej polityki, aby uniknąć oskarżeń o cynizm i brak zasad moralnych. Nie były to próby intelektualne zbyt udane, lecz przyniosły niewątpliwie określony efekt propagandowy i pozwoliły osłabić wrogość liberalnej opozycji. Obok zimnowojennej motywacji i podkreślania potrzeby ochrony interesów północnoamerykańskich inwestorów pojawiły się nawoływania do przyjęcia postawy „realistycznej". Zgodnie z nową argumentacją, Stany Zjednoczone powinny wpływać na rozwój wewnętrzny innych krajów tylko w drodze oddziaływania własnego przykładu. Jak pisał jeden ze znanych w USA znawców problematyki latynoamerykańskiej R. Burr w książce wydanej w 1967 roku, wstrzymanie pomocy rządom dyktatorskim godziło w zasadę nieinterwencji, a „Stany Zjednoczone nie są uprawnione do decydowania o formach rządów innych krajów".

U podstaw argumentacji „realistycznej" tkwiło założenie, że w Ameryce Łacińskiej ogólnie nie dojrzały jeszcze obiektywne warunki do wprowadzenia systemów demokratycznych. Jak pisał ambasador USA w Brazylii z okresu przewrotu wojskowego 1964 roku L. Gordon: „Demokracja konstytucyjna jest pożądaną normą wszędzie, lecz wokół nas na świecie istnieją jedynie jej zalążki [...] Należy realistycznie spojrzeć na demokrację jako proces w czasie i w przestrzeni".

Inny ambasador związany z Ameryką Łacińską, J. Moors Cabot, wypowiadał się w tym samym duchu i podkreślał, iż „oczekiwanie, że Sojusz dla Postępu stworzy w najbliższej przyszłości demokrację w Ameryce Łacińskiej jest przejawem braku realizmu".

Nie brakowało również prób obrony polityki Johnsona z zupełnie innych pozycji. Udzielanie poparcia reżimom dyktatorskim uzasadniano na przykład względami huma-

nitarnymi. Zgodnie z tą argumentacją, Stany Zjednoczone nie udzielają pomocy wyłącznie dyktatorom, lecz przede wszystkim cierpiącym narodom rządzonych przez nich krajów. One też padają główną ofiarą jej wstrzymania.

Polityka pomocy dyktatorom była motywowana również potrzebą zachowania kontaktów, „kanałów komunikacji". Tu sposób rozumowania był następujący: skoro rząd USA pragnie wpływać na rozwój wewnętrzny krajów latynoamerykańskich, musi utrzymywać również dobre stosunki z reżimami dyktatorskimi, by nie utracić możliwości oddziaływania na ich postępowanie.

Od powyższej tezy było już niedaleko od szeroko propagowanych i popularnych w połowie lat sześćdziesiątych teorii i koncepcji, głoszących szczególną rolę sił zbrojnych w Trzecim Świecie jako przywódców i organizatorów życia politycznego, jako nośnika postępu i modernizacji swych krajów oraz głównych rzeczników i realizatorów reform społeczno-gospodarczych.

Poza tym ostatnim nurtem myśli politycznej, podkreślającym nową rolę sił zbrojnych w Trzecim Świecie, wspomniane koncepcje i tezy nie posiadały większego praktycznego znaczenia w procesie kształtowania polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych wobec Ameryki Łacińskiej. Służyły raczej jako jej usprawiedliwienie i były obliczone na wywołanie efektu wewnątrz USA, a nie poza ich granicami. Chodziło o osłabienie wrażenia, jakie wywołała doktryna Manna i inne posunięcia rządu Johnsona, o zniwelowanie w świadomości amerykańskiej opinii publicznej kontrastu, który zewnętrznie rysował się tak ostro, między polityką Kennedy'ego i jego następcy.

Zwrot w polityce zagranicznej USA wobec Ameryki Łacińskiej w zakresie „szerzenia demokracji" był zarówno w chwili jego dokonania, jak i w czasie późniejszym oceniany jako przyjęcie przez rząd USA kursu na popieranie militaryzmu w krajach latynoamerykańskich, jako jedno lub nawet jedyne źródło jego rozwoju w latach sześćdziesiątych.

Nie wydaje się, aby to była teza słuszna. Polityka

Stanów Zjednoczonych niewątpliwie sprzyjała tendencjom militarystycznym i prawicowym. Stwarzała im niemal cieplarniane warunki zewnętrzne w okresie prezydentury Johnsona. Lecz w takim samym stopniu, jak jej celem podstawowym nie był rozwój instytucji demokratycznych, tak nie można uznać, że główne jej zadanie widziano w tworzeniu rządów pozakonstytucyjnych, chociaż często bezpośrednio doprowadzano do ich ustanowienia. Zasadniczym, nadrzędnym celem polityki USA wobec Ameryki Łacińskiej był taki rozwój polityczny krajów tam położonych, który gwarantował w istniejących warunkach każdego z nich w sposób najbardziej efektywny kontynuację ustrojową. Zabezpieczał dany kraj przed rewolucją socjalistyczną, zapewniał ciągłość dominacji gospodarczej i nie osłabiał hegemonii USA.

Patrząc z tego punktu widzenia, Stanom Zjednoczonym był w istocie rzeczy obojętny charakter form władzy państwowej. Można założyć, że ze względów natury ideologicznej, odgrywających niepoślednią rolę w kształtowaniu polityki zagranicznej tego mocarstwa, rządy demokracji konstytucyjnej we wszystkich ich odmianach, jeżeli tylko spełniały podstawowe z punktu widzenia interesów USA warunki, były zawsze rozwiązaniem optymalnym, najwygodniejszym zarówno ze względów polityki wewnętrznej, jak i międzynarodowej.

Nie było więc żadnej niekonsekwencji w polityce zagranicznej rządu Johnsona, gdy udzielał od samego początku gorącego poparcia Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej w Chile, pomagając jej objąć władzę w wyborach 1964 roku i sprzyjając następnie jej umocnieniu. Chile w latach sześćdziesiątych było odbiorcą drugiej co do wielkości (po Brazylii) pomocy finansowej USA w Ameryce Łacińskiej i największej w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Działo się tak pomimo wyraźnie reformistycznego charakteru programu prezydenta E. Freia, zawierającego między innymi postulat stopniowego przejęcia przez państwo kopalń miedzi należących do północnoamerykańskich towa-

rzystw i takie sformułowania, jak „wyzwolenie Chile od imperializmu", abstrahując już od jego gestów niezależności wobec rządu USA na forum OPA. Towarzyszyły im bowiem liczne dowody przyjaźni wobec rządu Stanów Zjednoczonych, a nawet krytyka tych wszystkich, którzy oskarżali USA o imperializm. Równie zdecydowanie występował Frei przeciwko idei rewolucji socjalistycznej, szczególnie ostro potępiając wszelkie formy rewolucyjnej walki zbrojnej. W ocenie rządu USA jego ruch był jedyną polityczną siłą w Chile zdolną pociągnąć za sobą masy i stworzyć skuteczną przeciwwagę wpływom radykalnej lewicy. Wierzono również, i nie doznano rozczarowania, że program chilijskiej chrześcijańskiej demokracji nie przekroczy granic reform burżuazyjnych i nie spowoduje konfliktu z interesami północnoamerykańskiego kapitału.

Stosunek rządu Johnsona do Chile nie był czymś wyjątkowym. Stany Zjednoczone kontynuowały poparcie również i dla innych rządów reformistycznych. „Demokratyczna lewica" nie zginęła wraz z nastaniem nowej polityki. Pozostawała dominującym nurtem w życiu politycznym takich krajów regionu, jak Chile i Peru za rządów F. Belaúnde Terry, kontynuowała swoje istnienie w Wenezueli w czasach prezydentów R. Leoni i R. Caldera oraz w Trinidad-Tabago.

Latynoamerykańska polityka Johnsona nie była więc tak jednostronna, jak przedstawiają ją czasem jej krytycy. Obok poparcia dla reżimów dyktatorskich zawierała również kontynuację pomocy dla rządów konstytucyjnych. Nie forma rządu stanowiła bowiem podstawowe kryterium, według którego Waszyngton darzył względami poszczególne kraje latynoamerykańskie, lecz efektywność władzy państwowej w zwalczaniu ruchów lewicowych i jej stosunek do podstawowych celów strategii USA na danym etapie. Ocena tych elementów należała do wyłącznej kompetencji kół rządzących USA. W momencie stwierdzenia, że dany rząd nie odpowiada stawianym warunkom, Stany Zjednoczone były gotowe podjąć starania, aby bądź go osła-

bić, bądź też doprowadzić do jego upadku i zmiany, nie cofając się w realizacji tego zadania przed odwołaniem się do najbardziej brutalnych środków nacisku, łącznie z jednostronną interwencją zbrojną.

## *Interwencja w Republice Dominikańskiej*

1965

W początkach 1965 roku w centrum uwagi rządu USA ponownie znalazły się wydarzenia w Republice Dominikańskiej. Po wznowieniu stosunków dyplomatycznych kontakty z rządzącą juntą układały się bardzo dobrze. Na jej czele stał D. Reid Cabral, z przekonań konserwatysta, właściciel dobrze prosperującej agencji samochodowej, pochodzący z „dobrej" rodziny dominikańskiej. Bosch określał go jako „ostatni model amerykańskiej wersji latynoamerykańskiego sprzedawcy samochodów". Nie cieszył się zbyt wielką popularnością. Znany był na wyspie pod przydomkiem „El Americano" i wielu jej mieszkańców podejrzewało, być może słusznie, że był agentem CIA.

Nic dziwnego, że nowy ambasador USA w Republice Dominikańskiej W. Tapley Bennett wyrażał się o nim w samych superlatywach. Ale i Reid Cabral jako przywódca sprawił kołom rządzącym Stanów Zjednoczonych rozczarowanie. Jego polityka gospodarcza doprowadziła do zwiększenia bezrobocia i ogólnego wzrostu niezadowolenia. W początkach 1965 roku na wyspie zaczyna narastać kryzys polityczny. Hasło powrotu do rządów konstytucyjnych i prezydenta Boscha zyskiwało coraz więcej zwolenników. W końcu stycznia emisariusze Dominikańskiej Partii Rewolucyjnej (PRD) i głównej rywalizującej z nimi partii umiarkowanej lewicy Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii Rewolucyjnej (Partido Revolucionario Social Cristiano – PRSC) spotkali się w domu Boscha na wygnaniu w Puerto Rico i podpisali tzw. pakt z Rio Piedras,

zobowiązujący obie grupy do współdziałania na rzecz powrotu do rządów konstytucyjnych. Wiadomość o tym zaktywizowała siły opozycyjne.

Reid Cabral naraził się poważnie głównej podporze swych rządów – dominikańskim siłom zbrojnym. Niezadowolenie wywołały jego próby zwalczania przemytu, którym oficerowie trudnili się namiętnie. Nie spodobały się również jego nieśmiałe wysiłki pozbycia się najbardziej zagorzałych zwolenników byłego dyktatora Trujillo. Część korpusu oficerskiego solidaryzowała się z opozycją cywilną.

Wczesną wiosną sytuacja na wyspie staje się napięta. 24 kwietnia dwa oddziały wojskowe pod dowództwem grupy młodych pułkowników, działając w porozumieniu z PRD, uwięziły szefa sztabu armii i wypowiedziały posłuszeństwo rządowi. W przeciągu kilku godzin przyłączyły się do nich jeszcze inne jednostki. Wszystko rozpoczęło się zgodnie z modelem wojskowego zamachu stanu. Rebelianci określali się jako „konstytucjonaliści". Nie wszyscy byli zwolennikami Boscha. Część popierała Balaguera i przyłączyła się do buntu, sądząc, że jego celem są nowe wybory. Inni uczestnicy zamachu byli po prostu przeciwnikami junty.

To, co zaczęło się jako elitarne coup d'etat, błyskawicznie przemieniło się w ruch masowy, w rewolucję. Przyczyniły się do tego dwa wydarzenia. Przywódcy PRD, współpracujący ściśle z siłami zbrojnymi konstytucjonalistów, opanowali radiostację i wezwali ludność stolicy do wyjścia na ulice. Późnym wieczorem pierwszego dnia rebelii i następnego poranka niektórzy ze zbuntowanych oficerów rozdali tysiącom cywilów broń. Zmieniło to radykalnie charakter buntu. Do tego momentu był on sprawą kilku oficerów i niepokaźnej liczebnie grupy przedstawicieli klas średnich: studentów, intelektualistów, inżynierów, młodych przedsiębiorców. Z chwilą przekazania broni przedstawicielom innych warstw ludności przekształcił się on w ruch masowy.

Jaka była reakcja Stanów Zjednoczonych na te wydarzenia? Teoretycznie rząd USA miał do wyboru trzy

możliwości: poprzeć rząd Reida Cabrala, poprzeć siły rewolucyjne, nie czynić niczego. Początkowo wydawało się, że rząd USA wstrzyma się od jakichkolwiek działań. Gdy Reid Cabral zwrócił się do Stanów Zjednoczonych z prośbą o interwencję, odpowiedź była negatywna. To spowodowało, że podał się do dymisji. Powstał problem sukcesji. Partia Juana Boscha, PRD, również zwróciła się do ambasady USA o zabezpieczenie „obecności Stanów Zjednoczonych" w trakcie przekazywania władzy. I w tym wypadku odpowiedź była odmowna.

Okazało się jednak, że neutralizm Stanów Zjednoczonych był pozorny. Ambasada USA, działając głównie za pośrednictwem attaché wojskowych, nawiązała łączność z siłami zbrojnymi, zgrupowanymi wokół głównej bazy wojskowej San Isidro i zaczęła gorąco namawiać dowództwo do zgniecenia rewolucji siłą. W pierwszych godzinach część sił zbrojnych zachowywała się biernie. Niektórzy wyżsi oficerowie byli wyraźnie zdezorientowani rozwojem wypadków i nie bardzo wiedzieli jaką podjąć decyzję. Szef lotnictwa zmieniał ją kilkakrotnie. Około południa 25 kwietnia sytuacja zaczęła się stopniowo wyjaśniać. Konstytucjonaliści ogłosili J. Molina Ureña tymczasowym prezydentem. Był on zwolennikiem Boscha i ostatnim przewodniczącym Izby Deputowanych przed zamachem 1963 roku. Armia dominikańska, która nie chciała udzielić pomocy Reidowi Cabralowi, była też nastawiona zdecydowanie przeciwko powrotowi Boscha lub objęciu władzy przez innego przywódcę PRD. Obok obawy, że Bosch po powrocie, opierając się na oficerach konstytucjonalistach i dobrze uzbrojonej milicji cywilnej, będzie się starał ograniczyć wpływy armii i być może usunie tych, którzy go obalili, ważnym czynnikiem było stanowisko ambasady USA.

Wessin, który po powrocie 1963 roku awansował na generała, zmobilizował pozostałych dowódców. Wystosowali oni do konstytucjonalistów ultimatum, które zostało zignorowane. Wieczorem 25 kwietnia samoloty z bazy San Isidro rozpoczęły bombardowania pozycji rewolucjonistów. Rozpoczęła się wojna domowa.

Konstytucjonaliści nie zaniechali prób uzyskania poparcia Stanów Zjednoczonych. 27 kwietnia jeden z ich przywódców wojskowych Caamaño przybył do ambasady USA z prośbą o podjęcie mediacji i doprowadzenie do rozejmu. Sytuacja militarna była w tym momencie niekorzystna dla rewolucjonistów. Ambasador Tapley Bennett zdecydowanie odmówił, motywując swoje stanowisko brakiem pełnomocnictw oraz tym, że mediacja byłaby „interwencją". W 24 godziny później zwróci się on do swego rządu o przysłanie oddziałów piechoty morskiej.

Tego dnia wieczorem czołgi generała Wessin przygotowywały się do decydującego ataku i wydawało się, że sytuacja rewolucjonistów jest beznadziejna. Pozbawieni poparcia USA niektórzy z ich przywódców, w tym Molina Ureña, chronią się w pomieszczeniach latynoamerykańskich przedstawicielstw dyplomatycznych. Post factum rząd Stanów Zjednoczonych twierdził, że interpretował ten fakt jako dowód, że niekomunistyczni przywódcy rewolucji opuścili ją, zrozumiawszy, że ich ruch został zdominowany przez komunistów. W rzeczywistości jednak, jak twierdził później Molina Ureña, szukał on azylu, ponieważ po prostu uważał, że rewolucja jest przegrana.

Tak samo w istocie uważał rząd Stanów Zjednoczonych i był to kolosalny błąd w ocenie sytuacji. Wbrew oczekiwaniom następnego dnia walki trwały nadal, a armia poniosła ostatecznie sromotną klęskę. Około 5 po południu 28 kwietnia całe miasto było opanowane przez rewolucjonistów. Tego samego dnia wieczorem pułkownik P. B. Benoit, przywódca pospiesznie utworzonej przez armię junty, wystąpił oficjalnie do rządu USA z wezwaniem o interwencję, twierdząc, że istnieje zagrożenie przejęcia władzy przez komunistów. Nie wspomniał ani słowa o zagrożeniu życia obywateli USA. Prośbę odrzucono mówiąc, iż interwencja nastąpi tylko wówczas, gdy junta stwierdzi, że nie jest w stanie zapewnić warunków bezpieczeństwa dla przebywających w Republice Dominikańskiej obywateli USA. Drugie wezwanie junty było już zgodne z powyższymi wskazówkami. Jednocześnie podobny telegram posyła do

Waszyngtonu ambasador Bennett. W nocy pierwsze oddziały interwentów dotarły do bazy San Isidro. Czas był najwyższy. Dominikańskie siły zbrojne znajdowały się w całkowitej rozsypce. Ich „mocny człowiek", którego imię wymawiano ze strachem, generał Wessin, płacząc witał swych wybawicieli.

Tak rozpoczęła się pierwsza od 1925 roku jawna interwencja zbrojna Stanów Zjednoczonych w Ameryce Łacińskiej. Początkowo w chatakterze jej uzasadnienia prezydent Johnson wysuwał argument o istnieniu zagrożenia dla życia obywateli USA w Republice Dominikańskiej. Pomocnik sekretarza stanu Mann rozbudował tę tezę twierdząc, że należy rozróżniać pojęcia „rewolucji" i „chaosu". Jego zdaniem, w wypadku Republiki Dominikańskiej zaistniał „chaos", który usprawiedliwia „interwencję humanitarną".

Z przedstawionej wersji wydarzeń częściowo się później wycofano. Była ona mało przekonywająca, szczególnie że do momentu wylądowania wojsk USA na wyspie nie zginął żaden cudzoziemiec.

2 maja prezydent Johnson przedstawił już nowe motywy interwencji. Wysunął twierdzenie, iż była ona konieczna, ponieważ to, „co rozpoczęło się jako powszechna rewolucja demokratyczna, zostało przejęte [...] przez komunistów". Ambasada USA w Republice Dominikańskiej dostarczyła w charakterze koronnego dowodu specjalną listę „54 członków partii komunistycznej, kierujących rewolucją".

Przedstawiona wersja wzbudziła również wiele wątpliwości. Skoro rząd USA oceniał w ten sposób pierwotny charakter rewolucji, dlaczego odnosił się do niej z wrogością. Najwięcej jednak zastrzeżeń wywołała wielokrotnie jeszcze później powtarzana przez prezydenta i jego współpracowników opinia o zmianie charakteru rewolucji. Przedstawiona lista okazała się po zbadaniu zwykłym oszustwem, do tego niestarannie wykonanym. Niektóre z osób na niej umieszczonych odeszły przed rewolucją w zaświaty, część nigdy nie miała nic wspólnego z ruchem komunis-

tycznym. Inne w ogóle nie były w tym czasie obecne na wyspie. Czyż pozostali przedstawiali aż takie zagrożenie? Dodatkowych wiarygodnych dowodów zmiany charakteru rewolucji rząd USA nigdy nie przedstawił. Bo też takich być nie mogło.

Decyzja o interwencji zapadła w momencie utraty przez Stany Zjednoczone, w ich mniemaniu, kontroli nad dalszym biegiem wypadków. Z chwilą klęski armii w Republice Dominikańskiej wszystko się mogło zdarzyć. Nie chodziło tylko o to, że doznała niepowodzenia określona kombinacja polityczna, lecz że runęła w gruzy tradycyjna struktura władzy, ponieważ uległ rozbiciu jeden z głównych jej filarów — siły zbrojne. W przekonaniu rządu USA powstała pustka, którą należało niezwłocznie wypełnić. Nikt bowiem nie mógł przewidzieć, jaki będzie dalszy rozwój sytuacji w nowych warunkach. Rewolucja mogła przybrać bardzo różne formy. Problem polegał na tym, że nie było wiadomo, jaki kierunek obierze.

Interwencja miała więc na celu nie tyle uniemożliwienie objęcia władzy przez Boscha i jego zwolenników, których przecież nie traktowano jako wrogów, ile opanowanie nowej sytuacji. Innymi słowy, przyczyną interwencji było nie tylko zwycięstwo konstytucjonalistów, lecz przede wszystkim klęska armii, którą uważano w istocie za najpewniejszego i być może jedynego gwaranta ciągłości ustrojowej Republiki Dominikańskiej.

Decyzja o wysłaniu wojsk była konsekwencją przyjęcia przez rząd USA celu nadrzędnego w polityce wobec Ameryki Łacińskiej, jakim było przeciwdziałanie powstaniu „nowej Kuby". Prezydent Johnson we wspomnianym przemówieniu z 5 maja podkreślił to wyraźnie, powołując się jednocześnie na utrzymaną w tym samym duchu wypowiedź prezydenta Kennedy'ego, iż „musimy użyć wszelkich dostępnych środków, by przeszkodzić utworzeniu drugiej Kuby na tej półkuli".

I chociaż oczywiście nie można z całą pewnością zaręczyć, że w konkretnej sytuacji kwietnia 1965 roku pre-

zydent Kennedy zachowałby się podobnie, nie ulega jednak wątpliwości, że ogólna strategia była bardziej jego tworem aniżeli Johnsona. Jeszcze w początkach 1963 roku pomocnik sekretarza stanu do spraw Ameryki Łacińskiej wyjaśnił w Kongresie, że rząd interpretuje system zobowiązań OPA jako upoważnienie do „udostępnienia sił zbrojnych w formie pomocy rządowi, który o to prosi, w przypadku zagrożenia przejęcia władzy przez komunistów".

Ambasador Martin pisze w swych pamiętnikach, że po obaleniu Boscha w 1963 roku Departament Stanu poinformował go, że Stany Zjednoczone nie będą interweniowały zbrojnie, „dopóki nie będzie istniało zagrożenie objęcia władzy przez komunistów".

W. W. Rostow ujawnił w wywiadzie opublikowanym na łamach „New York Timesa" 21 kwietnia 1969 roku, że Kennedy utworzył grupę ekspertów do opracowania uzasadnienia prawnego na wypadek użycia sił w rejonie Morza Karaibskiego w celu udaremnienia rewolucji socjalistycznej.

To, co określa się więc jako doktrynę Johnsona, nie było czymś nowym w latynoamerykańskiej polityce USA. Nie czyniła ona w niej wyłomu ani też nie stanowiła jej rozwinięcia. Rząd Johnsona wiernie kontynuował realizację już wcześniej ustalonej linii politycznej.

Johnson był głęboko przekonany o jej słuszności. Jego zdaniem, prezydent, który dopuściłby do powstania nowego państwa socjalistycznego na półkuli zachodniej, zasługiwał na „impeachment". Powoływał się przy tym na opinię publiczną w Stanach Zjednoczonych. Nie tylko on. Ambasador Martin wyrażał pogląd, że polityka rządu nie może być inna „z tej prostej przyczyny, że opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych nie będzie tolerowała drugiej Kuby na Morzu Karaibskim".

Na jakiej podstawie Johnson i jego doradcy tak twierdzili, nie wiadomo. Ale przywódcy polityczni nie mają najczęściej skrupułów w demagogicznym powoływaniu się na mityczny głos narodu nawet w czasie podejmowania najbardziej niepopularnych decyzji.

5. E. Che Guevara

6. Caamaño Deñó, ambasador Bunker i sekretarz generalny OPA Moro

7. Juan Bosch w otoczeniu przywódców wojskowych „konstytucjonalistów"

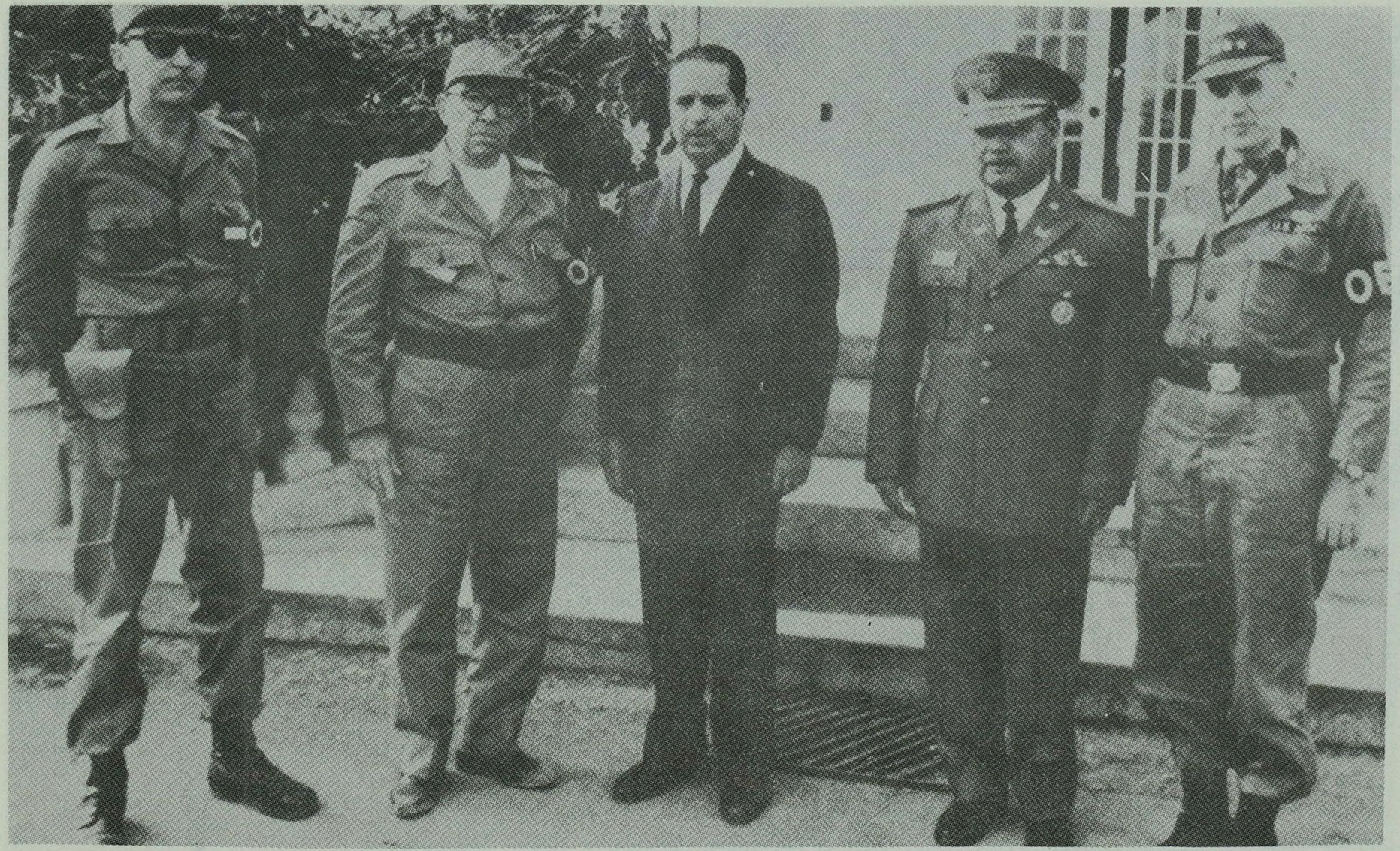

8. „Wspólne dowództwo" ogólnoamerykańskich sił z sekretarzem generalnym OPA Moro

Dużą rolę odegrały względy ogólnej sytuacji międzynarodowej. Interwencja w Republice Dominikańskiej zbiegła się w czasie z nasileniem eskalacji działań wojennych USA w Wietnamie. W lutym 1965 roku rozpoczęto bombardowania DRW. W miesiąc później zaczęły przybywać do Wietnamu Południowego regularne oddziały wojskowe USA. W Białym Domu wiązano ściśle te dwie sprawy. Doradca prezydenta McGeorge Bundy podkreślał: „Podstawowe cele Stanów Zjednoczonych wobec obydwu obszarów mogą zostać zdefiniowane identycznie".

Doświadczenia wietnamskie wpłynęły nawet na sam sposób przeprowadzenia interwencji. Od samego początku wysłano duże siły. Już w pierwszych dniach oddziały interwencyjne osiągnęły liczbę 23 850 żołnierzy. Dla Johnsona interwencja była jedną z prób sprawności, sprawdzianem efektywności działania. Jak powiedział jednemu z dziennikarzy: „Cóż będziemy w stanie dokonać w Wietnamie, jeżeli nie potrafimy wyjaśnić sytuacji w Republice Dominikańskiej".

Interwencja odzwierciedlała przypuszczalnie również intencję rządu USA, który chciał zademonstrować krajom socjalistycznym (z ich bowiem strony Waszyngton obawiał się, iż udzielą zwiększonej pomocy DRW), że cierpliwość Stanów Zjednoczonych jest ograniczona, że mogą one reagować gwałtownie, nawet przesadnie, w sposób przekraczający oczekiwania, nie dający się przewidzieć.

Dopiero po rozpoczęciu interwencji Stany Zjednoczone zwróciły się do OPA w celu uzyskania aprobaty dla swojego postępowania. Fakt niepowiadomienia innych członków organizacji o zamiarze użycia siły Departament Stanu usiłował usprawiedliwić koniecznością szybkiego reagowania na wydarzenia, nie pozwalającą na przeprowadzenie wstępnych konsultacji. W istocie przyczyną zignorowania OPA była obawa, że propozycja interwencji zbiorowej nie uzyska wymaganej w takich wypadkach większości dwóch trzecich głosów państw członkowskich. Celne uwagi senatora Fulbrighta na ten temat nie wymagają dodatkowych uzupełnień: „Powiadomienie państw

Ameryki Łacińskiej o naszych działaniach po ich rozpoczęciu nie stanowi aktu zgodnego z postanowieniami Karty OPA i układu z Rio de Janeiro. Tak samo w istocie jak przed ich podjęciem. Informując bowiem zainteresowane strony o zamiarze pogwałcenia prawa, nikt nie uzyskuje tym samym sankcji dla swego postępowania".

Akcja Stanów Zjednoczonych, niezależnie od naruszenia wymogu konsultacji, była oczywistym pogwałceniem Karty OPA, a szczególnie artykułów: 16 – zakazującego interwencji „z jakiego bądź powodu" i 17 – niedopuszczającego nawet tymczasowej okupacji wojskowej.

Stany Zjednoczone starały się uzyskać od OPA usankcjonowania interwencji w drodze formalnej zmiany jej charakteru. Chodziło im o przemienienie interwencji jednostronnej w wielostronną pod flagą OPA. W tym celu zaproponowały na X konferencji konsultacyjnej, która rozpoczęła się 1 maja w Waszyngtonie, wysłanie do Republiki Dominikańskiej specjalnego przedstawiciela komitetu OPA w celu formalnego przejęcia przez ten organ od USA funkcji politycznych oraz utworzenie tzw. ogólnoamerykańskich sił pokojowych dla nadania wojskom interwencyjnym charakteru międzynarodowego, podobnie jak to uczyniono w czasie wojny koreańskiej, wykorzystując ONZ.

W sprawie pierwszej Waszyngton uzyskał pełne poparcie krajów latynoamerykańskich. Specjalny komitet OPA został utworzony jednogłośnie i upoważniony do pełnienia roli organu mediacyjnego dla „przywrócenia pokoju i normalnych warunków" w Republice Dominikańskiej. Opór wywołał natomiast projekt powołania „ogólnoamerykańskich sił pokojowych". Wymaganą kwalifikowaną większość głosów Waszyngton uzyskał z dużym trudem i z pogwałceniem zasad proceduralnych. Przeciwko rezolucji w tej sprawie głosowały: Chile, Ekwador, Meksyk, Peru i Urugwaj. Wenezuela wstrzymała się od głosu. Czternasty, decydujący głos, niezbędny do koniecznego minimum, był oddany przez delegata Republiki Dominikańskiej, „reprezentującego" nieistniejący, obalony rząd Reida Cabrala.

Komitet Rady OPA do spraw pełnomocnictw delegatów, opierając się na wielokrotnych oświadczeniach USA, że w Republice Dominikańskiej nie było rządu, lecz tylko dwie zwalczające się frakcje, zalecił ogłoszenie miejsca tego kraju jako nieobsadzonego do chwili uznania nowego rządu. Sprawy proceduralne są rozstrzygane w OPA zwykłą większością głosów, toteż Stany Zjednoczone przegłosowały ten wniosek na swoją korzyść.

Zdecydowanego poparcia propozycjom USA udzieliły prawicowe reżimy takich krajów, jak Brazylia, Boliwia, Paragwaj, Honduras, Gwatemala, Haiti, Salwador. Wiele krajów głosowało za zgłoszonymi projektami rezolucji, wyrażając różnego rodzaju zastrzeżenia i ogólnie odnosząc się krytycznie wobec samego faktu interwencji (Argentyna, Kolumbia, Kostaryka). Lecz nawet państwa, które w sposób najbardziej ostry i kategoryczny ją potępiały, nie występowały efektywnie przeciwko sankcjonowaniu postępowania USA, głosując za utworzeniem komitetu specjalnego i ograniczając się do wyrażenia sprzeciwu wobec idei „ogólnoamerykańskich sił pokojowych". W tym wypadku jednak protest nie dotyczył już w istocie interwencji, ale przede wszystkim koncepcji powołania wspólnych sił zbrojnych OPA, określanej z myślą o przyszłości jako groźny precedens.

Z tych względów Stany Zjednoczone mogły być ogólnie zadowolone z rezultatów konferencji. Udało im się wciągnąć OPA do zajęcia się kryzysem w Republice Dominikańskiej i w ten sposób zdjąć z siebie częściowo brzemię odpowiedzialności za dalszy jego przebieg.

Poparcie dla USA ze strony OPA było wynikiem szeregu czynników. Częściowo był to ze strony państw latynoamerykańskich gest ratowania twarzy. Nawet najbardziej prawicowe rządy nie miały ochoty występować jako aprobujące interwencję jednostronną. Dlatego pragnęły zatuszować ją środkami podjętymi przez OPA. Gdyby tego nie uczyniły, znalazłyby się w kłopotliwej sytuacji. Większość z nich nie chciała doprowadzić do kryzysu w sto-

sunkach z rządem USA z powodu Republiki Dominikańskiej. Niektóre twierdziły, że stoją przed trudnym dylematem: wyrażenie zgody na powołanie komitetu specjalnego, a szczególnie „ogólnoamerykańskich sił pokojowych", oznacza usankcjonowanie interwencji. Odmowa jednak z tego powodu wszelkiego współdziałania odgradza od możliwości wywierania wpływu na politykę Stanów Zjednoczonych i dalszy rozwój wydarzeń w Republice Dominikańskiej. Jak ujmował to delegat Kolumbii: „Godzinami w razie potrzeby moglibyśmy potępiać jednostronną akcję Stanów Zjednoczonych, lecz nie uzdrowiłoby to ani też nie poprawiłoby sytuacji w Santo Domingo". Ten sam delegat wyrażał nadzieję, że przejęcie odpowiedzialności przez OPA spowoduje „wchłonięcie akcji pojedynczego państwa przez działanie zbiorowe".

Niewątpliwie był to bądź przejaw braku realizmu, bądź świadome wprowadzenie w błąd własnej opinii publicznej i poszukiwanie wygodnej politycznie formuły podporządkowania się życzeniom Waszyngtonu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że brak poparcia ze strony OPA postawiłby Stany Zjednoczone w bardzo trudnej sytuacji, szczególnie na forum ONZ.

Wydaje się, że bardziej szczery był przedstawiciel Kostaryki, który poddając krytyce postępowanie USA głosował z większością, co tłumaczył w sposób następujący: „Wprawdzie nie możemy aprobować faktu, że Stany Zjednoczone decydują same o posłaniu wojsk dla udaremnienia triumfu czy porażki rewolucji [...] nie możemy jednak również pozwolić, by w bratnim kraju królowała anarchia lub [...] reżim podobny do tego, jaki istnieje na Kubie".

Możliwość rewolucji socjalistycznej nie była jedynie obsesją Waszyngtonu. Strach przed nią podzielały rządy wszystkich krajów latynoamerykańskich. W warunkach wzrostu aktywności ruchu rewolucyjnego w Ameryce Łacińskiej każdy z rządów tego regionu realnie się obawiał, że znajdzie się w sytuacji zagrożenia i liczył na pomoc ze strony Stanów Zjednoczonych, na ich interwencję.

I chociaż otwarcie tego nie mówiono, takie w istocie było stanowisko większości, jeżeli nie wszystkich, delegatów na X konferencji. Rząd USA nie był więc odosobniony w swym stosunku do zasady nieinterwencji. Było mu znacznie łatwiej to deklarować, ponieważ nigdy jej nie absolutyzował. Inaczej było w wypadku krajów latynoamerykańskich, które uważały się za autorów tej zasady i traktowały ją oficjalnie jako fundament swej polityki zagranicznej. W ich doktrynie nabrała ona znaczenia symbolicznego, stała się „świętością" narodową każdego z nich. Nie mogły więc sobie pozwolić na jej publiczne odrzucenie.

Nie problem interwencji jednak podzielił OPA na dwa obozy i wywoływał różnice zdań. Dla rządów takich krajów, jak Wenezuela, Peru czy Urugwaj główne zło postępowania Stanów Zjednoczonych tkwiło w udzielaniu poparcia siłom prawicy w Republice Dominikańskiej. Sympatyzowały one z konstytucjonalistami. Takie było stanowisko większości polityków demokratycznej lewicy. Pamiętajmy, że w czasie kwietniowych walk w Republice Dominikańskiej konstytucjonaliści kilkakrotnie zwracali się do rządu USA z prośbą o interwencję. Podobnie czynił Bosch. Jego postawa w tej kwestii była charakterystyczna. Po interwencji stał się jednym z najbardziej otwartych krytyków Stanów Zjednoczonych. Jego książka, wydana w 1968 roku, jest jednym wielkim aktem oskarżenia polityki Waszyngtonu. Jednocześnie ten sam polityk zapytany przez dziennikarza w czerwcu 1966 roku, czy jego zdaniem interwencja Stanów Zjednoczonych w Haiti po ewentualnym odejściu dyktatora Duvaliera byłaby pożądana, odpowiedział bez najmniejszego wahania, że oczywiście tak. Postawa w istocie dwuznaczna. Odnosi się wrażenie, że gdyby oddziały piechoty morskiej USA przywiozły go do Republiki Dominikańskiej w kwietniu 1965 roku i posadziły na fotelu prezydenckim uważałby, że wszystko jest w porządku i nie napisałby nigdy potępiającej Stany Zjednoczone książki. I nie byłby w tej opinii osamotniony. Przypuszczalnie tak jak w 1961 roku cała „de-

mokratyczna" Ameryka Łacińska oklaskiwała z entuzjazmem interwencję rządu Kennedy'ego przeciwko rodzinie Trujillo, tak w 1965 roku wyrażałaby swoje uznanie dla interwencji w Republice Dominikańskiej na rzecz konstytucjonalistów i Boscha.

I chociaż często przedstawiciele tej orientacji politycznej występowali z pozycji obrońców zasady nieinterwencji, w istocie postępowanie rządu Johnsona wywoływało ich krytykę głównie dlatego, że wybierał nie ich, a innych sojuszników politycznych w Ameryce Łacińskiej, że tak często stawiał na siły zbrojne i prawicę.

Tego rodzaju dwuznaczna postawa wobec zasady nieinterwencji, będąca konsekwencją zarówno strachu przed rewolucją socjalistyczną jak i wyżej wspomnianych względów gry politycznej, wpłynęła w sposób decydujący na stanowisko OPA w kwestii kryzysu w Republice Dominikańskiej nie tylko w okresie początkowym, ale również później, w procesie jego stopniowego regulowania.

O udziale tej organizacji w rozstrzygnięciach politycznych zadecydował skład zarówno komitetu specjalnego OPA, jak i „ogólnoamerykańskich sił pokojowych". W obydwu wypadkach wiele krajów latynoamerykańskich bojkotowało całe przedsięwzięcie, chociaż formalnie wszystkie zgodziły się na jego firmowanie przez OPA. W rezultacie brały w nim udział jedynie prawicowe reżimy. Do komitetu specjalnego wchodzili przedstawiciele Argentyny, Brazylii, Gwatemali, Kolumbii i Panamy. Jeszcze bardziej znamienny był skład „ogólnoamerykańskich sił pokojowych", który przedstawiał się następująco:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Stany Zjednoczone | — | 10 900 | żołnierzy |
| Brazylia | — | 1 115 | żołnierzy |
| Salwador | — | 3 | oficerów |
| Kostaryka | — | 21 | policjantów |
| Honduras | — | 250 | żołnierzy |
| Paragwaj | — | 183 | żołnierzy |

W tych warunkach nie mogło być w ogóle mowy

o „wchłonięciu akcji pojedynczego państwa przez działanie zbiorowe". Obydwa organy OPA były wyłącznie posłusznymi wykonawcami poleceń rządu Stanów Zjednoczonych. Ich orientacja polityczna była wyraźnie prawicowa i wroga konstytucjonalistom. Jedynym „kłopotem" Waszyngtonu była zbyt rzucająca się w oczy gorliwość niektórych przedstawicieli OPA w manifestowaniu posłuszeństwa oraz wprost nienawiści do konstytucjonalistów. Tę ostatnią cechą odznaczał się szczególnie nominalny dowódca „ogólnoamerykańskich sił pokojowych" brazylijski generał H. Alvin, co prowadziło go nawet do konfliktów z jego „zastępcą", generałem Bruce Palmerem ze Stanów Zjednoczonych.

Tego rodzaju zachowanie się organów OPA w Republice Dominikańskiej spowodowało bardzo poważne osłabienie prestiżu międzynarodowego tej organizacji. W istocie od tego momentu rozpoczął się jej kryzys. Zaczęła stopniowo tracić na znaczeniu i pomimo licznych prób „uzdrowienia" jej rola w stosunkach ogólnoamerykańskich stawała się z każdym następnym rokiem coraz bardziej ograniczona.

Bezpośrednim natomiast następstwem było osłabienie pozycji konstytucjonalistów, którzy znaleźli się w prawie całkowitej izolacji międzynarodowej i stanęli osamotnieni nie tylko wobec swych miejscowych przeciwników, lecz również wobec Stanów Zjednoczonych, bez jakiegokolwiek praktycznie wsparcia z zewnątrz.

Dla rządu USA udział OPA w interwencji w Republice Dominikańskiej posiadał znaczenie jeszcze z jednego powodu. Blokował mianowicie możliwość szerszego zaangażowania ONZ. Sprawa interwencji w Republice Dominikańskiej znalazła się na porządku dziennym Rady Bezpieczeństwa 1 maja na wniosek Związku Radzieckiego. Został on poparty przez większość krajów Azji i Afryki. Stany Zjednoczone sprzeciwiały się podjęciu przez ONZ jakiejkolwiek akcji, wysuwając swój tradycyjny argument, że sprawa została przejęta przez OPA. Ostatecznie jednak po dwutygodniowych debatach musiały częściowo ustąpić

i protestując przeciwko „ingerencji zewnętrznej w sprawy międzyamerykańskie" zgodziły się na wysłanie do Republiki Dominikańskiej przedstawiciela Sekretarza Generalnego ONZ. Został nim J. A. Mayobre z Wenezueli, były bliski współpracownik Betancourta. W krótkim czasie nawiązał on bliskie kontakty z konstytucjonalistami i był w istocie jedynym w Republice Dominikańskiej funkcjonariuszem międzynarodowym w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Jego działalność wywoływała irytację i gniew rządu USA. W pewnym momencie stały przedstawiciel USA przy ONZ A. Stevenson złożył nawet formalny protest u U Thanta, domagając się, by jego wysłannik przysyłał bardziej „obiektywne" sprawozdania. Nie ulega wątpliwości, że chociaż misja ONZ w Republice Dominikańskiej posiadała ograniczone pełnomocnictwa i niewielkie możliwości działania z powodu braku jakiejkolwiek współpracy ze strony OPA, wywarła ona jednak pewien wpływ na postępowanie USA. Musiały się one liczyć z faktem jej obecności. Nie było to wiele, lecz na jej przykładzie widać, że przy zaangażowaniu większej liczby państw Ameryki Łacińskiej rola OPA mogłaby być zupełnie inna. Skoro zgodziły się na udział organizacji w kryzysie, powinny okazać konsekwencję. Taktyka bojkotu była w tej sytuacji wyrazem zwykłego oportunizmu, który wynikał z niechęci do rzeczywistego przeciwstawienia się Stanom Zjednoczonym. Deklaracje potępiające interwencję, składane przez rządy Chile, Meksyku czy Urugwaju w celu stworzenia pozorów niezależności, najczęściej na użytek wewnętrzny, niewiele kosztowały, skoro nie pociągały za sobą żadnych dalszych praktycznych kroków. Rząd USA okazywał wobec nich „ojcowską wyrozumiałość". Żaden z wymienionych krajów nie był szykanowany w stosunkach dwustronnych.

Ogólnie Stanom Zjednoczonym udało się zabezpieczyć sobie pełnię swobody postępowania wobec kryzysu w Republice Dominikańskiej w kontekście stosunków ogólnoamerykańskich bądź poprzez jednoznaczne opowiedzenie

się po ich stronie części krajów, bądź też poprzez zneutralizowanie innych, przy jednoczesnym zaangażowaniu OPA w całą sprawę.

Proces regulowania kryzysu okazał się jednak bardzo trudny. Ciągnął się on stosunkowo długo i kosztował dyplomację USA wiele wysiłków. Wydaje się, że stwierdzenie prezydenta Johnsona w przemówieniu z 2 maja zapewniające, że ma wyrobione zdanie, co do „rodzaju rządu, jaki mamy nadzieję zobaczyć w Republice Dominikańskiej", nie miało pokrycia w rzeczywistości. Stany Zjednoczone długo szukały właściwej, z punktu widzenia ich interesów, a odpowiadającej realiom okupowanego kraju, formuły politycznej.

Pierwsze poczynania wojsk interwencyjnych miały wyraźnie na celu uratowanie armii od ostatecznej klęski i następnie odbudowania jej sił. Ogłoszono zawieszenie broni, a między stronami konfliktu utworzono strefę neutralną. Uczyniono to w ten sposób, by osłabić sytuację militarną konstytucjonalistów, których pozycje rozdzielono na dwie odrębne części. W Republice Dominikańskiej pojawił się ponownie były ambasador w tym kraju Martin. On też organizuje juntę wojskową i wybiera w charakterze jej przywódcy generała T. Imberta. Posunięcie niezbyt udane z punktu widzenia celów jego misji, Imbert bowiem nie był popularny nawet wśród innych dowódców armii. Znany ze swych ultraprawicowych poglądów, nie był traktowany przez konstytucjonalistów jako partner do negocjacji. Martin kierował się w tym wypadku wyraźnie osobistą sympatią dla generała.

Wojska interwencyjne zajęły w pierwszych dniach wszystkie ośrodki prowincjonalne w obawie przed rozszerzeniem się rewolucji. W rezultacie konstytucjonaliści zostali całkowicie odcięci od reszty kraju. Ich pozycje w stolicy stały się wyizolowanymi wyspami.

W ocenie Waszyngtonu były one widoczne jeszcze zbyt silne. Toteż w połowie maja generał Imbert, gwałcąc zawieszenie broni, atakuje słabszy z dwóch sektorów zaj-

mowanych przez konstytucjonalistów i dokonuje rzezi wśród jego obrońców. Stany Zjednoczone oficjalnie głosiły, że nie miały z tą akcją nic wspólnego. Inaczej twierdził wysłannik Sekretarza Generalnego ONZ, który w swym sprawozdaniu podkreślił uczestnictwo wojsk interwencyjnych. Jego opinię potwierdziły czołowe gazety w Stanach Zjednoczonych.

W tej „sprzyjającej" atmosferze Martin przystąpił do negocjowania rozwiązania politycznego. Jego celem było utworzenie tymczasowego rządu koalicyjnego z przedstawicielami armii i konstytucjonalistów. Z rokowań tych, prowadzonych za pośrednictwem komitetu specjalnego OPA, nic nie wyszło. Nie pomogło przybycie do Republiki Dominikańskiej Sekretarza Generalnego OPA J. A. Mory.

W tym czasie rząd Johnsona znalazł się pod obstrzałem krytyki w swym kraju, szczególnie za poparcie udzielone juncie generała Imberta. Duże wrażenie wywarło potępiające rząd przemówienie senatora Fulbrighta. Po raz pierwszy przeciwko prezydentowi Johnsonowi wysąpił jego główny konkurent polityczny Robert Kennedy. Najbardziej wpływowe gazety, między innymi „New York Times", waszyngtoński „Post", nowojorski „Herald Tribune", „Christian Science Monitor", a nawet „Wall Street Journal" zamieszczały krytyczne komentarze redakcyjne i otwarcie kwestionowały oficjalną wersję wydarzeń.

Pobudziło to rząd do szukania innych rozwiązań. Nie bez wpływu, należy sądzić, była bardziej wyważona ocena sytuacji w Republice Dominikańskiej. Rząd USA nie działał już w strachu przed możliwością rewolucji socjalistycznej.

15 maja, po sześciu dniach przeprowadzanych w tajemnicy rokowań na Puerto Rico, specjalny wysłannik prezydenta McGeorge Bundy dochodzi do porozumienia z Boschem. Tak narodziła się tzw. formuła Guzmána. Bosch zrezygnował ze swojego pierwotnego warunku natychmiastowego wycofania wojsk USA z wyspy. W zamian Bundy wyraził zgodę, by do czasu nowych wy-

borów prezydentem został A. Guzmán, bliski przyjaciel Boscha i jeden z przywódców PRD. W skład nowego rządu mieli wchodzić również inni przywódcy konstytucjonalistów, a także Balaguer i jeden polityk popierany przez armię. Generał Wessin miał zostać odwołany ze stanowiska i wydalony z kraju, a nowym szefem sztabu miała być osoba nie związana z żadną z walczących stron. Była to koncepcja „rządu konstytucjonalistów bez Boscha". W jednej sprawie negocjatorzy nie mogli dojść do porozumienia. Stany Zjednoczone żądały mianowicie, by członków ruchów lewicowych „odseparować od społeczności Dominikany" bądź w drodze zgrupowania ich w odosobnionym miejscu, czyli innymi słowy, umieszczenie ich w obozach karnych, bądź za pomocą deportacji. Bosch był skłonny wyrazić na to zgodę, lecz Guzmán sprzeciwił się kategorycznie. I trzeba podkreślić, że pomimo późniejszej stałej presji Waszyngtonu nie zmienił zdania.

Zdecydowanie przeciwko „formule Guzmána" wystąpiły siły zbrojne. Ich stanowisko okazało się decydujące. Rząd Stanów Zjednoczonych nie chciał ryzykować. Pryncypialna postawa Guzmána w kwestii lewicy i jego żądanie złożenia przez Stany Zjednoczone sprecyzowanej konkretnie gwarancji wycofania wojsk interwencyjnych były dodatkowym ważnym czynnikiem, który ostatecznie zadecydował, że w końcu maja Waszyngton postanowił zrezygnować z tego wariantu roztrzygnięcia kryzysu.

Na scenie pojawia się nowy negocjator z trzecią koncepcją. Był nim Ellsworth Bunker, wytrawny dyplomata, były ambasador USA w Argentynie i we Włoszech, mediator w sporze holendersko-indonezyjskim o Iran Zachodni, a od 1964 roku stały przedstawiciel USA w Radzie OPA. Człowiek „wielkiego biznesu", który rozpoczynał karierę jako kolejno przewodniczący i dyrektor towarzystwa National Sugar Refining Corporation, wchodzącego w skład tzw. kompleksu cukrowego Wschodniego Wybrzeża i posiadającego rozległe interesy w krajach karaibskich.

Bunker wysunął plan utworzenia rządu tymczasowego

tzw. trzeciej siły, składającego się z polityków nie związanych bezpośrednio ze zwalczającymi się obozami, a jednocześnie odpowiadających obu stronom. Misję swą wypełnił z powodzeniem. Wśród polityków dominikańskich znalazł właściwego kandydata. Był nim H. Garcia-Godoy. Nie ulega wątpliwości, że był zręcznym politykiem. Pochodził z tradycyjnej oligarchii. Jego dziadek R. Cáceres był prezydentem Republiki Dominikańskiej, ojciec natomiast ambasadorem w Stanach Zjednoczonych. On sam był również zawodowym dyplomatą. W okresie zamachu na Trujillo pełnił obowiązki ambasadora w Wielkiej Brytanii, następnie był ministrem spraw zagranicznych w rządzie Boscha. Po przewrocie 1963 roku został wiceprzewodniczącym partii Balaguera – Partido Reformista. Dzięki takiej przeszłości posiadał zwolenników praktycznie wszędzie. Był idealnym kompromisowym kandydatem. Cieszył się też pełnym zaufaniem Bunkera, co pozwoliło mu na uzyskanie szeregu koncesji, których poprzednio nie był w stanie osiągnąć Guzmán. Między innymi w kwestii lewicy. Nie zgodził się ani na deportację, ani na obozy karne. Włączył do swojego rządu szereg osobistości z obozu konstytucjonalistów. Zyskał też częściowo poparcie armii. Generała Wessin, z pomocą USA, zmusił we wrześniu siłą do złożenia rezygnacji i wysłał w charakterze konsula do Miami na Florydzie. Zezwolił na powrót Boscha. Gdy w październiku doszło do ostrego kryzysu na tle incydentu zbrojnego między armią a konstytucjonalistami w mieście Santiago, zarządził wyjazd z kraju czołowych przywódców wojskowych konstytucjonalistów Caamaño i Montes Arache oraz trzech głównodowodzących sił zbrojnych. Armia próbowała z tego powodu wywołać rebelię w styczniu 1966 roku. Stany Zjednoczone poparły jednak zdecydowanie rząd i kryzys został zażegnany.

Powodzenie nowej strategii nie było wynikiem jedynie zręcznych manewrów politycznych. Wojska interwencyjne były stałym czynnikiem w negocjacjach. Okres drugiej

połowy 1965 roku obfitował w liczne incydenty zbrojne i akty terroru. Konstytucjonaliści nigdy nie mogli być pewni jutra. Widmo krwawej rozprawy 15 maja, dokonanej przez żołdaków Imberta, było stale aktualne. W czerwcu „ogólnoamerykańskie siły pokojowe" po całodziennej walce okupowały kilka budynków w strefie konstytucjonalistów. Jak pisał później Bosch: „Za każdym razem, gdy rząd pułkownika Caamaño odmawiał wyrażenia zgody w określonej sprawie w czasie negocjacji ze Stanami Zjednoczonymi [...] stolica Dominikany padała ofiarą ataku zbrojnego [...] Najmniejszy opór przy akceptowaniu warunków [USA] płacony był życiem obywateli Dominikany".

Tę ocenę potwierdziło wiele innych incydentów. Konstytucjonaliści nie byli równoprawnym partnerem w rokowaniach. Osiągnięty kompromis był także rezultatem stosowanej stale wobec nich przemocy. Pod jej presją zmuszani byli do ustępstw, ona też spowodowała, że w ich obozie zaczęły dominować siły umiarkowane, dążące za wszelką cenę do porozumienia z interwentami.

W czerwcu 1966 roku dochodzi do wyborów – Bosch i jego partia przegrywa na rzecz Balaguera. Wiele uczyniono, by stworzyć pozory, że wybory były demokratyczne i „wolne". Nie ulega jednak wątpliwości, że i w tym wypadku obecność wojsk interwencyjnych okazała wpływ decydujący na ich ostateczne rezultaty. Bosch wygrał zdecydowanie w stolicy. Na prowincji, izolowanej od konstytucjonalistów, w warunkach okupacji i w atmosferze terroru zwycięzcą okazał się Balaguer. Ważnym momentem była sprawa dalszej obecności wojsk interwencyjnych. Wielu wyborców obawiało się, że w wypadku zwycięstwa Boscha perspektywa opuszczenia przez nie kraju zostanie na długi czas odsunięta. Balaguer zaprowadził rządy silnej ręki. Bardzo nalegał, by interwenci pozostali w kraju jak najdłużej. Ostatecznie ostatnie oddziały „międzyamerykańskich sił pokojowych" opuściły Republikę Dominikańską 30 września 1966 roku.

W ten sposób formalnie zakończyła się interwencja. Była ona przykładem całego kompleksu spraw związanych z polityką Stanów Zjednoczonych nie tylko w Ameryce Łacińskiej, lecz w ogóle w Trzecim Świecie. Ujawniła jej rzeczywisty cel, jeżeli chodzi o sterowanie rozwojem politycznym zależnych od USA krajów rozwijających się. Senator Fulbright określił ten cel jako „zachowanie status quo" w krajach rozwijających się, nawet jeżeli jego dalsze istnienie nie było tego warte. Z oceną tą można się zgodzić pod warunkiem szerokiego rozumienia pojęcia status quo, a nie takiego, które sugeruje, że celem polityki Stanów Zjednoczonych było utrzymanie w danym kraju u władzy rządu o ściśle określonej orientacji politycznej. Rząd USA dążył przede wszystkim do zapewnienia kontynuacji ustrojowej i popierał te siły, które tę kontynuację zabezpieczały w sposób najbardziej efektywny i pozbawiony cienia ryzyka. I w ramach realizacji tego celu był gotów udzielać wszelkiego poparcia każdemu, kto odpowiadał tym warunkom, jak również występować przeciwko wszystkim siłom, które w jego opinii nie były zdolne do wypełnienia tej zasadniczej funkcji. I to niezależnie od tego, czy reprezentowały one nurt prawicowy i konserwatywny czy demokratyczny i reformistyczny, czy ich przedstawiciele byli w mundurach czy w ubraniach cywilnych.

Dla państw latynoamerykańskich interwencja w Republice Dominikańskiej stanowiła dramatyczne potwierdzenie ich miejsca w stosunkach międzynarodowych. Rozwiała iluzje, które w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych silnie występowały w Ameryce Łacińskiej. W rozumieniu elit latynoamerykańskich interwencja dowiodła przekonywająco, że ich kraje znajdują się w dalszym ciągu w wyłącznej sferze wpływów Waszyngtonu, że w swych próbach uzyskania większej niezależności nie mogą liczyć na poparcie międzynarodowe spoza półkuli zachodniej. Z wyjątkiem przypadku przyjęcia kursu na własne zniszczenie, czyli rewolucji socjalistycznej. Tej alternatywy z o-

czywistych względów klasy panujące nie brały pod uwagę. Wielu polityków latynoamerykańskich przed interwencją pokładało natomiast nadzieję w zwiększenie roli międzynarodowej krajów Europy Zachodniej, a szczególnie Francji. Odżyła ponownie w Ameryce Łacińskiej koncepcja „latinidad", wysunięta w okresie powojennym po raz pierwszy przez peruwiańskiego prezydenta M. Prado w 1956 roku. Według jego słów oznaczała ona dążenie do „trwałego sojuszu i rzeczywistego zbliżenia narodów romańskich". Dodatkowy impuls uzyskała w czasie wizyt prezydenta de Gaulle w 1964 roku w jedenastu krajach latynoamerykańskich. W ich trakcie wiele mówiono o potrzebie odrzucenia jakiejkolwiek formy hegemonii w stosunkach międzynarodowych, o tym że należy stworzyć takie warunki polityczne, w których kraje Trzeciego Świata nie będą musiały dokonywać jednoznacznego wyboru między dominacją Stanów Zjednoczonych a rewolucją socjalistyczną. Nadzieje, jakie wiązano w Ameryce Łacińskiej z polityką Francji, ilustruje wypowiedź intelektualisty meksykańskiego Carlosa Fuentesa, który w czasie wizyty prezydenta Francji w Meksyku pisał: „Dzisiejsza Francja Ch. de Gaulle otwiera przed Meksykiem nowe perspektywy osiągnięcia wielu celów [ ... ] Czyż kraj znajdujący się na kapitalistycznej drodze rozwoju nie może zróżnicować swych źródeł finansowania zagranicznego, wywalczyć uzyskania przypływu kapitału obcego na bardziej dogodnych warunkach i wyzwolić się w końcu od presji północnoamerykańskiej? Czyż prezydent de Gaulle nie zademonstrował wobec Stanów Zjednoczonych, że idealne dążenie do niezależności jest osiągalne w drodze konkretnej działalności, że we współczesnym świecie istnieje wiele środków taktycznych i strategicznych, umożliwiających osłabienie hegemonii USA w imię umocnienia niezależności".

Jak bardzo rozpowszechnione były nadzieje na zwiększenie aktywności Francji w Ameryce Łacińskiej świadczy fakt wysłania w maju 1965 roku przez konstytucjo-

nalistów całej serii telegramów do Paryża z prośbą o uznanie dyplomatyczne. Rząd francuski potępił wprawdzie 6 maja interwencję, lecz nie myślał podejmować jakichkolwiek kroków praktycznych. 13 maja francuski minister informacji oświadczył, że sprawa uznania nie jest rozpatrywana. Sekretarz stanu Rusk nie omieszkał w czasie konferencji prasowej 22 maja przestrzec Francję, iż „byłoby znaczniej lepiej, by w Paryżu więcej uwagi zwrócono na fakt, że pewne kraje tej półkuli już zajęły się istniejącym problemem. Nie jest on sprawą, wobec której Francja posiada aktywną odpowiedzialność".

W czasie wizyty wiceprezydenta H. Humphreya 22 czerwca w Paryżu rząd francuski złożył specjalne zapewnienie, że nie uczyni nic, co mogłoby wprawić w zakłopotanie Stany Zjednoczone w trakcie regulowania kryzysu dominikańskiego.

Politycy latynoamerykańscy, którzy łudzili się, że Francja pomoże ich krajom w walce z hegemonią USA, podobnie jak to czyniła wewnątrz NATO, przeżyli z pewnością głębokie rozczarowanie.

## *Problem utworzenia „ogólnoamerykańskich sił zbrojnych"*

Rząd Stanów Zjednoczonych nie uważał interwencji w Republice Dominikańskiej za przypadkowe wydarzenie w stosunkach z Ameryką Łacińską. Przeciwnie, traktował ją jako precedens i liczył się z możliwością przeprowadzenia podobnych operacji w przyszłości. Z tych powodów podjął wysiłki na rzecz stworzenia odpowiednich warunków polityczno-prawnych, które umożliwiłyby bezkonfliktowe i „legalne" użycie siły wobec państw półkuli zachodniej i uniknięcie w takich przypadkach ambarasującej krytyki wewnątrz kraju i poza jego granicami.

20 września 1965 roku Izba Reprezentantów przy pełnej aprobacie, a przypuszczalnie i z inicjatywy rządu,

uchwaliła rezolucję nr 560. Utrzymana w duchu zimnowojennym i sformułowana w stylu lat pięćdziesiątych stwierdzała między innymi, ponieważ: „Siły wywrotowe, znane jako komunizm międzynarodowy, działając otwarcie i z ukrycia, bezpośrednio i pośrednio zagrażają suwerenności politycznej wszystkich krajów półkuli zachodniej [...] [wobec tego — *T. K.*] jakakolwiek jedna [podkr. moje — *T. K.*] lub więcej ze stron ogólnoamerykańskiego układu o pomocy wzajemnej może w wykonaniu prawa do indywidualnej lub zbiorowej samoobrony, które obejmuje również odwołanie się do siły zbrojnej [...] podjąć kroki do zapobieżenia lub przeciwdziałania interwencji dominiacji, kontroli i kolonizacji w jakiejkolwiek formie ze strony sił wywrotowych".

Rezolucja upoważniała w istocie prezydenta do podejmowania akcji zbrojnej według jego uznania wobec każdego kraju w Ameryce Łacińskiej, w każdym momencie, który uważa za stosowny. Przypominała ona udzielenie przez Kongres upoważnienia do działań rządu w kwestii wietnamskiej (tzw. rezolucji tonkinskiej).

Jednocześnie wysunięto koncepcję utworzenia stałych „ogólnoamerykańskich sił zbrojnych" OPA. W czasie II i III specjalnych konfrontacji ogólnoamerykańskich, które miały miejsce kolejno w listopadzie 1965 roku w Rio de Janeiro i w lutym 1967 roku w Buenos Aires, oraz na posiedzeniach Komitetu do spraw przygotowania wstępnego projektu poprawek do Karty OPA rząd USA starał się przekonać kraje regionu o konieczności tego przedsięwzięcia.

Idea nie była nowa. Pojawiła się ona w przeszłości w stosunkach ogólnoamerykańskich. W okresie powojennym była dyskutowana na wniosek Kuby na ogólnoamerykańskiej konferencji w Meksyku w 1945 roku.

W Kongresie USA, a szczególnie w Senacie, podnoszono tę sprawę przy wielu okazjach, szczególnie w czasie debat nad ustawami o pomocy zagranicznej. W styczniu 1955 roku senator G. Smathers proponował powołanie

ogólnoamerykańskich sił OPA po zakończeniu sporu między Nikaraguą a Kostaryką. Uważał on wówczas, że byłyby one częścią ogólnoamerykańskiego mechanizmu rozstrzygania sporów i spełniałyby funkcje sił pokojowych. W 1960 roku ten sam senator starał się przekonać Departament Stanu o celowości utworzenia ogólnoamerykańskich sił w kontekście sytuacji kubańskiej.

Rok wcześniej senatorowie F. Church i W. Morse, często wypowiadający się w sprawach latynoamerykańskich, zgłosili poprawkę do ustawy o pomocy zagranicznej na rok finansowy 1959, zgodnie z którą fundusze przeznaczone na pomoc militarną, a przekazywane na podstawie umów dwustronnych poszczególnym państwom, miały zostać połączone w jeden wspólny fundusz Organizacji Państw Amerykańskich na siły zbrojne przez nią kontrolowane. Poprawka została odrzucona.

W specjalnym opracowaniu ekspertów z Northwestern University na temat OPA, przygotowanym w 1959 roku na zlecenie Kongresu, postulowano utworzenie niewielkiego liczebnie, stuosobowego oddziału wojskowego OPA w celu walki z „działalnością wywrotową" i szkolonego do działań przeciwko ruchom partyzanckim.

Interwencja w Republice Dominikańskiej i utworzenie „ogólnoamerykańskich sił pokojowych" zwiększyła zainteresowanie członków Kongresu omawianą koncepcją. Komitet stosunków zagranicznych Senatu pod przewodnictwem Fulbrighta wystąpił z inicjatywą wniesienia poprawki do ustawy o pomocy zagranicznej z 1961 roku, która w ostatecznej redakcji po jej uchwaleniu brzmiała następująco: „(a) Wartość darowizn w ramach programów obrony dla republik amerykańskich [...] w każdym roku finansowym [...] nie powinna przekraczać 55 milionów dolarów, z czego 25 milionów ma zostać wykorzystane na warunkach wzajemności dla ogólnoamerykańskich sił zbrojnych pod kontrolą Organizacji Państw Amerykańskich".

Motywy Kongresu były nieco odmienne od rządowych.

Głównie liczono, że utworzenie ogólnoamerykańskich sił pozwoli na wydatne zmniejszenie ogólnej pomocy wojskowej dla Ameryki Łacińskiej. Rosnące wydatki z tego tytułu w warunkach eskalacji działań wojennych w Indochinach budziły niepokój wśród wielu senatorów, szczególnie iż wątpiono w ich efektywne wykorzystanie i uważano na zbyt duże w porównaniu z rzeczywistymi potrzebami. Niektórzy członkowie Kongresu, jak np. senatorowie Fulbright i Morse wyrażali nadzieję, że utworzenie „ogólnoamerykańskich sił zbrojnych" wpłynie na umiędzynarodowienie procesu podejmowania decyzji w ramach stosunków ogólnoamerykańskich i tym samym na wyeliminowanie możliwości posunięć jednostronnych w rodzaju interwencji w Republice Dominikańskiej. Była to idea podobna do tej, którą głosiły niektóre rządy latynoamerykańskie w trakcie podejmowania uchwały o powołaniu" „ogólnoamerykańskich sił pokojowych", wyrażająca się w cytowanej już formule delegata kolumbijskiego „wchłonięcia akcji pojedynczego państwa przez działanie zbiorowe".

Rząd wysuwając koncepcję utworzenia „ogólnoamerykańskich sił pokojowych" kierował się odmiennymi względami. Były one po części analogiczne do tych z okresu wojny koreańskiej. Jak wówczas, chodziło o zwiększenie integracji politycznej półkuli zachodniej i bardziej aktywne zaangażowanie krajów regionu po stronie Stanów Zjednoczonych w obliczu konfrontacji. Wspólne siły zbrojne miały być jednym z czynników wspomagających osiągnięcie tego celu, jednoczącym kraje latynoamerykańskie i jednocześnie zwiększającym ich podporządkowanie. USA miały nadzieję wykorzystywać je w charakterze nowego instrumentu kontroli. Integracja w sferze wojskowej miała stać się podstawą do dalszej integracji politycznej. W tym samym czasie prezydent Johnson zadeklarował również poparcie dla latynoamerykańskich wysiłków integracyjnych w stosunkach gospodarczych.

Departament Stanu uważał, że utworzenie sił zbroj-

nych OPA będzie wygodne jeszcze z jednego powodu. Uwolni bowiem formalnie Stany Zjednoczone od ponoszenia wyłącznej odpowiedzialności za utrzymanie „porządku" na półkuli zachodniej i w ten sposób usunie stały temat kontrowersji w stosunkach z Ameryką Łacińską. Jak twierdził stały przedstawiciel USA w Radzie OPA J. Dreier, powołanie ogólnoamerykańskich sił byłoby dalszym krokiem w kierunku umiędzynarodowienia funkcji politycznych Stanów Zjednoczonych w Ameryce Łacińskiej w drodze zapewnienia uczestnictwa krajów regionu w pełnieniu tych funkcji.

„New York Herald Tribune" z 17 maja 1965 roku ujmował to w sposób bardziej obrazowy: „brzemię gaszenia pożarów" należy przerzucić na państwa latynoamerykańskie za pomocą „utworzenia oddziału straży ogniowej przy Organizacji Państw Amerykańskich".

Koncepcja stałych „ogólnoamerykańskich sił zbrojnych" spotkała się ze zdecydowanym sprzeciwem ze strony krajów latynoamerykańskich. Tak powszechnym, że sprawa ich utworzenia, chociaż do 1967 roku była stale dyskutowana na forum OPA, nigdy nie została nawet formalnie włączona do porządku dziennego odbywających się w tym czasie konferencji ogólnoamerykańskich i nie poddana pod głosowanie. Stany Zjednoczone nie chciały ryzykować w obawie przed poniesieniem porażki dyplomatycznej. Powstrzymywała je nie tylko troska o własny prestiż. Bardziej stanowcze próby przezwyciężenia oporu krajów latynoamerykańskich w tej kwestii groziły rozpadem OPA. Rządy Kolumbii, Chile, Urugwaju i Meksyku oficjalnie zapowiadały, że w wypadku uchwalenia rezolucji o utworzeniu stałych „ogólnoamerykańskich sił zbrojnych" wystąpią z organizacji.

Za propozycją rządu USA wypowiadała się jedynie niewielka liczba państw. Do zdecydowanych jej zwolenników należały: Brazylia, Argentyna, Salwador i Nikaragua. I na tych czterech krajach kończyła się w istocie ich lista. Przeciwko opowiedziały się oprócz wymienionych

już państw następujące: Ekwador, Gwatemala, Haiti, Honduras, Kostaryka, Republika Dominikańska, Panama, Peru, Paragwaj i Wenezuela. Boliwia unikała zajęcia wyraźnego stanowiska. Wśród przeciwników znalazły się rządy, które dotychczas bez wahań popierały wszelkie inicjatywy USA. Honduras, Kostaryka i Paragwaj uczestniczyły w „ogólnoamerykańskich siłach pokojowych" w Republice Dominikańskiej. Kolumbia i Panama głosowały na rzecz ich powołania. Oczywiście można przypuszczać, że w przypadku postawienia sprawy na „ostrzu noża", część krajów, wyrażających swoją opozycję często w bardzo ostrożnych i wyważonych słowach, zmieniłaby zdanie i ostatecznie głosowałaby zgodnie z życzeniami rządu USA. Niemniej jednak fakt tak powszechnej niechęci był znamienny. Jej przyczyny były różnorodne i dla jej uzasadnienia posługiwano się rozmaitymi argumentami. Ogólnie państwa latynoamerykańskie nie traktowały problemu wąsko, lecz bardzo szeroko, rozważając wszystkie jego możliwe konsekwencje. Dyskusja na jego temat wbrew intencjom inicjatora szybko przekształciła się w debatę nad sprawami tradycyjnie kontrowersyjnymi w stosunkach krajów Ameryki Łacińskiej ze Stanami Zjednoczonymi. Zastanawiano się w jej trakcie nad ogólnym charakterem systemu ogólnoamerykańskiego, nad zasadą nieinterwencji i rolą OPA w stosunkach ogólnoamerykańskich.

Po raz pierwszy do konfrontacji poglądów doszło na II specjalnej konferencji w Rio de Janeiro w listopadzie 1965 roku. Nieobecny był przedstawiciel rządu Wenezueli, który w przewidywaniu prawdziwego tematu konferencji, wolał ją przypuszczalnie z ostrożności zignorować. Otwierając obrady prezydent Brazylii zaprezentował tezę o legalności „kontrinterwencji" w ramach walki z ruchami rewolucyjnymi i twierdził, że nie narusza ona zasady nieinterwencji w ujęciu traktatów ogólnoamerykańskich.

Sekretarz stanu D. Rusk powołując się na doświadczenia kryzysu karaibskiego 1962 roku i interwencji w Republice Dominikańskiej dowodził konieczności usprawnie-

nia funkcjonowania OPA i zalecał w związku z tym „przestudiowanie [...] stałych form dobrowolnego udziału w operacjach pokojowych". Zasadność stworzenia tego rodzaju mechanizmu motywował potrzebą szybkiego i efektywnego wspólnego reagowania na wypadek powstania „niebezpiecznych sytuacji na półkuli zachodniej", co jego zdaniem, w istniejącej strukturze organizacyjnej, było utrudnione z powodu konieczności uzyskania za każdym razem decyzji ze strony rządów państw członkowskich. Sugerował tym samym częściowe przejęcie kompetencji w tym zakresie przez OPA.

Przedstawiając powyższą propozycję Rusk próbował jednocześnie szantażować pozostałych uczestników konferencji dając do zrozumienia w sposób jednoznaczny, że jeżeli nie zostaną podjęte wysiłki do zreformowania OPA w zalecanym przez USA kierunku, nie będą one wahały się w podejmowaniu w przyszłości działań jednostronnych.

Sugestie delegacji Stanów Zjednoczonych i Brazylii były krytykowane głównie z pozycji obrony zasady nieinterwencji. Przedstawiciel Kolumbii złożył konkurencyjny projekt rezolucji potwierdzającej znaczenie zasady nieinterwencji i zaproponował zawarcie konwencji wyliczającej wszystkie dające się przewidzieć jej naruszenia, by nadać zasadzie bardziej skonkretyzowaną treść.

Delegat Urugwaju wyraźnie podkreślił, że zgadza się z propozycją rządu USA w sprawie utworzenia „ogólnoamerykańskich sił zbrojnych" i oświadczył w formie kategorycznej, iż „nic, co w najmniejszym stopniu może zaszkodzić, naruszyć lub pogwałcić zasadę nieinterwencji, nie zostanie poparte przez delegację Urugwaju".

Przytoczone przykładowo wypowiedzi, a nie były one jedynymi, świadczyły, że rządy krajów latynoamerykańskich uważały już sam fakt utworzenia ogólno-amerykańskich sił wojskowych za naruszenie zasady nieinterwencji. Ich zdaniem, użycie sił zbrojnych należało do wyłącznej kompetencji państw. Stąd przekazanie części uprawnień w tej sferze OPA oznaczało w ich mniemaniu wejście

przez organizację międzynarodową na obszary zastrzeżone wyłącznie dla państwa, a więc interwencję w ich sprawy wewnętrzne. Wyraźnie zwrócił uwagę na tę stronę zagadnienia meksykański minister spraw zagranicznych, który potwierdzając nadrzędność zasady nieinterwencji w stosunkach między krajami półkuli zachodniej stwierdził między innymi, że „jeżeli należałoby dokonać wyboru pomiędzy posiadaniem organizacji o ograniczonej efektywności i akceptacją osłabienia wyznawanych przez nas zasad, powinniśmy z konieczności wybrać niestety wariant pierwszy".

Innymi słowy, rządy krajów latynoamerykańskich oponujące przeciwko utworzeniu „ogólnoamerykańskich sił zbrojnych", uzasadniały swoje stanowisko między innymi obawą przed nadaniem OPA zbyt dużych prerogatyw. Ten nurt w dyskusji przejawił się szczególnie silnie na III specjalnej konferencji w lutym 1967 roku w Buenos Aires w związku z propozycją argentyńską rewizji artykułów 44 - 47 Karty OPA, dotyczących statusu i funkcji Komitetu Obrony tej organizacji. Propozycja przewidywała między innymi nadanie temu organowi zwiększonych pełnomocnictw w sprawach współpracy wojskowej oraz jego przemianę w stały organ OPA, a nie jak dotychczas powoływany ad hoc z głosem doradczym na zlecenie głównych organów organizacji.

Wywołało to ogólną dyskusję na temat charakteru prawnego OPA. Delegat Kolumbii motywował swój sprzeciw tym, że projekt „prowadzi bezpośrednio do ustanowienia ponadnarodowego państwa ogólnoamerykańskiego". Przedstawiciel Ekwadoru wyrażał pogląd, że utworzenie stałego organu wojskowego OPA byłoby sprzeczne z zasadą nieinterwencji i gwałciłoby poszanowanie swobody działania państw, czyli naruszałoby ich suwerenność. Podobnego zdania był delegat Gwatemali. Meksyk potwierdzał swą pozycję z poprzedniej konferencji podkreślając, iż „jest własną sprawą każdego państwa utrzymanie pokoju wewnętrznego i zabezpieczenie jego instytucji demokratycz-

nych". Zgłoszona propozycja została poddana głosowaniu. Tylko sześć krajów udzieliło jej poparcia: Argentyna, Brazylia, Honduras, Nikaragua, Salwador i Paragwaj. Jedenaście wypowiedziało się przeciwko. Stany Zjednoczone, spodziewając się takiego wyniku, wolały wstrzymać się od głosowania.

Perspektywa „ponadnarodowości" OPA była niemiła większości państw latynoamerykańskich niezależnie od ich wewnętrznej struktury i orientacji politycznej. Nie chciały one rezygnować z posiadanego monopolu na stosowanie środków przymusu, elementu tak bardzo istotnego dla każdego systemu władzy. W tej kwestii państwa „demokratyczne" i reżimy dyktatorskie utworzyły wspólny front, chociaż ich bezpośrednie motywy polityczne były, rzecz niewątpliwie paradoksalna, odmienne. W każdym jednak konkretnym wypadku chodziło o niepokój przed możliwymi konsekwencjami wyłączenia spod kontroli państwowych ośrodków władzy części narodowego establishmentu wojskowego i przekazu suwerennych uprawnień w zakresie użycia siły na rzecz organu międzynarodowego. Szczególnie, iż dla wszystkich było jasne, że w konkretnym układzie sił na półkuli zachodniej „ponadnarodowość" OPA może oznaczać wyłącznie nadanie ponadnarodowego charakteru hegemonii Stanów Zjednoczonych kosztem praw suwerennych krajów Ameryki Łacińskiej.

Inną ważną przyczyną niechęci większości krajów latynoamerykańskich do koncepcji utworzenia „ogólnoamerykańskich sił zbrojnych" było przekonanie o potrzebie zachowania ogólnie niemilitarnego charakteru OPA. Obawiały się one, że realizacja postulatu USA doprowadzi do przekształcenia tej organizacji w sojusz wojskowy, że upodobni się ona całkowicie do NATO. W czasie III specjalnej konferencji wielu delegatów podkreślało z mocą, podobnie jak czynił to delegat Kolumbii, że „NATO i ogólnoamerykański układ o pomocy wzajemnej są całkowicie odmiennymi dokumentami".

Kwestionowano potrzebę nadania tego rodzaju kierunku rozwojowi OPA. I tak delegat Wenezueli dowodził, że

„sytuacja międzynarodowa nie jest obecnie tak groźna, by istniała możliwość ataku na państwo amerykańskie ze strony państwa spoza kontynentu czy z kontynentu".

Pragnienie uniknięcia przekształcenia OPA w blok wojskowy było podyktowane względami politycznymi i gospodarczymi. Uważano, że przyznależność do organizacji typu wojskowego utrudni rozwój wszechstronnych kontaktów z całym pozostałym światem, a szczególnie z nowo powstałymi państwami Azji i Afryki. System ogólnoamerykański stanie się zbyt scentralizowany i zamknięty, co ograniczy możliwość manewru politycznego i zmniejszy zdolność krajów latynoamerykańskich do przejawiania aktywności na arenie międzynarodowej.

Nie chciano również tak jednoznacznego opowiedzenia się po stronie Stanów Zjednoczonych w obawie przed potencjalną perspektywą wplątania się za ich pośrednictwem w wielkie konflikty na obszarach poza Ameryką Łacińską. Motywacja była więc podobna do przejawianej w okresie lat pięćdziesiątych. Niepokój na tym tle nie był bezpodstawny. Według oświadczenia ministra spraw zagranicznych Kolumbii z października 1965 roku, Stany Zjednoczone zwróciły się do rządów latynoamerykańskich z apelem wysłania do Wietnamu Południowego symbolicznych misji wojskowych. Nie wywołał on entuzjazmu, chociaż w marcu 1966 roku argentyński minister spraw zagranicznych złożył wizytę w Sajgonie i wyraził solidarność z tamtejszym rządem. W maju 1968 roku argentyńska misja wojskowa w składzie pięciu oficerów pojawiła się w Wietnamie Południowym w charakterze obserwatorów.

Inne kraje latynoamerykańskie unikały z powodzeniem udziału w jakiejkolwiek formie w konflikcie indochińskim. Wyrażały jednak obawy, że w wypadku współuczestnictwa we wspólnym bloku wojskowym z USA możliwość odmowy poparcia w podobnej sytuacji byłaby ograniczona, że byłyby one niejako automatycznie wciągane w sprawy nie dotyczące bezpośrednio ich bezpieczeństwa.

Perspektywa przekształcenia OPA w organizację mili-

tarną była przez niektóre rządy latynoamerykańskie oceniana negatywnie również z powodu możliwych skutków dla rozwoju stosunków wewnątrzregionalnych. Widziały one niebezpieczeństwo w możliwości powstania zintegrowanej struktury wojskowej, kontrolującej narodowe siły zbrojne, nie poddającej się jednak wpływom wszystkich rządów uczestniczących w organizacji, lecz tylko najbardziej silnych militarnie. Podobnie jak obawiano się, że z utworzenia wspólnych sił skorzystają przede wszystkim Stany Zjednoczone, uważano również, że obok tego mocarstwa w uprzywilejowanej pozycji znajdą się kraje o największych armiach w Ameryce Łacińskiej, czyli Brazylia i Argentyna. Państwa pod względem wojskowym słabsze były przekonane, iż w tej sytuacji ich znaczenie w organizacji znacznie się zmniejszy.

Wysuwano również argument tradycyjny, że głównym przedmiotem zainteresowania OPA winny stać się problemy rozwoju gospodarczego, a nie sprawy militarne i polityczne. W czasie II specjalnej konferencji w Rio de Janeiro w 1965 roku mówił o tym szeroko delegat Chile. Zwrócił on jako jedyny z zabierających głos uwagę na jeszcze jedno niebezpieczeństwo stojące przed OPA. Jego zdaniem „ogólnoamerykańskie siły umiejscowiłyby system organizacji w negatywnym i groźnym ideologicznie kontekście". W jego wypowiedzi znalazło się również stwierdzenie, iż w systemie ogólnoamerykańskim „powinno się znaleźć miejsce dla wszystkich krajów półkuli zachodniej, które pragną do niego należeć, niezależnie od organizacji społeczno-gospodarczej lub inspirujących ich poglądów filozoficznych".

Niewątpliwie przytoczone słowa mogły zostać odczytane jako wezwanie do normalizacji stosunków z Kubą, chociaż przede wszystkim były one wymierzone przeciwko nadaniu OPA wyraźnych treści ideologicznych, by organizacja ta nie stała się sojuszem wymierzonym przeciwko komukolwiek. Tym samym, by nie była wykorzystywana jako narzędzie interwencji jedynie w oparciu o przesłanki

ideologiczne. Jak tłumaczył delegat Chile, chodziło o niedopuszczenie do „przekształcenia OPA w organizację ideologiczną, której będzie potrzebna nowa inkwizycja". Chile było jedynym krajem latynoamerykańskim, który podnosił ten aspekt problemu.

Strach przed rewolucją socjalistyczną i wrogość wobec Kuby w dalszym ciągu dominowały. Z tego powodu większość rządów nie była gotowa akceptować hasła pokojowego współistnienia na półkuli zachodniej w praktyce politycznej. Kurs antykubański był w dalszym ciągu aktywnie popierany. W 1966 roku, w związku z Konferencją Trzech Kontynentów w Hawanie, członkowie OPA uchwalili kolejne rezolucje potępiające rząd kubański. W kwietniu 1967 roku na konferencji ministrów spraw zagranicznych OPA w Waszyngtonie dominowały wrogie rewolucji kubańskiej wypowiedzi.

Jednocześnie jednak pogląd ostrzegający przed przekształceniem OPA w sojusz stojący na straży ideologicznej czystości jej członków był przyjmowany przez wiele rządów przychylnie i ze zrozumieniem. Dlatego wypowiadały się za organizacją, która byłaby zbliżona do modelu Organizacji Narodów Zjednoczonych, tyle że w skali regionalnej.

Zdecydowanie negatywne stanowisko większości krajów Ameryki Łacińskiej spowodowało, że rząd Stanów Zjednoczonych był zmuszony odstąpić od swojego projektu. Konsekwencje dyskusji na jego temat były jednak znacznie szersze. Uczuliły bowiem rządy latynoamerykańskie na wszelkie radykalne propozycje reformy systemu OPA. Wspomniane dwie konferencje były formalnie tej sprawie poświęcone. W rezultacie przedstawiciele USA w trakcie formułowania tekstu poprawek do Karty OPA w szeregu innych sprawach nie mogli osiągnąć również zbyt wiele. Można powiedzieć, że koncepcja „ogólnoamerykańskich sił zbrojnych" wyświadczyła jej propagatorom prawdziwie niedźwiedzią przysługę. Uchwalony ostatecznie na III specjalnej konferencji w 1967 roku Protokół do Karty Organizacji Państw Amerykańskich, zwany także „proto-

kołem z Buenos Aires", zawierający nowy tekst Karty OPA, nie zwiększył zakresu zobowiązań członków organizacji. Zmianie uległa struktura organizacyjna, włączono całe rozdziały o współpracy gospodarczej, lecz w sferze politycznej i wojskowej utrzymano stan istniejący dotychczas. Jak przyznał stały przedstawiciel USA w Radzie OPA J. Dreier, „stare wino znalazło się w nowych butelkach" i nic ponadto.

Nowa Karta OPA stanowiła niejako symboliczne odzwierciedlenie rezultatów ofensywy dyplomatycznej Stanów Zjednoczonych, podjętej za pomocą programu Sojuszu

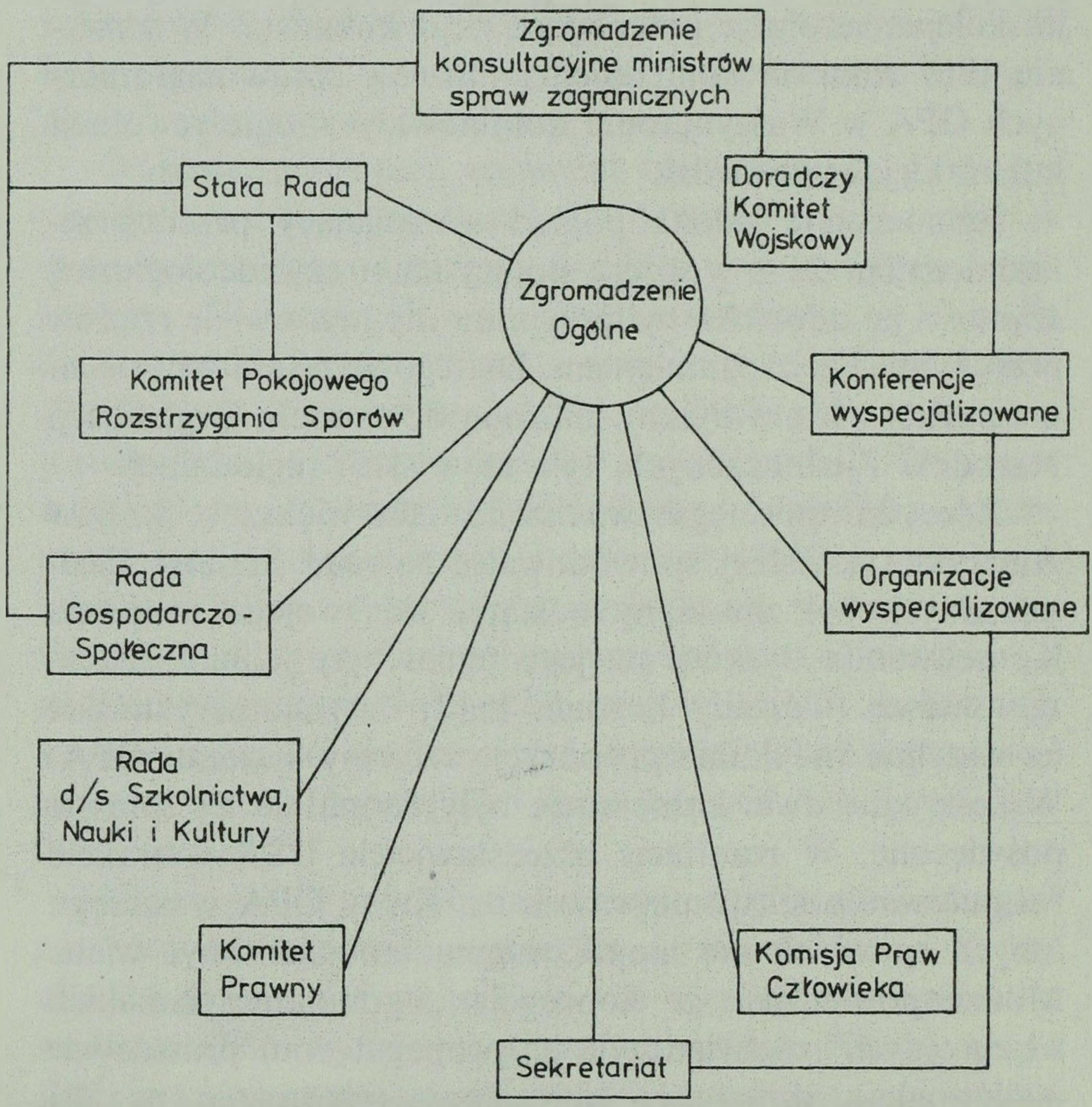


*II. Struktura Organizacji Państw Amerykańskich po uchwaleniu Protokołu do Karty OPA na III specjalnej konferencji w Buenos Aires w 1967 roku*

dla Postępu. Kołom rządzącym USA udało się utrzymać sytuację powstałą po rewolucji kubańskiej: nie dopuścić do dalszych zmian w systemie dominacji. Jednocześnie rząd USA nie osiągnął jednak postępów w utrwaleniu tego systemu, uzyskał raczej „zamrożenie" istniejącego stanu faktycznego, bez pewności, że będzie on zachowany w przyszłości. Klasom rządzącym Stanów Zjednoczonych chodziło także o pobudzenie takiego kierunku rozwoju politycznego krajów Ameryki Łacińskiej, który dawałby w perspektywie gwarancję ciągłości pozycji Stanów Zjednoczonych jako hegemona na półkuli zachodniej, bez odwoływania się do przemocy. I w tym sensie cele polityczne programu Sojuszu dla Postępu nie zostały zrealizowane.

# Nowe tendencje w stosunkach wojskowych

Prezydent Kennedy — określając w początkach 1963 roku sytuację w Ameryce Łacińskiej jako najbardziej krytyczną w świecie z punktu widzenia stopnia zagrożenia dla interesów Stanów Zjednoczonych — nie miał na myśli kłopotów z dyktatorami. Największy jego niepokój budziła aktywizacja sił lewicowych, a szczególnie pojawienie się ruchów partyzanckich. Objęły one w różnym nasileniu i w różnych okresach lat sześćdziesiątych prawie wszystkie kraje latynoamerykańskie. W niektórych z nich, w Kolumbii, Wenezueli i Gwatemali, stanowiły realne zagrożenie dla władzy panujących elit, w innych mogły w każdym momencie stać się podobną groźbą. Bo chociaż z pewnością przykład rewolucji kubańskiej, zwłaszcza w początkach lat sześćdziesiątych, był potężnym bodźcem do ich rozwoju, nie była ona podstawową przyczyną. Proces rewolucyjny w Ameryce Łacińskiej nie był produktem rewolucji na Kubie, lecz przeciwnie, ona sama była jego tworem. Ten zespół warunków społeczno-gospodarczych i politycznych, który ją wywołał, istniał w każdym z krajów regionu, często w formach jeszcze bardziej obiektywnie sprzyjających fundamentalnym przemianom ustrojowym.

Koła rządzące USA doskonale zdawały sobie z tego sprawę. Stąd strategia walki z rewolucją socjalistyczną nie ograniczała się do polityki izolacji Kuby, lecz obejmowała również inne środki przeciwdziałania. Duże znaczenie od samego początku przypisywano rozwojowi bezpośrednich metod walki z zagrożeniem, szczególnie militarnych i policyjnych. Ich rola stopniowo wzrastała. Objawy przed możliwościami powtórzenia się precedensu kubańskiego w okresie rządów Kennedy'ego wzmogły się w czasach prezydentury Johnsona. Już nie chodziło tylko o strach

przed zwycięstwem rewolucji socjalistycznej w którymś z krajów regionu, lecz o złowieszczą dla Waszyngtonu perspektywę zawierającą się w pytaniu postawionym dziennikarzowi amerykańskiemu przez Fidela Castro w 1966 roku: „Co uczynią Stany Zjednoczone, gdy w czterech lub pięciu krajach jednocześnie wybuchnie powstanie?".

W warunkach trwającego konfliktu w Indochinach możliwość narodzenia się podobnej sytuacji na innych obszarach Trzeciego Świata, niezależnie od ostatecznego rezultatu, była dla rządu USA czymś, czego pragnął uniknąć za wszelką cenę. Perspektywa „nowych Wietnamów", do których stworzenia wzywał E. Che Guevara w liście do uczestników Organizacji Solidarności Narodów Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej w 1967 roku, była traktowana jako realna i stała się prawdziwą obsesją Waszyngtonu. Wywarła duży wpływ na jego światową politykę zagraniczną. Ustalała priorytety w stosunkach z krajami Ameryki Łacińskiej. W imię bieżących potrzeb walki z ruchem rewolucyjnym rezygnowano lub odsuwano na plan dalszy osiągnięcie innych celów. Postępowano w ten sposób bez skrupułów, w przekonaniu, że Stany Zjednoczone nie mogą sobie w żadnym wypadku pozwolić na prowadzenie jeszcze jednej wojny lokalnej.

Nadrzędność walki z ruchem rewolucyjnym, zwłaszcza z partyzanckim, zmieniała w sposób radykalny politykę wojskową USA wobec Ameryki Łacińskiej. Odrzucono zdecydowanie niepodzielnie panującą w latach pięćdziesiątych koncepcję obrony zbiorowej jako nierealną z powodu nikłego prawdopodobieństwa ataku spoza półkuli zachodniej. Główny akcent położono na wzmocnieniu bezpieczeństwa wewnętrznego. Innymi słowy, na zapewnieniu ciągłości ustrojowej krajów Ameryki Łacińskiej.

Zmiana stanowiska była uderzająca. Jeszcze w 1959 roku, w ustawie o wzajemnym bezpieczeństwie znajdował się ustęp, zawierający zastrzeżenie: „Bezpieczeństwo wewnętrzne, jeżeli prezydent nie postanowi inaczej i nie po-

wiadomi o tym Komitetu Spraw Zagranicznych Senatu i przewodniczącego Izby Reprezentantów, nie będzie stanowiło podstawy udzielenia pomocy wojskowej dla Ameryki Łacińskiej".

Nową strategię wojskową wiązano ściśle z celami programu Sojuszu dla Postępu. Uzasadniając ją w Kongresie w 1962 roku generał Enermark podkreślał: „Latynoamerykańskie siły bezpieczeństwa, zarówno policja jak i armia, posiadają podstawowe znaczenie. Aby Sojusz dla Postępu miał jakąkolwiek szansę powodzenia, rządy muszą rozporządzać dostateczną siłą dla kontroli nad działalnością wywrotową, w celu udaremnienia terroryzmu oraz wyeliminowania fal gwałtu, które mogą osiągnąć rozmiary nie dające się ująć w żadne ramy".

Zgodnie z opracowanymi ustaleniami charakter armii krajów Ameryki Łacińskiej powinien ulec gruntownej zmianie. Ich główną funkcją miało być zwalczanie ruchów partyzanckich i wszelkich innych akcji, określanych jako „wywrotowe", a nie jak dotychczas, przynajmniej w doktrynie, udział w zbiorowej obronie półkuli zachodniej. Oznaczało to w praktyce przekształcenie armii konwencjonalnych w specjalne siły zbrojne, dostosowane wyłącznie do utrzymania bezpieczeństwa wewnętrznego. To założenie pociągało za sobą konieczność wprowadzenia odmiennych form szkolenia i innego typu wyposażenia oraz uzbrojenia. W zamyśle Pentagonu i rządu realizacja tego planu miała stopniowo doprowadzić do specjalizacji latynoamerykańskich sił zbrojnych wyłącznie w pełnieniu funkcji policyjnych na półkuli zachodniej, a w konsekwencji w drodze ich modernizacji do ich zmniejszenia liczebnego oraz wyeliminowania z ich uzbrojenia sprzętu, który nie odpowiadał ich nowemu profilowi.

Ten kierunek działania nabrał szczególnego znaczenia w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, kiedy w obliczu gwałtownie rosnących wydatków na wojnę wietnamską starano się uczynić je bardziej racjonalnymi w innych

częściach świata. Jak to uzasadniał sekretarz obrony R. McNamara, główny architekt nowej polityki wojskowej wobec krajów Ameryki Łacińskiej, „w ostatnich siedmiu latach całkowicie zrewidowaliśmy naszą politykę militarną wobec Ameryki Łacińskiej. Naszym celem było przystosowanie jej do istoty i rozmiarów rzeczywistego zagrożenia na południu od naszych granic. Uznajemy obecnie, że istnieje niewielkie prawdopodobieństwo ataku konwencjonalnego na jakiekolwiek państwo amerykańskie spoza półkuli zachodniej. Nie ma więc potrzeby utrzymywania przez kraje Ameryki Łącińskiej dużych konwencjonalnych sił zbrojnych, zwłaszcza wymagających drogiego i wyszukanego sprzętu".

Drugim ważnym elementem nowej strategii była zmiana form szkolenia. Wzrósł udział funduszy na te cele w programach pomocy wojskowej USA. W latach pięćdziesiątych nie przekraczał on średnio 8% sum programów, w latach sześćdziesiątych zwiększył się o 15%. Ośrodki szkoleniowe specjalizowały się głównie w strategii walki antypartyzanckiej. Do najważniejszych uczelni wojskowych szkolących oficerów armii latynoamerykańskich należały: Międzyamerykańska Szkoła Obrony w Forcie McNair w Waszyngtonie, Szkoła Sił Specjalnych w Północnej Karolinie oraz cały kompleks centrów szkoleniowych w strefie Kanału Panamskiego. Szkolenie stało się bardziej wszechstronne, obejmowało bowiem nie tylko sprawy wojskowe, ale było związane z propagowaną wówczas tezą o nowej roli sił zbrojnych w życiu społeczno-politycznym krajów rozwijających się. Głównym jej postulatem było szersze wykorzystanie armii w charakterze siły politycznej.

W tym celu w ramach programów pomocy wojskowej wydzielono specjalne fundusze na tzw. działalność cywilną wojska. Chodziło o szerokie wykorzystanie sił zbrojnych do realizacji zadań gospodarczych, takich np. jak budowa dróg, szkół, szpitali i innych obiektów użyteczności publicznej. Za pomocą tego rodzaju akcji chciano uzyskać określony efekt propagandowo-polityczny. Mia-

ły one służyć większemu zintegrowaniu struktur militarnych z całym organizmem państwowym w celu uniknięcia często występującego zjawiska ich izolacji od reszty społeczeństwa. Według słów wielkiego entuzjasty koncepcji „działalności cywilnej" wojska, McNamary, miała ona zmienić „negatywny obraz wojskowego jako obrońcy inercyjnego status quo".

Niezależnie od motywacji politycznej w finansowaniu i propagowaniu „działalności cywilnej" armii kierowano się względami sensu stricto militarnymi. W opracowaniu przygotowanym przez ekspertów Centrum Studiów Międzynarodowych przy Massachusetts Institute of Technology na zlecenie Kongresu w 1960 roku tłumaczono celowość podjęcia tego rodzaju przedsięwzięć w sposób następujący: „Rezultaty działań partyzanckich często zależą od sympatii i pomocy chłopstwa, które może odmawiać współpracy wojskom rządowym i dostarczać partyzantom pożywienia i informacji. Użycie organizacji militarnych do realizacji konstruktywnych przedsięwzięć na wsi może wytworzyć ścisłe więzi pomiędzy żołnierzami a chłopstwem".

Podobne uogólnienia zrodziły się pod wpływem doświadczeń rewolucji kubańskiej. Sukces partyzantów w tym kraju oceniano jako rezultat wrogiego stosunku ludności do armii Batisty.

Przedstawione założenia zaważyły na charakterze programów pomocy wojskowej. Zgodnie z zapowiedzią prezydenta Kennedy'ego w orędziu do Kongresu z 22 marca 1962 roku stopniowo zwiększano w nich udział sum przeznaczonych na cele utrzymania bezpieczeństwa wewnętrznego, a zmniejszano fundusze na rozwój sił konwencjonalnych. Zarzucono zupełnie główne hasło lat pięćdziesiątych o powszechnej standardyzacji uzbrojenia. W 1965 roku już 52% pomocy wojskowej było przeznaczone na umocnienie bezpieczeństwa wewnętrznego, z tego 15% na „działalność cywilną".

Przedstawiając projekt rządowy programu pomocy wojskowej na rok 1967 w Izbie Reprezentantów McNamara

mógł stwierdzić, że „programy pomocy wojskowej dla Ameryki Łacińskiej [...] są stale skierowane na potrzeby bezpieczeństwa wewnętrznego i działalności cywilnej armii [...] konkretnie, ich podstawowym celem jest udzielenie pomocy, gdy zachodzi potrzeba, w stałym rozwoju militarnych i paramilitarnych sił lokalnych zdolnych zapewnić wraz z siłami policji [...] bezpieczeństwo wewnętrzne [...] główna część darowizn programu (34,7 miliona dolarów lub 76%) jest przeznaczona na potrzeby bezpieczeństwa wewnętrznego [...] Dodatkowo 3,9 miliona dolarów (9% ogólnej sumy programu) na sprzęt i szkolenie związane bezpośrednio z działalnością cywilną. Pozostałe 6,9 miliona (15% ogólnej sumy) ma na celu pokrycie operacji o znaczeniu ogólnoregionalnym i innych potrzeb".

Ogólnie w latach 1961 – 1968 Stany Zjednoczone wydatkowały na pomoc wojskową dla Ameryki Łacińskiej około 430 milionów dolarów. Dla porównania w okresie 1952–1960 pomoc wojskowa dla krajów tego regionu zamknęła się sumą około 308 milionów. Zważywszy odmienność sytuacji w Ameryce Łacińskiej w latach sześćdziesiątych nie był to wzrost nadzwyczajny. Prawda, że podane sumy nie obejmują kredytów na uzbrojenie, ani też nie uwzględniają specjalnego systemu jego sprzedaży po ulgowych cenach, co łącznie stwarzało tego rodzaju sytuację, iż jak podawano oficjalnie, przyznane w 1967 roku kredyty w wysokości 56 milionów dolarów umożliwiły rządom latynoamerykańskim zakupy uzbrojenia na łączną sumę 224 milionów. Lecz była to suma rekordowa. W latach 1962 – 1965 kredyty na uzbrojenie wynosiły średnio 7 milionów dolarów rocznie. W 1966 roku wzrosły do 24 milionów. Od 1968 roku, w rezultacie akcji Kongresu, przestały być w ogóle udzielane.

Jeżeli porównamy programy pomocy wojskowej z sumami przydzielanymi z tytułu pomocy gospodarczej, powyższe stwierdzenie o ich stosunkowo niewielkich rozmiarach będzie tym bardziej oczywiste. W samym tylko 1961 roku,

który nie był pod tym względem wyjątkowy, pomoc gospodarcza USA udzielona za pośrednictwem Agencji do spraw Międzynarodowego Rozwoju, łącznie z programem żywnościowym, Korpusu Pokoju i dotacji na różne fundusze Ogólnoamerykańskiego Banku Rozwoju, nie wliczając kredytów Banku Eksportowo-Importowego, wynosiła 557 milionów dolarów, więcej aniżeli ogólna suma pomocy wojskowej za okres ośmiu lat.

Oczywiście trudno jest stwierdzić, jaka część z programów gospodarczych posiadała znaczenie sensu stricto pokojowe. Tego rodzaju próby analizy wydają się jednak bezprzedmiotowe, ponieważ nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ogólny cel programów pomocy gospodarczej był ten sam, co pomocy wojskowej, mianowicie – umocnienie bezpieczeństwa wewnętrznego. Fakt jednak przeznaczenia na środki czysto militarne stosunkowo niewielkich sum jest znamienny i wymaga wyjaśnienia.

Nie oznaczał on wcale, że rząd USA wbrew swym oficjalnym oświadczeniom, uważał przejęcie zbrojne władzy przez siły lewicowe za mało prawdopodobne. Ani też nie uważano armii latynoamerykańskich za zdolnych do uporania się z tym niebezpieczeństwem bez pomocy z zewnątrz. Wydaje się, że równie błędny byłby wniosek, że w Waszyngtonie zdecydowany priorytet posiadały środki gospodarcze, militarne natomiast traktowano jako jedynie pomocne czy też stosowane wyłącznie w celach politycznych.

Przyczyny były zupełnie inne. Wysokość udzielanych sum pomocy była określana ich przeznaczeniem. Podstawowym zadaniem programów pomocy wojskowej USA w tym okresie było dostosowanie armii latynoamerykańskich do walki z zagrożeniem wewnętrznym, do operacji przeciwko partyzantom i innym ruchom zbrojnym. Wyposażenie wojskowe wymagane dla tego typu działań jest niewątpliwie o wiele tańsze aniżeli dla armii przygotowywanych do wojny konwencjonalnej. Do akcji antypartyzanckich pewne typy uzbrojenia i sprzętu wojskowego

są w ogóle zbyteczne. Rezygnacja w programach pomocy z takich pozycji, jak ponadźwiękowe samoloty bojowe (ich cena wahała się w latach sześćdziesiątych od 2 do 4 milionów dolarów za jeden samolot), dużych jednostek floty wojennej, ciężkich typów czołgów, ciężkiej artylerii, broni rakietowej o dużym zasięgu na rzecz helikopterów i innych nowoczesnych środków transportu, lekkich typów czołgów i łodzi patrolowych sprawiła, że nie mogły one być kosztowne. Z tego powodu programów wojskowych USA dla Ameryki Łacińskiej nie można porównywać z pomocą okazywaną przez Stany Zjednoczone takim przykładowo krajom, jak Korea Południowa, Tajwan, Izrael, Turcja czy Pakistan. Pomoc wojskowa dla tych krajów miała inne przeznaczenie strategiczne i dlatego wyciąganie jakichkolwiek wniosków na temat znaczenia militarnego określonych obszarów dla Stanów Zjednoczonych jedynie na podstawie prostego zestawienia wydatkowanych sum – jest nieporozumieniem. Zważywszy wskazaną wyżej specyfikę programów pomocy wojskowej USA dla armii latynoamerykańskich, były one jedynie pozornie niewielkie. Były po prostu dostosowane do istniejących potrzeb. One też powinny stanowić podstawowe kryterium ich oceny. Patrząc z tego punktu widzenia pomoc wojskowa odegrała w całokształcie stosunków Stanów Zjednoczonych z krajami Ameryki Łacińskiej ogromną rolę zarówno militarną, jak i polityczną. Armie latynoamerykańskie zostały rzeczywiście przygotowane do nowych zadań. W swych operacjach przeciwko partyzantom nie przypominały już oddziałów Batisty. Poprawienie zdolności bojowej latynoamerykańskich sił zbrojnych sprzyjało wzrostowi ich znaczenia politycznego. W tym sensie pomoc wojskowa USA przyczyniła się znacznie do rozwoju militaryzmu.

Wojskowe programy antypartyzanckie i „działalności cywilnej" miały zabezpieczyć głównie przed rewolucją na obszarach wiejskich. Nie lekceważono możliwości akcji rewolucyjnej w miastach, szczególnie po wypadkach w Wenezueli w okresie 1962 – 1964, w trakcie których walki

koncentrowały się w ośrodkach miejskich. Agencja do spraw Międzynarodowego Rozwoju w lipcu 1962 roku utworzyła ogólnoamerykańską Akademię Sił Policyjnych w Fort Davis w strefie Kanału Panamskiego. W ramach Agencji powstało też specjalne Biuro Bezpieczeństwa Publicznego, zajmujące się opracowywaniem programów pomocy dla policji i innych służb bezpieczeństwa krajów latynoamerykańskich. W latach 1961 – 1969 wydatkowano na te cele około 43,6 miliona dolarów. W Ogólnoamerykańskiej Akademii Sił Policyjnych przeszkolono w tym samym okresie około 3,5 tysiąca oficerów policji.

Siły policyjne traktowano jako „pierwszą linię obrony przeciwko działalności wywrotowej". Generał M. Taylor w przemówieniu do słuchaczy Akademii Sił Policyjnych, powołując się na doświadczenia Wietnamu, stwierdził między innymi, że jedną z najbardziej „doniosłych lekcji" konfliktu indochińskiego było spóźnienie się, jego zdaniem, interwencji USA, ponieważ: „Nie w porę zorientowaliśmy się o rzeczywistych rozmiarach zagrożenia". Siły policyjne krajów Ameryki Łacińskiej, przede wszystkim ich tajni agenci, miały zapewnić, by podobna sytuacja nigdy się nie powtórzyła.

Interesujące jest porównanie podziału pomocy wojskowej i policyjnej pomiędzy poszczególne kraje latynoamerykańskie. W ramach pomocy wojskowej na sześć krajów regionu – Argentynę, Brazylię, Wenezuelę, Peru, Chile i Kolumbię – przypadało aż 90% ogólnej sumy wydatkowanej w latach 1961 – 1968. Jak widać, faworyzowano większe państwa z Ameryki Południowej, nie zawsze kierując się istnieniem bezpośredniego zagrożenia. Względy polityczne w wypadku takich krajów, jak Argentyna, Brazylia i Chile odgrywały dużą rolę. Jeżeli chodzi natomiast o programy pomocy dla policji, rzuca się w oczy duży udział krajów małych. Aż 29,1% ogólnej sumy za lata 1961 – 1969 przypadało na następujące państwa: Gwatemala, Salwador, Kostaryka, Gujana, Jamajka, Honduras, Republika Dominikańska i Panama. Ich udział w progra-

mach pomocy wojskowej był minimalny. Wynika z tego, że rząd USA za głównych strażników bezpieczeństwa wewnętrznego w tych krajach uznawał siły policyjne. Co z uwagi na rozmiary ich terytoriów i liczbę ludności nie powinno wywoływać zdziwienia.

Podobny podział funduszy miał, jak się wydaje, jeszcze jedno uzasadnienie. Wszystkie z wymienionych krajów uprzywilejowanych w programach pomocy dla policji były położone w basenie Morza Karaibskiego, a więc w bezpośredniej bliskości baz wojskowych USA i samych Stanów Zjednoczonych. Możliwość bezpośredniej interwencji zbrojnej Stanów Zjednoczonych była największa właśnie w tym rejonie. Łatwo można sobie wyobrazić inwazję zbrojną USA w Gwatemali czy w Hondurasie. Pojęcie podobnej decyzji, jak wykazał przykład Republiki Dominikańskiej, nie wywoływało w Waszyngtonie większych oporów. Bezpośrednie zaangażowanie zbrojne w takich krajach, jak Brazylia czy Argentyna było już natomiast przypuszczalnie rozpatrywane jako ostateczność z uwagi na koszty i trudności w przeprowadzeniu tego rodzaju operacji.

Ogólnie odnosi się wrażenie, iż niezależnie od programów pomocy wojsku i siłom policyjnym rząd USA przywiązywał duże znaczenie do możliwości okazywania bezpośredniego wsparcia armiom latynoamerykańskim własnymi siłami. Po klęsce armii Batisty na Kubie i później porażki armii w Republice Dominikańskiej w 1965 roku nie darzono pełnym zaufaniem latynoamerykańskich sił zbrojnych. W każdym razie zabezpieczano się na wypadek ich niepowodzenia. Dowództwo Karaibskie, zwane także Dowództwem Południowym w strefie Kanału Panamskiego, jedno z czterech wielkich kontynentalnych dowództw wojskowych USA w świecie, zaczęło się specjalizować w strategii walki z ruchami partyzanckimi. Stało się głównym sztabem tego rodzaju operacji na całą Amerykę Łacińską. Stacjonujące tam wojska w liczbie 10 tysięcy były również przygotowywane w tym zakresie. Stąd po-

syłano specjalne ekipy szkoleniowe do krajów latynoamerykańskich. Podobną rolę odgrywały oddziały stałe przebywające w bazach na Puerto Rico (5 tysięcy osób). Łącznie z bazą Guantanamo na Kubie liczba wojsk USA w rejonie Morza Karaibskiego, poza terytorium Stanów Zjednoczonych wynosiła pod koniec lat sześćdziesiątych 18 tysięcy. Ponadto było to miejsce stałego pobytu części II Floty USA, która obok baz we wspomnianych już miejscach posiadała dodatkowo bazę Chaguaramos na Trynidadzie.

W latach 1966–1967 lotnictwo i oddziały sił specjalnych USA ze strefy Kanału Panamskiego wspomagały czynnie wojska rządowe Gwatemali w walce z partyzantami. W 1967 roku w mniejszej skali interweniowano w Boliwii. Nie były to przypadki odosobnione. Szczególnie często wspomagali armie latynoamerykańskie członkowie 8 batalionu sił specjalnych, tzw. zielone berety.

Dowództwu Południowemu podlegają bezpośrednio misje wojskowe USA w Ameryce Łacińskiej. W 1968 roku było ich 43 w 17 państwach regionu. Ich stały personel był liczny, a w okresach szczególnego napięcia w danym kraju znacznie go zwiększono, jak to miało miejsce w Kolumbii w czasie antypartyzanckiej kampanii w roku 1964. Przykładowo w 1968 roku personel oficjalnie akredytowany misji wojskowych w Brazylii liczył 119 osób, w Argentynie i Ekwadorze po 51 osób, w Wenezueli 82 osoby, w Kolumbii 58 osób, w Peru 56 osób.

W trakcie realizacji nowej polityki wojskowej Stany Zjednoczone natknęły się na wiele przeszkód. Poważna część korpusu oficerskiego armii latynoamerykańskich odnosiła się krytycznie do wielu jej aspektów. Teza wojskowych USA, iż oddziały F. Castro odniosły sukces dzięki zastosowaniu taktyki wojny partyzanckiej, nie dającej się opanować przy użyciu normalnej armii konwencjonalnej, nie została powszechnie zaakceptowana. Wojskowi latynoamerykańscy dowodzili, że rewolucja na Kubie zwycię-

żyła, ponieważ siły, jakimi dysponował Batista, były zbyt słabe i źle uzbrojone. Ogólnie dowódcy armii latynoamerykańskich chętnie szli na współpracę w zakresie szkolenia w taktyce walki antypartyzanckiej. Z ochotą tworzyli specjalne oddziały, lecz protestowali przeciwko przekształceniu całej struktury swych armii. Nie byli gotowi pójść aż na tak radykalną zmianę ich charakteru, jak chciał tego rząd USA. Było to stanowisko, które częściowo wynikało z konserwatyzmu, z przywiązania do tradycyjnych systemów organizacyjnych. Głównymi jednak, jak się wydaje, motywami były obawy, że armia może stracić na znaczeniu i prestiżu, szczególnie w rezultacie zmniejszenia jej składu osobowego i wydatków. Część korpusu oficerskiego mogła wyrażać niepokój, że w wypadku tak jednostronnej specjalizacji armii zabraknie dla wielu z nich miejsca. Znaczenie posiadała również rywalizacja między krajami latynoamerykańskimi oraz liczne zadawnione spory terytorialne.

Oficjalnie używano oczywiście innej argumentacji, najczęściej szermując hasłami nacjonalistycznymi.

Sprzeciw wywoływała koncepcja „działalności cywilnej". Tu również rolę odgrywał tradycjonalizm i wywodząca się z niego obawa przed utratą prestiżu. Wielu wojskowych uważało podobne akcje za zbyteczne i argumentowała swoją niechęć tezą, że obniżają one zdolność bojową armii, że jest ona odciągana od jej właściwych zadań. Protestowali nie tylko wojskowi. W Paragwaju i w Wenezueli wrogość wobec „działalności cywilnej" armii przejawiały na przykład liczne przedsiębiorstwa prywatne, widząc w tego rodzaju akcjach zagrożenie dla własnych interesów. Podobne nastroje odzwierciedlała rezolucja Ogólnoamerykańskiej Rady Obrony, w której – obok ogólnego poparcia dla „działalności cywilnej" wojska – było zawarte jednocześnie zastrzeżenie: „Użycie personelu wojskowego dla tego celu, w stopniu i w zakresie, w jakim wymagają tego konkretne warunki każdego z krajów, nie powinno stwarzać konkurencji dla

działalności przedsiębiorstw prywatnych ani też obniżać zdolności sił zbrojnych do wypełnienia ich zadań militarnych".

Największe jednak trudności sprawiały Stanom Zjednoczonym próby nakłonienia rządów latynoamerykańskich, by nie domagały się sprzętu i uzbrojenia nie przeznaczonego na potrzeby zapewnienia bezpieczeństwa wewnętrznego. Od samego początku armie latynoamerykańskie wyrażały swój sprzeciw. W rezultacie opozycji z ich strony, szczególnie w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych, rząd USA nie realizował swego postulatu konsekwentnie. I tak w roku 1962 i 1963 udział broni konwencjonalnych w programach pomocy wojskowej pozostawał wysoki. Przykładowo ponad dwie trzecie funduszy przeznaczonych dla lotnictwa zostało wydatkowanych na ponaddźwiękowe samoloty bojowe. Stany Zjednoczone ustępowały ze względów politycznych. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych zajęły one bardziej zdecydowane stanowisko w tej kwestii. W kwietniu 1967 roku, na spotkaniu prezydentów państw członków OPA w Punta del Este, Stany Zjednoczone wymogły włączenie do wspólnej deklaracji obietnicy „ograniczenia wydatków wojskowych proporcjonalnie do aktualnych potrzeb bezpieczeństwa narodowego zgodnie z ustaleniami konstytucyjnymi każdego z krajów. Unikania tych wydatków, które nie są niezbędne do wykonania specyficznych zadań sił zbrojnych oraz wynikających z zobowiązań międzynarodowych".

Ogólnikowość sformułowań nie była przypadkowa. Prezydenci państw Ameryki Łacińskiej odrzucili propozycję rządu USA konkretnego wymienienia w deklaracji tych typów uzbrojenia, których nie będą w przyszłości zakupywać lub produkować. Chodziło głównie o samoloty ponaddźwiękowe, okręty wojenne większe od niszczycieli, broń rakietową oraz czołgi ponad 30 ton.

W październiku 1967 roku w Rio de Janeiro, na wniosek delegata USA, Ogólnoamerykański Komitet Sojuszu dla Postępu przyjął rezolucję, zgodnie z którą

udzielenie pomocy gospodarczej powinno być uzależnione od wielkości wydatków wojskowych danego państwa. W tym samym roku Kongres USA uchwalił dwie poprawki do ustawy o sprzedaży uzbrojenia dla zagranicy (Symingtona i Conte-Longa), przewidujące ograniczenie pomocy gospodarczej dla krajów dokonujących zakupów tych rodzajów uzbrojenia, które nie są im potrzebne z punktu widzenia potrzeb zapewnienia bezpieczeństwa.

Przedsięwzięte kroki nie przyniosły pożądanych rezultatów. Kraje Ameryki Łacińskiej zaczęły zaopatrywać się w broń w Europie Zachodniej. Próby przeciwdziałania i wywierania nacisku niewiele pomogły. Przeciwnie, zakupy ze źródeł europejskich przybrały postać demonstracji przejawów niezależności. Armie latynoamerykańskie mogły nareszcie popisywać się swoją nacjonalistyczną postawą. Jak zauważył jeden z przedstawicieli Departamentu Stanu w Kongresie, „nasza odmowa zaspokojenia tych postulatów [chodziło o samoloty ponaddźwiękowe — *T.K.*] dotknęła bardzo czułego aspektu — suwerenności, ponieważ siły zbrojne są jednym z jej głównych atrybutów".

Szczególnie dużych zakupów broni w Europie dokonywały Brazylia, Argentyna, Chile i Peru. Jednocześnie niektóre z nich podjęły starania na rzecz stworzenia własnego przemysłu zbrojeniowego. Uzasadniając potrzebę jego rozwoju admirał brazylijski H. Lopez de Sousa stwierdził, iż „tylko ten naród jest prawdziwie niezależny, który produkuje własne uzbrojenie". Podobną argumentacją posłużyli się w 1968 roku wojskowi argentyńscy, wysuwając postulat uniezależnienia rozwoju sił morskich od dostaw i kredytów ze Stanów Zjednoczonych. Nic dziwnego, że w marcu 1970 roku generał Warren, odpowiedzialny za realizację programu pomocy wojskowej USA, był zmuszony przyznać, iż „Stany Zjednoczone tracą rynek Ameryki Łacińskiej pod względem wyposażenia wojskowego".

Od 1967 do 1972 roku kraje spoza półkuli zachodniej

sprzedały do Ameryki Łacińskiej uzbrojenie za sumę 1,6 miliarda dolarów. Tylko w 1970 i 1971 roku państwa latynoamerykańskie zakupiły broń na około 900 milionów dolarów, z tego dwie trzecie wydały we Francji, resztę głównie w Wielkiej Brytanii i we Włoszech. W tym samym okresie Stany Zjednoczone sprzedały krajom Ameryki Łacińskiej broń na sumę zaledwie 130 milionów dolarów.

Tak więc w rezultacie przyjęcia nowej strategii wojskowej wobec Ameryki Łacińskiej Stany Zjednoczone utraciły posiadany w latach pięćdziesiątych i na początku lat sześćdziesiątych monopol na dostawy uzbrojenia, co posiada niewątpliwie poważne znaczenie, gdyż osłabia ich hegemonię w tym rejonie, pozbawiając ważnego środka nacisku na kraje latynoamerykańskie.

Nie tylko w tej dziedzinie nowa polityka wojskowa nie przyniosła oczekiwanych wyników. Na papierze pozostały plany radykalnej reorganizacji latynoamerykańskich sił zbrojnych. Stare struktury uległy tylko w niewielkim stopniu zmianie. Oczywiście na tle osiągnięcia nadrzędnego celu programów pomocy USA – zwalczenia ruchów zbrojnych lewicy rewolucyjnej – można uważać wskazane niepowodzenia za posiadające znaczenie drugorzędne. Zwłaszcza, jeżeli oceniać je jedynie z punktu widzenia bieżących potrzeb polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Niemniej jednak były one przykładem ograniczonej zdolności wpływania rządu Stanów Zjednoczonych na rozwój polityczny krajów latynoamerykańskich i z tego powodu ich znaczenie wydaje się znacznie bardziej istotne, aniżeli pozornie można byłoby sądzić. Tam, gdzie istniała wspólnota interesów i gdzie zależność była całkowita, a tak było w wypadku walki z ruchami partyzanckimi i z innymi próbami przejęcia władzy przez siły lewicowe, polityka wojskowa USA przyniosła największe efekty. Elity latynoamerykańskie mogły się zwrócić tylko do rządu USA w obliczu zagrożenia ich pozycji gospodarczych i polity-

cznych. Lecz w dziedzinach, gdzie występowały różnice interesów, jak np. w kwestii dostaw uzbrojenia i w warunkach istnienia swobodnego dostępu do innych źródeł, np. do producentów zachodnioeuropejskich, możliwości wywierania wpływu okazały się ograniczone w wypadku wielu krajów latynoamerykańskich.

# Stosunki gospodarcze a rozwój polityczny krajów Ameryki Łacińskiej

Dokonując oceny latynoamerykańskiej polityki rządu USA senator J. W. Fulbright w wydanej w 1966 roku książce *Arogancja władzy* wysunął na plan pierwszy tezę, iż „Stany Zjednoczone prowadzą dwie [...] w dużej mierze nie dające się pogodzić ze sobą polityki w Ameryce Łacińskiej: krytycznego poparcia reform społecznych i bezkrytycznego antykomunizmu, który czyni nas często przyjaciółmi dyktatur wojskowych i reakcyjnej oligarchii. Antykomunizm posiada pierwszeństwo przed polityką poparcia reform. Amerykańscy twórcy polityki wolą bardziej reformistyczne rządy demokratyczne aniżeli rządy oligarchii i junty wojskowe, tak długo, jak długo są one wojująco antykomunistyczne. Najmniejsze jednak podejrzenie poparcia komunistycznego wystarczy do zdyskredytowania ruchu reformistycznego w oczach Waszyngtonu i prowadzi przywódców politycznych Stanów Zjednoczonych w objęcia generałów i oligarchii".

Czy rzeczywiście walka z zagrożeniem rewolucji socjalistycznej, która niewątpliwie dominowała w stosunkach USA z Ameryką Łacińską, była jedyną przyczyną usunięcia w cień haseł demokratycznych i reformistycznych programu Sojuszu dla Postępu?

Wydaje się, że nie tylko ona. Nie wyłącznie antykomunizm decydował o stosunku klas rządzących USA do problemu przemian społeczno-gospodarczych w Ameryce Łacińskiej. Ogromną rolę odgrywały również bezpośrednie interesy ekonomiczne USA. Program Sojuszu dla Postępu nie był od nich oderwany. Przeciwnie, zakładał możliwość szybkiego rozwoju gospodarczego krajów

latynoamerykańskich w warunkach zwiększonej ekspansji północnoamerykańskiego kapitału prywatnego i intensyfikacji obrotów handlowych. Tego rodzaju podejście implikowało przyjęcie i propagowanie w ramach programu takiego modelu wzrostu gospodarczego, który w pełni uwzględniał te postulaty.

Wydaje się, że akceptacja tego modelu wykluczała w praktyce możliwość realizacji polityki poważnych reform społecznych. Świadczyło to o istnieniu konfliktu wewnętrznego w programie Sojuszu dla Postępu, wywodzącego się z iluzorycznego przeświadczenia o braku związku między zależnością a zacofaniem, między dominacją gospodarczą USA a warunkami rozwoju krajów Ameryki Łacińskiej.

Tę sprzeczność ilustrowała w sposób obrazowy, choć w nieco zawoalowanej formie, będąca jej refleksem na pozór szkolarska dyskusja, znana w literaturze pod nazwą „kontrowersji między monetarystami i strukturalistami". I chociaż posługiwano się w jej trakcie językiem z podręczników ekonomii, była ona par excellence polityczna, a za zasłoną fachowych terminów skrywały się zupełnie odmienne wizje nie tylko wewnętrznej strategii rozwoju, lecz także międzynarodowego porządku gospodarczego i roli w nim krajów Trzeciego Świata.

Polityka inflacji, która była formalnie centralnym powodem dyskusji, realizowana w warunkach krajów latynoamerykańskich posiadała szerokie implikacje natury politycznej i społecznej. Odzwierciedlała ona i tym samym pośrednio świadczyła o istnieniu walki między różnymi podejściami do problemu rozwoju gospodarczego wśród latynoamerykańskich klas posiadających. Inflacja, jak podkreślał C. Furtado, tkwi korzeniami w braku stabilizacji politycznej i niezależnie od jej źródeł gospodarczych jest ona odbiciem żądań większego udziału w podziale dochodu narodowego ze strony nowych grup interesu oraz nieprzejednanego stanowiska tych, którzy odmawiają ich spełnienia.

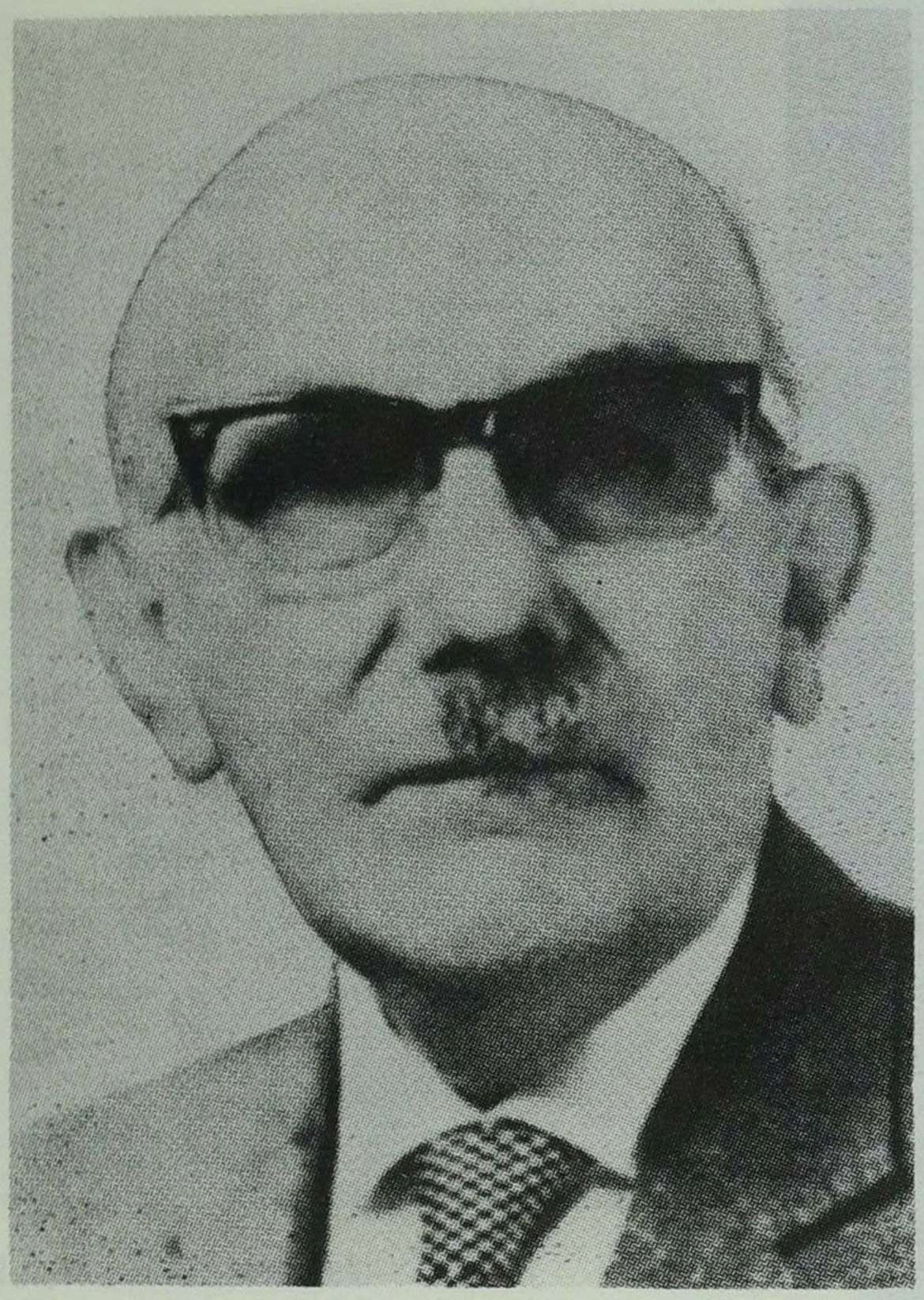

9. F. Lleras Camargo

10. C. Lleras Restrepo

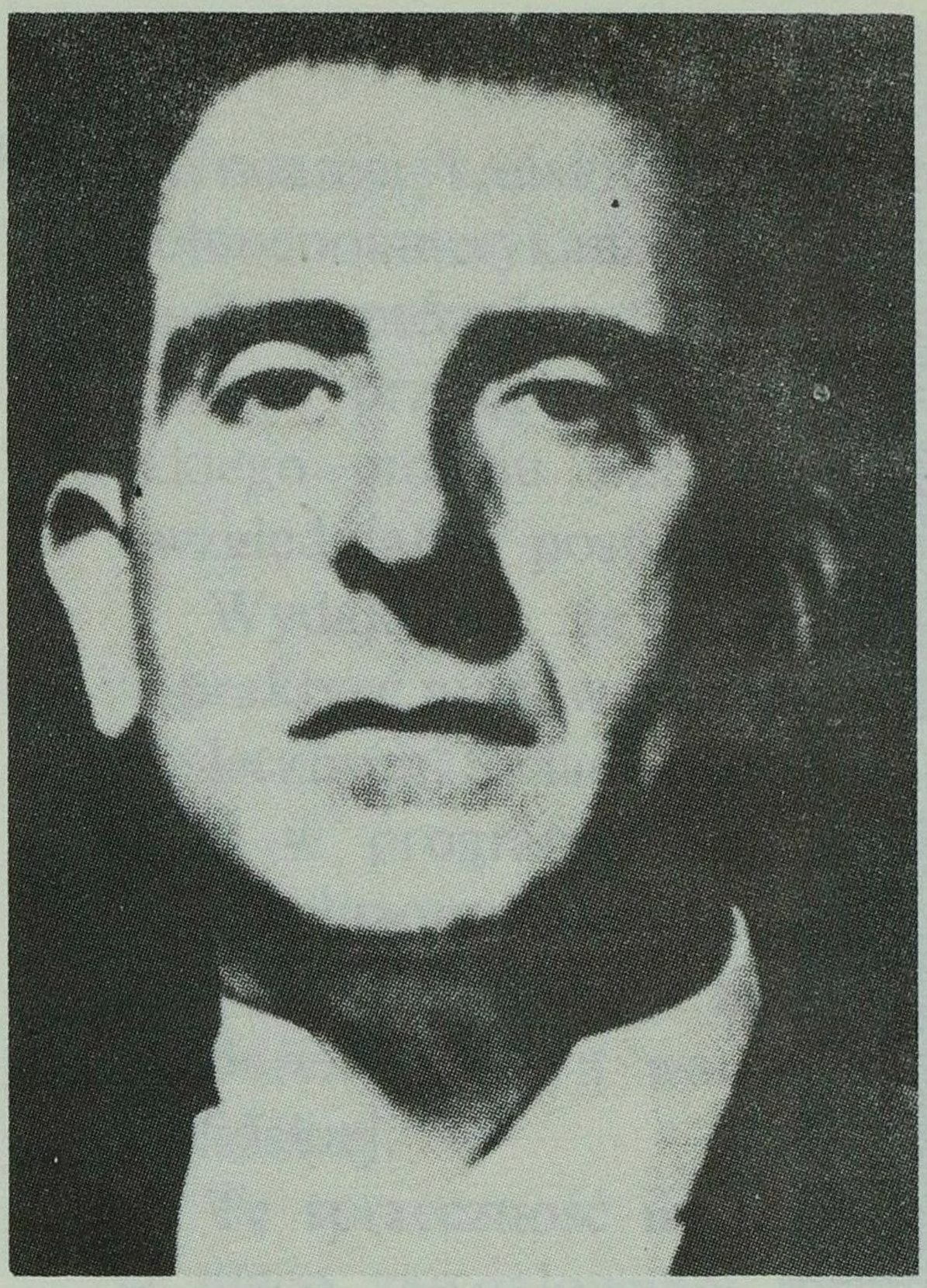

11. E. Frei Montalva

12. A. Frondizi

13. J. Kubitschek

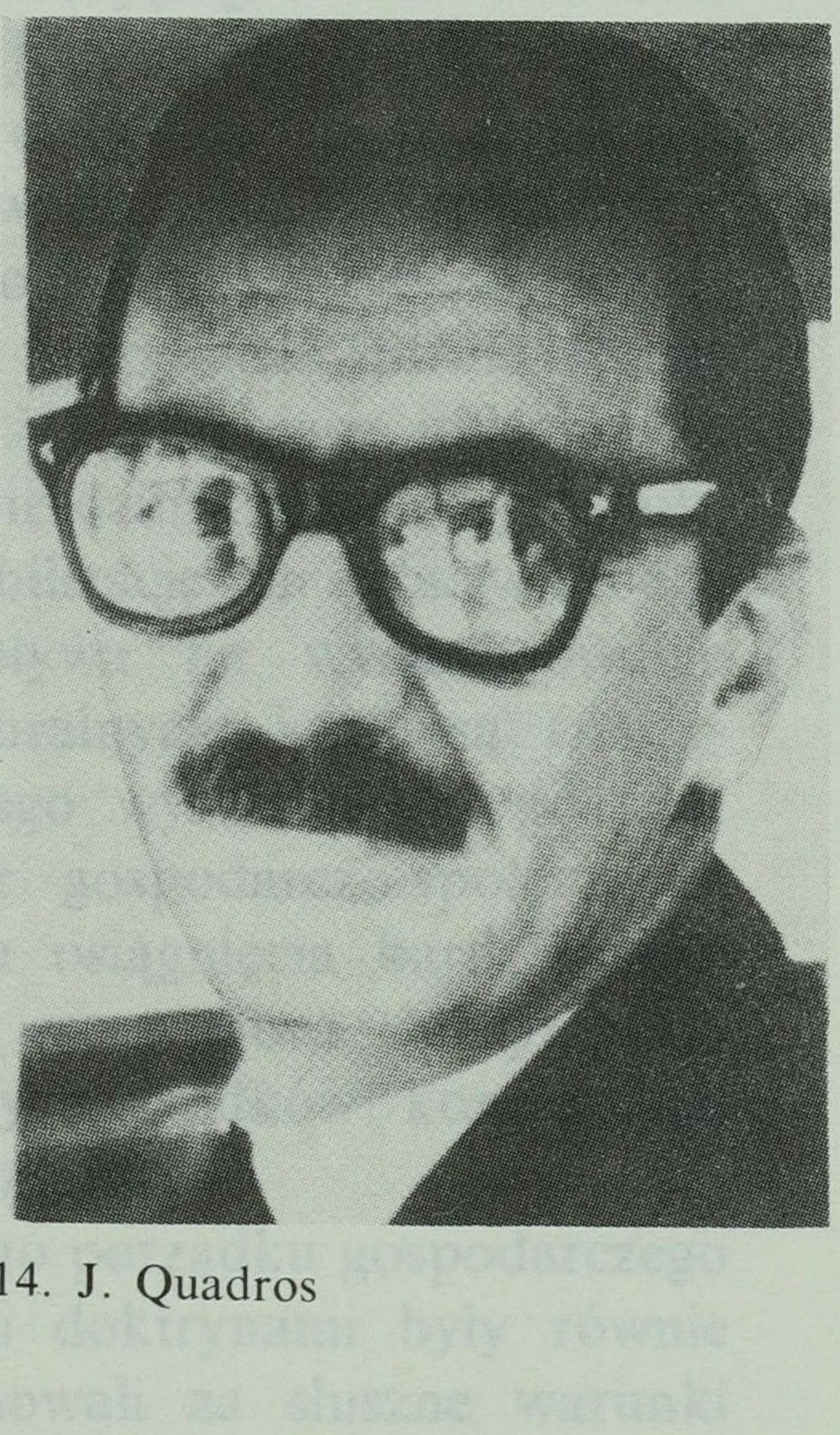

14. J. Quadros

W pewnym sensie strukturalizm był przejawem słabości politycznej jego wyznawców, wynikającej z ich ograniczenia klasowego. Jego zalecenia praktyczne były w istocie programem „słabych rządów", przekonanych o konieczności znalezienia dróg rozwiązania konfliktów społecznych, lecz bojących się pójść na ryzyko ich eliminacji za pomocą bardziej radykalnych środków.

Trudno jest wyznaczyć precyzyjnie linię podziału między strukturalistami a monetarystami. Tym bardziej, że stanowisko „szkoły strukturalnej" było zróżnicowane. Jej przedstawiciele byli bardziej zjednoczeni jako krytycy aniżeli twórcy pozytywnego programu działania. Według strukturalistów, inflacja jest niejako naturalną konsekwencją szybkiego wzrostu gospodarczego i może spełniać nawet rolę czynnika go stymulującego. Ich zdaniem, polityka ograniczonej inflacji jest na pewnych etapach rozwoju nieunikniona, gdyż ekspansja poszczególnych działów gospodarki nie jest równomierna. Wprowadzenie ogólnej stabilizacji cen uniemożliwiłoby szybszy rozwój bardziej dynamicznych działów gospodarki. Strukturaliści zgadzali się z monetarystami, że galopująca inflacja jest zjawiskiem szkodliwym, lecz twierdzili, że tradycyjna polityka finansowa, zakładająca stabilizację cen i płac w drodze kontroli państwowej, nie wpływa na wyeliminowanie podstawowych słabości strukturalnych, które są rzeczywistą przyczyną inflacji. Dlatego wysuwali oni postulat wprowadzenia reform struktur gospodarczo-społecznych (stąd nazwa kierunku) w celu osiągnięcia bardziej dojrzałego etapu rozwoju nawet za pomocą deficytowego finansowania, kredytów i innych środków koniecznych dla ich materialnego zabezpieczenia.

W kwestii międzynarodowego porządku gospodarczego różnice między wspomnianymi doktrynami były równie poważne. Monetaryści przyjmowali za słuszne warunki zewnętrzne dla rozwoju krajów Trzeciego Świata zgodne z systemem Bretton Woods. Zakładał on w charakterze warunku wystarczającego dla efektywnego funkcjonowania

gospodarki światowej akceptację przez rządy polityki finansowej umiarkowanej równowagi ich rozliczeń międzynarodowych. Oczywiście, powyższa teza była obwarowana szeregiem dalszych założeń i prezentowana w formie bardziej rozwiniętej. Ważne jednak, iż u jej podstaw legło głębokie przekonanie o wartościach liberalizmu międzynarodowego – przez wiele lat ideału ekonomistów ze Stanów Zjednoczonych. Przewidywał on „umiędzynarodowienie" gospodarki światowej w sensie ograniczenia kontroli państwowej. Według jego wyznawców, system ten mógł zostać adaptowany przez każde państwo niezależnie od osiągniętego stopnia rozwoju gospodarczego. Monetaryści dowodzili istnienie praktycznej możliwości uczestnictwa w systemie Bretton Woods wszystkich krajów na równych prawach, obarczonych jednakowymi zobowiązaniami, bez względu na ich odmienność gospodarczą, polityczną i kulturową.

Reakcją na zalecenia systemu Bretton Woods i wyrazem rozczarowania wobec jego funkcjonowania były poglądy strukturalistów. W duchu teorii F. Lista, ekonomisty niemieckiego XIX wieku, zwolennika protekcjonizmu w handlu międzynarodowym, podkreślali oni, że państwa w procesie rozwoju powinny bądź uzyskiwać przywileje i ulgi w systemie światowym, bądź przyzwolenie na prowadzenie autonomicznej polityki gospodarczej w izolacji od tego systemu.

Zarówno w odniesieniu do polityki wewnętrznej jak i międzynarodowej większość strukturalistów określała propagowaną przez siebie strategię rozwoju jako odnoszącą się do okresu przejściowego. Nie odrzucali oni w perspektywie rozwiązań zalecanych przez monetarystów, stąd też ich krytyka dotyczyła bardziej celowości ich zastosowania w określonej sytuacji aniżeli zawartości merytorycznej. Uważali po prostu, iż w warunkach krajów zacofanych teoria monetarna nie zdaje egzaminu. Nie wykluczali natomiast jej zasadności w wypadku osiągnięcia wyższego poziomu rozwoju gospodarczego.

Czynnikiem, który doprowadził do polaryzacji stano-

wisk, była postawa rządu USA i zależnych od niego międzynarodowych organizacji finansowych, a szczególnie Międzynarodowego Banku Odbudowy i Rozwoju oraz Międzynarodowego Funduszu Walutowego, stojących zdecydowanie na pozycjach szkoły monetarystów i dla których wzrost gospodarczy bez stabilizacji pieniądza nie był, w długich okresach, żadnym wzrostem. Instytucją, wokół której skupili się strukturaliści, była Komisja Gospodarcza ONZ do spraw Ameryki Łacińskiej (CEPAL). Ich poglądy popierały reformistyczne partie „demokratycznej lewicy". W ten sposób spór między strukturalistami a monetarystami nabrał szerokich wymiarów politycznych i międzynarodowych. Z jednej strony, międzynarodowe organizacje finansowe, rząd USA, koła finansowe w Stanach Zjednoczonych i w Ameryce Łacińskiej oraz latynoamerykańskie partie konserwatywne i prawicowe. Z drugiej strony, CEPAL i partie reformistyczne. Tak więc nie tylko antykomunizm prowadził klasy rządzące USA do sojuszu z latynoamerykańską prawicą.

Formalnie głównym eksponentem tradycyjnej polityki w duchu teorii monetarnej były międzynarodowe organizacje finansowe. Każdy rząd latynoamerykański, pragnący uzyskać u nich kredyty, musiał podporządkować się warunkom określonym przez ekspertów tych instytucji. Ich ustalenia przyjmował jako obowiązujące rząd USA. Był to niewątpliwie politycznie wygodny dla niego „podział pracy". W konsekwencji kraje latynoamerykańskie stawały przed zjednoczonym frontem międzynarodowej finansjery. Ponieważ jednak formalnie warunki były ustalane przez organizacje międzynarodowe, one też były poddawane przede wszystkim krytyce.

Praktyka wykazała, że podporządkowanie się zaleceniom organizacji finansowych nie zawsze przyniosło pozytywne rezultaty. Prowadzona według wszelkich wymogów szkoły monetarnej polityka rządu chilijskiego doprowadziła w końcu 1961 roku ten kraj do ostrego kryzysu gospodarczego.

Stanowisko organizacji finansowych i rządu USA

powodowało częste powstawanie konfliktów. W 1959 roku brazylijski prezydent Kubitschek wszczął negocjacje z Międzynarodowym Funduszem Walutowym w celu uzyskania kredytu dla wyrównania bilansu płatniczego i niedoborów dewizowych. Eksperci tej organizacji zażądali od rządu brazylijskiego spełnienia wstępnych zaleceń dla „uporządkowania gospodarki". Przewidywały one między innymi ograniczenie wydatków rządowych i liberalizację handlu zagranicznego w drodze zniesienia różnych kursów wymiany walut. Rząd brazylijski odrzucił zalecenia Funduszu i zerwał rokowania. Prezydent Kubitschek uzasadniając ten krok wskazywał, że akceptacja postulowanych środków doprowadziłaby do wzrostu kosztów utrzymania i napięć społecznych oraz uniemożliwiłaby realizację planów rozwoju gospodarczego.

Brazylia zwróciła się o pomoc finansową do rządu USA, wprawiając go w duże zakłopotanie. Stany Zjednoczone nie chciały bowiem ani osłabienia pozycji prezydenta Kubitschka, ani też stworzenia wyłomu w tradycyjnej polityce finansowania wyłącznie tych krajów, które uzyskały aprobatę dla swych posunięć ze strony międzynarodowych organizacji finansowych. Ostatecznie znaleziono rozwiązanie kompromisowe. Nie udzielono Brazylii nowego kredytu, ale w zamian przesunięto terminy płatności długów tego kraju wobec USA. W Brazylii decyzja ta nie spotkała się z entuzjazmem.

W latach sześćdziesiątych podobnych sporów było znacznie więcej, a Stany Zjednoczone zajmowały jeszcze bardziej sztywne stanowisko. Tak było w przypadku Kolumbii w latach 1966–1967, Chile w okresie rządów Freia i Peru za prezydentury Belaunde. Charakterystyczne, iż stroną latynoamerykańską w tych konfliktach były przeważnie rządy starające się realizować reformy gospodarczo-społeczne w duchu programu Sojuszu dla Postępu i reprezentujące tę orientację polityczną, którą w teorii w Waszyngtonie najbardziej faworyzowano.

Jakie konkretne względy dyktowały rządowi USA

zajęcie w kwestiach finansowych tradycyjnego stanowiska i decydowały o jego nieustępliwości w stosunkach z rządami, które z punktu widzenia jego perspektywicznych celów politycznych rokowały największe nadzieje?

Wydaje się, że odpowiedzi należy szukać przede wszystkim w sytuacji, jaka ukształtowała się w latach sześćdziesiątych w dziedzinie północnoamerykańskich inwestycji prywatnych w Ameryce Łacińskiej, co ilustruje poniższa tabela:

**2. Bezpośrednie inwestycje prywatne USA w Ameryce Łacińskiej**[1]
(w miliardach dolarów)

| Rok | Wartość | Przepływ kapitału inwestycyjnego netto z USA | Dochody |
|---|---|---|---|
| 1960 | 8,4 | 0,149 | 1,0 |
| 1961 | 9,2 | 0,219 | 1,1 |
| 1962 | 9,5 | 0,029 | 1,2 |
| 1963 | 9,9 | 0,235 | 1,2 |
| 1964 | 10,3 | 0,113 | 0,2 |
| 1965 | 10,9 | 0,217 | 1,3 |
| 1966 | 11,5 | 0,307 | 1,5 |
| 1967 | 12,0 | 0,296 | 1,4 |
| 1968 | 13,1 | 0,677 | 1,6 |
| 1969 | 13,8 | 0,344 | 1,6 |
| 1970 | 14,7 | 0,559 | 1,5 |

[1] Łącznie z krajami karaibskimi. Wartość bilansowa bezpośrednich inwestycji prywatnych w 19 państwach Ameryki Łacińskiej wynosiła 11,7 miliarda dolarów w 1969 roku, podczas gdy dla całego obszaru 13,8 miliarda.

Przypływ kapitału inwestycyjnego netto ze Stanów Zjednoczonych do Ameryki Łacińskiej wynosił średnio do 1965 roku zaledwie 127 milionów dolarów rocznie zamiast przewidywanych przez rząd USA 300 milionów. Zwiększył się on dopiero od 1966 roku, co sprawiło, że w czasie całego dziesięciolecia średnia przypływu kapitału inwestycyjnego z USA zbliżyła się do zakładanego poziomu i wynosiła około 286 dolarów rocznie. Ogólnie jednak nie była ona większa aniżeli w okresach

poprzednich. W latach 1945 – 1951 równała się ona 273 milionom dolarów rocznie, a w latach pięćdziesiątych 330 milionów. Wbrew oczekiwaniom rządu USA program Sojuszu dla Postępu nie wpłynął więc wydatnie na zwiększenie potoku kapitału inwestycyjnego USA ze źródeł prywatnych. Decydującym był okres pierwszych pięciu lat. Inwestorzy tłumaczyli swą niechęć do zwiększenia aktywności niepewnością sytuacji politycznej i z pewnością była to jedna z rzeczywistych przyczyn ich ostrożności. Wydaje się jednak, że niezależnie od tego próbowali oni jednocześnie wywierać w tym okresie presję na rząd USA, by zwiększył swe zaangażowanie w obronie ich interesów. Świadomi zainteresowania rządu rozwojem sytuacji w Ameryce Łacińskiej podbijali niejako cenę swego poparcia. Z tego też powodu ostrzegali Waszyngton przeciwko podejmowaniu kroków na rzecz „niekontrolowanych" programów reform społecznych w krajach latynoamerykańskich.

David Rockefeller nie omieszkał stwierdzić w 1963 roku, iż byłoby to sprzeczne z popieraniem zagranicznych inwestycji prywatnych i przedstawił między innymi taką ocenę programu Sojuszu dla Postępu: „Sojusz podkreśla problem reform, których nie można dokonać bez uniknięcia niepokojów społecznych i niepewności politycznej. Może więc powstać groźna sytuacja, ponieważ nie zostanie stworzony odpowiedni klimat dla oszczędności i inwestycji".

Bardziej jeszcze konkretne postulaty pod adresem rządu wysuwali inni przedstawiciele kół finansowych. L. D. Clay, przewodniczący działającego w USA komitetu umocnienia bezpieczeństwa „wolnego świata", w wypowiedzi opublikowanej na łamach oficjalnego wydawnictwa Departamentu Stanu 20 marca 1963 roku domagał się od rządu, by „sprecyzował, o jakie reformy mu chodzi w każdym kraju. Na czołowym miejscu tej listy powinny znaleźć się takie sprawy, jak stabilizacja pieniądza, rozsądne zasady budżetowego finansowania, ograniczenie i ewen-

tualna eliminacja subsydiowania przedsiębiorstw państwowych, unowocześnienie systemu podatkowego i administracyjnego w kierunku podniesienia poziomu dochodów, rozwoju miejscowych i zagranicznych inwestycji prywatnych, bardziej sprawiedliwego podziału obciążeń podatkowych, podniesienie wydajności w rolnictwie, rozwój i zróżnicowanie eksportu produkcji rolnej".

Nietrudno zauważyć, że przytoczone postulaty były w pełni zgodne z zaleceniami monetarystów. Nie pozostawały one bez wpływu na rząd USA. W jego polityce gospodarczej wobec krajów latynoamerykańskich problem zwiększenia aktywności inwestycyjnej kół północnoamerykańskiego kapitału zajął miejsce dominujące i odsunął na plan dalszy wszelkie inne. Charakterystyczna była wypowiedź w 1963 roku jednego z twórców polityki gospodarczej rządu USA W. W. Rostowa, który był przez pewien czas stałym przedstawicielem Stanów Zjednoczonych w Ogólnoamerykańskim Komitecie Sojuszu dla Postępu. „Cieszę się — powiedział Rostow — że obecnie mniej już mówimy o reformie rolnej, a więc o zwiększeniu wydajności w rolnictwie i zróżnicowaniu jego struktury, co jest sprawą rzeczywiście ważną".

Z pewnością nowa interpretacja odpowiadała elementom konserwatywnym i zachowawczym w społeczeństwach latynoamerykańskich. Zamiast dylematu reforma rolna bądź zacofanie, który stawiał je w trudnym położeniu, mogły one obecnie wysuwać politycznie bezpieczne, a jednocześnie atrakcyjne hasła podnoszenia efektywności produkcji rolnej.

Stanowisko rządu USA wynikało nie tylko z troski o interesy swych obywateli w Ameryce Łacińskiej, lecz raczej o wpływ działalności inwestorów USA za granicą na ogólną pozycję Stanów Zjednoczonych w międzynarodowych stosunkach gospodarczych. Jak wyjaśniał w 1968 roku w Kongresie pomocnik sekretarza stanu do spraw gospodarczych A. M. Solomon, rząd USA zmienił w latach sześćdziesiątych stosunek do północnoamerykańskich inwe-

stycji prywatnych za granicą. Nie ograniczał się już tylko do ochrony interesów inwestorów, lecz z powodu pogarszającego się stanu bilansu płatniczego zaczął prowadzić politykę w kierunku ograniczenia tempa inwestycji prywatnych USA w krajach zachodnioeuropejskich i Kanadzie i zachęcano inwestorów do kierowania kapitałów do krajów zacofanych.

W tym celu rząd stworzył specjalny program popierania inwestycji prywatnych w państwach latynoamerykańskich. W jego ramach Agencja do spraw Międzynarodowego Rozwoju zaczęła finansować 50% kosztów związanych z tzw. badaniami przedinwestycyjnymi, udzielać pożyczek inwestorom w walucie lokalnej, uzyskanej ze sprzedaży nadwyżek rolnych USA, oraz opracowała rozwinięty system ubezpieczeń inwestycyjnych od wszelkich możliwych strat takich, jak np. powstających w rezultacie nacjonalizacji, rewolucji, działań wojennych, trudności z wymienialnością obcych walut na dolary itp.

Departament Stanu zaczął forsować zawieranie z rządami latynoamerykańskimi specjalnych umów gwarancyjnych, w których ich rządy zobowiązywały się do niepodejmowania kroków szkodzących interesom kapitału północnoamerykańskiego oraz zaręczały wypłatę odszkodowań w określonych przypadkach poniesienia strat przez inwestorów.

Najbardziej jednak istotnym instrumentem nacisku na kraje Ameryki Łacińskiej były rządowe programy pomocy oraz działalność międzynarodowych organizacji finansowych. Ich efektywność była związana z ogólnym zwiększeniem funduszy na te cele. W latach sześćdziesiątych Ameryka Łacińska przestała być „zaniedbywana" w programach pomocy gospodarczej USA dla zagranicy. W latach 1962 – 1970 na ogólną sumę 41195 milionów dolarów na kraje tego regionu przypadało 5594 miliony, czyli 13,3% (w latach 1945 – 1961 ich udział wynosił zaledwie 4,1%). Wynika z tego, iż od momentu proklamowania Sojuszu dla Postępu rząd Stanów Zjednoczo-

nych przyznawał państwom latynoamerykańskim rocznie średnio około 622 milionów dolarów.

Zmiana stanowiska rządu USA w ogólnym podejściu do problemów pomocy dla Trzeciego Świata wpłynęła w sposób zasadniczy na pozycję międzynarodowych organizacji finansowych. W latach 1961 – 1969 przyznały one krajom Ameryki Łacińskiej kredyty na łączną sumę 6255 milionów dolarów. Roczny przypływ kapitału z tych źródeł wynosił więc średnio 695 milionów dolarów.

Przytoczone dane, dotyczące funduszy dla krajów Ameryki Łacińskiej ze źródeł publicznych, ustępowały znacznie sumom pomocy udzielanej w tym samym czasie obszarom Dalekiego i Bliskiego Wschodu. Niemniej jednak był to przypływ kapitału poważny i chociaż nie osiągnął zamierzonego pierwotnie poziomu, odpowiadał w zasadzie zobowiązaniom podjętym przez Stany Zjednoczone w tym zakresie. Nie wielkość zdecydowała o jej rezultatach, lecz przeznaczenie i charakter, a przede wszystkim fakt jej podporządkowania interesom gospodarczym USA. I z tego punktu widzenia program Sojuszu dla Postępu przyniósł Stanom Zjednoczonym niewątpliwe korzyści. W 1965 roku David Rockefeller mógł z satysfakcją stwierdzić, że w krajach latynoamerykańskich warunki dla inwestycji zagranicznych ulegają poprawie. I rzeczywiście, w drugiej połowie lat sześćdziesiątych przypływ kapitału prywatnego ze Stanów Zjednoczonych do Ameryki Łacińskiej uległ zwiększeniu. Jeżeli chodzi o wzrost wartości bezpośrednich inwestycji prywatnych USA w poszczególnych krajach przedstawiał się on następująco:

**3. Podział geograficzny bezpośrednich inwestycji USA w Ameryce Łacińskiej**
(wartość w milionach dolarów)

| Kraj | 1960 | 1962 | 1964 | 1966 | 1968 | 1970 |
|---|---|---|---|---|---|---|
| Argentyna | 472 | 799 | 882 | 1035 | 1148 | 1281 |
| Brazylia | 953 | 1084 | 997 | 1247 | 1484 | 1847 |
| Chile | 738 | 755 | 789 | 844 | 964 | 748 |
| Dominikana | 105 | 110 | 134 | 130 | 150 | 168 |

| Kraj | 1960 | 1962 | 1964 | 1966 | 1968 | 1970 |
|---|---|---|---|---|---|---|
| Ekwador | 50 | 50 | 56 | 69 | 105 | 182 |
| Gwatemala | 131 | 126 | 133 | 160 | 173 | 187 |
| Honduras | 100 | 99 | 113 | 145 | 180 | 198 |
| Kolumbia | 424 | 455 | 508 | 571 | 629 | 698 |
| Kostaryka | 62 | 64 | 73 | 94 | 116 | 101 |
| Meksyk | 795 | 867 | 1034 | 1248 | 1459 | 1786 |
| Nikaragua | 18 | 25 | 34 | 48 | 58 | 65 |
| Panama | 405 | 537 | 659 | 792 | 922 | 1251 |
| Peru | 446 | 543 | 464 | 548 | 692 | 688 |
| Urugwaj | 47 | 52 | 59 | 67 | 60 | 72 |
| Wenezuela | 2569 | 2816 | 2786 | 2615 | 2620 | 2704 |
| Boliwia, Haiti | | | | | | |
| Paragwaj | 85 | 88 | 117 | 152 | 185 | 204 |
| Ameryka Łac. | 7431 | 8424 | 8894 | 9826 | 11010 | 12252 |

Służebność programu Sojuszu dla Postępu wobec interesów gospodarczych USA była widoczna w sposób jaskrawy w sferze stosunków handlowych. W latach sześćdziesiątych eksport latynoamerykański do Stanów Zjednoczonych zwiększał się nieznacznie. Jego tempo wzrostu wynosiło w okresie 1960 – 1970 zaledwie 2,1%. W rezultacie udział Ameryki Łacińskiej w ogólnym imporcie USA systematycznie malał. W 1969 roku stanowił 12,8% (w 1955 roku 29,4%). Eksport Stanów Zjednoczonych do Ameryki Łacińskiej rósł natomiast znacznie szybciej. Jego średnioroczne tempo wzrostu wynosiło w latach 1960 – 1970 4,8%. W konsekwencji udział USA w imporcie latynoamerykańskim pozostawał duży i w 1968 roku stanowił 43% (w 1960 roku 45%).

Przedstawione tendencje spowodowały, że bilans handlowy w stosunkach wzajemnych, który w okresie II wojny światowej był zdecydowanie dodatni dla krajów latynoamerykańskich, a w latach pięćdziesiątych wykazywał nadwyżkę, stał się w latach sześćdziesiątych zdecydowanie dla nich ujemny. Jedynym wyjątkiem była Wenezuela z powodu eksportu ropy naftowej. Sytuacja bilansu

handlowego innych krajów Ameryki Łacińskiej w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi przedstawiała się jak na poniższej tabeli:

**4. Obroty handlowe krajów Ameryki Łacińskiej z USA (z wyjątkiem Wenezueli)**

(w mld dol.)

| Rok | Eksport | Import | Bilans |
|---|---|---|---|
| 1962 | 2 327,9 | 2 936,9 | – 609,0 |
| 1964 | 2 454,8 | 3 228,6 | – 773,8 |
| 1968 | 3 023,0 | 3 961,0 | – 938,0 |
| 1970 | 3 271,7 | 4 993,6 | – 1 721,9 |

Wzrost eksportu Stanów Zjednoczonych do krajów Ameryki Łacińskiej był częściowo wywołany „pomocą". Była ona bowiem przyznawana pod warunkiem jej wykorzystania na zakup wyłącznie towarów północnoamerykańskich, a ich przywóz mógł być dokonywany jedynie statkami USA. Pomoc była więc swoistą formą subsydiowania eksportu Stanów Zjednoczonych.

Jednocześnie rząd USA, stojąc na straży interesów własnych producentów i handlowców, utrzymał w latach sześćdziesiątych ograniczenia importowe na wiele towarów latynoamerykańskich. Istniały limity ilościowe na produkty mięsne, mleczne i bawełniane. Dodatkowo dostęp na rynek USA, takich towarów, jak mięso, owoce i jarzyny był utrudniony w rezultacie stawiania warunków sanitarnych, jakościowych i co do rodzaju opakowań. Wprowadzano często cła sezonowe. Rząd USA prowadził także stałą politykę subsydiowania deficytowej produkcji rodzimej takich produktów jak mięso i cukier, co stawiało w niekorzystnej sytuacji analogiczne towary latynoamerykańskie, lub takich jak bawełna, co stwarzało konkurencję dla eksportu krajów Ameryki Łacińskiej na rynkach światowych.

Sytuacja w stosunkach handlowych wpływała niekorzystnie na stan bilansu płatniczego krajów latynoamerykańskich. Pomoc finansowa była udzielana głównie

(w 70%) w formie kredytów podlegających spłacie. Zważywszy ujemny bilans handlowy, możliwości spłaty powstałego zadłużenia zagranicznego były ograniczone. Stąd zwiększyło się ono poważnie. W 1961 roku wynosiło 8,8 miliarda dolarów, w 1969 roku już 17,6 miliarda. Wydatki z tytułu obsługi zadłużenia zagranicznego w latach 1965 – 1968 wynosiły średnio jeden miliard rocznie. W 1969 roku 2,1 miliarda. Zaczęły one pochłaniać w coraz większym stopniu przyznawane sumy pomocy. Według danych OPA do 1968 roku około 40% pomocy rządowej USA dla Ameryki Łacińskiej powróciło do tego kraju w formie spłaty poprzednich zadłużeń. Jeżeli dodamy do tego odpływ kapitału w formie zysków repatriowanych przez inwestorów północnoamerykańskich do Stanów Zjednoczonych, okaże się wówczas, iż retoryczne pytanie zadawane często przez przedstawicieli państw Ameryki Łacińskiej, kto kogo w istocie finansuje, dalekie jest od demagogii. I tak np. w 1966 roku zyski wywiezione z krajów latynoamerykańskich przewyższały przypływ kapitału inwestycyjnego netto o 965 milionów dolarów, w 1967 roku o 1022 miliony dolarów, zaś w 1968 roku o 812 milionów dolarów.

Wskazane czynniki osłabiały bezpośrednio efektywność ekonomiczną pomocy rządu USA dla Ameryki Łacińskiej. Stały się jednym ze źródeł rozczarowania krajów regionu do koncepcji opierania planów rozwoju o zagraniczną pomoc finansową i wywoływały coraz silniejsze kontrowersje w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi, które zaczęły odgrywać zwiększoną rolę w początkach lat siedemdziesiątych.

Największą wagę posiadał jednak nie tyle fakt ograniczonej przydatności pomocy z punktu widzenia potrzeb rozwoju poszczególnych krajów, odbiegającej od pierwotnych oczekiwań, ile przede wszystkim wzrastająca świadomość wśród większości z nich, że w jej rezultacie nastąpiło pogłębienie się ich zależności od Stanów Zjed-

noczonych wraz z jednoczesnym osłabieniem ich pozycji negocjacyjnej wobec tego mocarstwa. Rozwój stosunków w sferze gospodarczej zaczął bowiem wykazywać zwiększoną asymetrię, wyrażającą się ogólnie w stałym relatywnym zmniejszaniu się roli Ameryki Łacińskiej w międzynarodowych powiązaniach USA. Jeżeli w 1950 roku 40,1% bezpośrednich inwestycji północnoamerykańskich za granicą koncentrowało się w krajach latynoamerykańskich, w 1960 roku ich udział spadł do 23%, a w 1970 roku do 16%. Zmiany te ilustruje poniższa tabela:

**5. Podział geograficzny bezpośrednich inwestycji USA**
(wartość w miliardach dolarów)

| Rejon lub kraj | 1960 | | 1970 | |
|---|---|---|---|---|
| | wartość | % | wartość | % |
| Ogólnie | 32,8 | 100 | 78,2 | 100 |
| Kanada | 11,2 | 34 | 22,8 | 29 |
| Europa | 6,7 | 20 | 24,5 | 31 |
| Japonia | × | × | 1,5 | 2 |
| Oceania i RPA | 1,3 | 4 | 4,4 | 6 |
| Ameryka Łacińska[1] | 7,4 | 23 | 12,3 | 16 |
| Inne kraje rozwijające się[2] | 4,8 | 15 | 9,2 | 12 |
| Nieokreślone | 1,4 | 4 | 3,6 | 5 |
| W Ameryce Łacińskiej: | | | | |
| Meksyk | 0,8 | 2 | 1,8 | 2 |
| Panama | 0,4 | 1 | 1,3 | 2 |
| Inne kraje Ameryki Środkowej[3] | 0,5 | 2 | 0,6 | 1 |
| Argentyna | 0,5 | 2 | 1,3 | 2 |
| Brazylia | 1,0 | 3 | 1,8 | 2 |
| Chile | 0,7 | 2 | 0,7 | 1 |
| Kolumbia | 0,4 | 1 | 0,7 | 1 |
| Peru | 0,4 | 1 | 0,7 | 1 |
| Wenezuela | 2,6 | 8 | 2,7 | 3 |
| Inne kraje Ameryki Południowej | 0,1 | 0 | 0,6 | 1 |

[1] Z wyłączeniem Kuby.
[2] Japonia włączona do „Inne kraje rozwijające się".
[3] Haiti i Republika Dominikańska włączone do „Inne kraje Ameryki Środkowej" w 1960 roku i do „Inne kraje Ameryki Południowej" w 1970 roku.

Powyższa tendencja nie wpłynęła na osłabienie pozycji inwestorów ze Stanów Zjednoczonych w krajach latynoamerykańskich. I chociaż w latach sześćdziesiątych przypływ kapitału z Europy Zachodniej i Japonii zwiększył się, północnoamerykańskie inwestycje prywatne pozostały zdecydowanie dominującymi. W 1965 roku stanowiły one około 70 – 75% wszystkich bezpośrednich zagranicznych inwestycji prywatnych w Ameryce Łacińskiej. Według obliczeń na rok 1970 udział ten zmniejszył się do 60%.

Podobnie przedstawiała się sytuacja w stosunkach handlowych. Stany Zjednoczone pozostają największym rynkiem dla latynoamerykańskich towarów, pochłaniając w latach 1960 – 1970 około 40 – 45% eksportu regionu. Jednocześnie udział ich w ogólnym imporcie USA zmniejszył się z 22,4% w 1961 roku do 11,6% w 1971 roku. W okresie owej „dekady rozwoju" zaledwie jeden kraj regionu poprawił swą pozycję na rynku Stanów Zjednoczonych. Był nim Honduras, którego udział zwiększył się z 0,22% do 0,26%. Nawet czołowi eksporterzy latynoamerykańscy, Meksyk i Brazylia, nie polepszyli swej sytuacji i ich uczestnictwo w ogólnym imporcie USA we wskazanym wyżej okresie uległo ograniczeniu z 3,5 do 2,8% w przypadku Meksyku i z 3,8 do 1,7% w przypadku Brazylii.

Innymi słowy, o ile dla Stanów Zjednoczonych Ameryka Łacińska jest jednym z kilku ważnych rejonów działalności gospodarczej za granicą, to dla krajów latynoamerykańskich USA pozostają najważniejszym partnerem. Tym samym państwa Ameryki Łacińskiej są zależne nie tylko od interesów regionalnych północnoamerykańskiego kapitału monopolistycznego, lecz również od ogólnych kierunków rozwoju i charakteru ekspansji w USA w świecie.

Zmiana miejsca Ameryki Łacińskiej w całokształcie międzynarodowych powiązań gospodarczych Stanów Zjednoczonych wywołała poważne implikacje polityczne w stosunkach ogólnoamerykańskich. W stanowisku Waszyngtonu spowodowała stopniowe odchodzenie od tezy o ko-

nieczności utrzymywania „stosunków specjalnych" z krajami latynoamerykańskimi. Następowało to głównie pod presją potrzeb strategii światowej. Stany Zjednoczone, w ocenie swoich przywódców, nie mogły sobie już dłużej pozwolić na odmienne traktowanie czy na koncesje wobec Ameryki Łacińskiej w sytuacji poważnego zagrożenia własnych interesów w innych rejonach, na Dalekim i Bliskim Wschodzie, jeżeli pragnęły zachować pozycję mocarstwa światowego.

Tego rodzaju stanowisko prowadziło nieuchronnie do zwiększenia się płaszczyzny konfliktów z krajami latynoamerykańskimi. Asymetryczność w rozwoju stosunków — odzwierciedlająca, najogólniej rzecz ujmując, skalę zróżnicowania w osiągniętym poziomie sił wytwórczych — w wypadku jej stałego pogłębiania się świadczy o powiększaniu się rozbieżności interesów. W tych warunkach zależność przybiera formy szczególnie uciążliwe, ponieważ jej koszty gospodarcze i polityczne stają się nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do uzyskiwanych korzyści, a sprzeczności zaś rysują się bardzo ostro. Umacnia to tendencje do niezależności, które w wypadku krajów latynoamerykańskich znalazły wyraz w dążeniu do rozszerzenia kontaktów z krajami spoza półkuli zachodniej. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych ich zainteresowanie handlem z Europą Zachodnią i Japonią wyraźnie wzrosło, a udział tych krajów w międzynarodowych powiązaniach gospodarczych Ameryki Łacińskiej ogólnie się powiększył, co ilustruje tabela 6, dotycząca handlu zagranicznego niektórych krajów latynoamerykańskich.

Przytoczone dane wymagają komentarza. Wprawdzie wzrost roli krajów spoza półkuli zachodniej posiada poważne znaczenie, należy jednak pamiętać, że w wypadku Europy Zachodniej chodzi o dużą grupę państw. Jeżeli wśród nich wyróżnimy najważniejszych partnerów krajów Ameryki Łacińskiej, okaże się wówczas, że stosunki z żadnym z nich nie stanowią przeciwwagi dla wpływów USA ani też zagrożenia dla dominującej pozycji tego mo-

**6. Kierunki handlu zagranicznego krajów Ameryki Łacińskiej w 1970 roku**
(w %)

| Kraj | Wartość w mln dolarów | USA | Kanada | Ameryka Łacińska | Europa zach. | Kraje socjalistyczne Europy i Azji | Japonia | Inne |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Argentyna | | | | | | | | |
| eksport | 1512 | 10,5 | 0,4 | 23,7 | 49,4 | 5,0 | 7,2 | 3,8 |
| import | 1665 | 25,2 | 3,0 | 21,9 | 40,0 | 1,1 | 5,1 | 3,8 |
| Boliwia | | | | | | | | |
| eksport | 164 | 15,1 | 0,1 | 8,3 | 54,6 | – | 20,9 | 1,0 |
| import | 150 | 33,5 | 1,5 | 18,1 | 34,2 | – | 11,5 | 1,1 |
| Brazylia | | | | | | | | |
| eksport | 2803 | 23,9 | 1,7 | 9,6 | 48,0 | 4,8 | 7,1 | 4,9 |
| import | 2791 | 33,1 | 3,5 | 10,7 | 35,9 | 1,9 | 6,6 | 8,2 |
| Chile | | | | | | | | |
| eksport | 1163 | 13,2 | 0,2 | 10,8 | 58,7 | – | 16,6 | 0,4 |
| import | 1005 | 32,9 | 2,4 | 26,4 | 32,9 | 0,8 | 3,4 | 1,2 |
| Ekwador | | | | | | | | |
| eksport | 305 | 35,7 | 3,3 | 10,1 | 24,4 | – | 25,3 | 0,6 |
| import | 298 | 42,6 | 1,2 | 14,3 | 30,9 | – | 10,2 | 0,7 |
| Kolumbia | | | | | | | | |
| eksport | 809 | 33,2 | 3,2 | 11,4 | 39,2 | 9,0 | 3,0 | 0,9 |
| import | 934 | 46,5 | 2,8 | 8,3 | 30,2 | 4,4 | 6,7 | 1,0 |
| Meksyk | | | | | | | | |
| eksport | 117 | 71,7 | 1,0 | 10,6 | 9,5 | 0,3 | 5,8 | 1,0 |
| import | 2449 | 64,0 | 2,0 | 3,3 | 25,5 | 0,3 | 3,5 | 1,4 |
| Peru | | | | | | | | |
| eksport | 1405 | 60,3 | 0,3 | 4,8 | 21,0 | 2,3 | 10,1 | 1,1 |
| import | 550 | 36,2 | 5,1 | 19,3 | 25,5 | 0,7 | 8,9 | 4,3 |
| Urugwaj | | | | | | | | |
| eksport | 232 | 8,6 | – | 12,6 | 56,7 | 12,2 | 0,7 | 9,1 |
| import | 232 | 12,9 | 2,1 | 32,7 | 31,6 | 3,7 | 1,5 | 15,5 |
| Wenezuela | | | | | | | | |
| eksport | 2425 | 44,6 | 13,4 | 21,6 | 18,5 | – | 0,9 | 1,0 |
| import | 1610 | 47,2 | 6,7 | 3,8 | 32,5 | 0,7 | 7,6 | 1,5 |

carstwa w sferze stosunków handlowych. I tak udział poszczególnych krajów zachodnioeuropejskich przedstawiał się w imporcie Ameryki Łacińskiej w 1968 roku następująco: RFN – 9,9%, Wielka Brytania – 4,9%,

Włochy – 3,9%, Francja – 3,1%, Szwajcaria – 2,3%, Hiszpania – 1,8%. Podobnie przedstawia się sprawa udziału krajów zachodnioeuropejskich w ogólnym eksporcie Ameryki Łacińskiej (dane z 1968 roku): RFN – 8,9%, Wielka Brytania – 6,1%, Włochy – 4,9%, Francja – 2,8%, Holandia – 2,4%, Hiszpania – 2,3%.

Pomimo znacznej aktywizacji kontaktów krajów latynoamerykańskich z państwami spoza półkuli zachodniej problemem centralnym pozostały więc stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. W ramach istniejącej struktury powiązań gospodarczych i przy założeniu ciągłości ustrojowej tendencje do niezależności przybierają wyłącznie formy procesu negocjacyjnego. W trakcie tego procesu państwa latynoamerykańskie dążą do uzyskania lepszych, z punktu widzenia klas rządzących, warunków stanu zależności. Stąd też, w porównaniu z innymi krajami Trzeciego Świata, tendencje te posiadają bardziej ograniczony charakter. Brak w praktyce alternatywy zakłada słabszą pozycję negocjacyjną krajów Ameryki Łacińskiej w kontaktach ze Stanami Zjednoczonymi. Stąd też osiągnięte kompromisy są zazwyczaj pozorne, ponieważ skala ustępstw jest nieporównywalna, a tym samym są one krótkotrwałe. Co sprawia, że stosunki ogólnoamerykańskie cechuje ogólnie brak stabilizacji i często znajdują się one w stanie impasu.

# Rezultaty i perspektywy

W orędziu do Kongresu, wygłoszonym 31 października 1969 roku, prezydent R. Nixon – mówiąc o polityce swych poprzedników wobec krajów Trzeciego Świata – stwierdził między innymi: „Przez wiele lat istniała w Stanach Zjednoczonych iluzja, że możemy przekształcać kontynenty. Świadomi naszego bogactwa i przewagi technologicznej, ogarnięci siłą naszych dobrych intencji pchani tradycyjną niecierpliwością, pamiętając dramatyczny sukces planu Marshalla w powojennej Europie, wyobrażaliśmy sobie, że doskonale wiemy, co jest najlepsze dla innych, że jesteśmy w stanie i powinniśmy tego dokonać [...] Doświadczenie nauczyło nas, że tak nie jest".

Przytoczone słowa odzwierciedlały między innymi rozczarowanie kół rządzących Stanów Zjednoczonych do efektów programu Sojuszu dla Postępu. Stało się ono pod koniec lat sześćdziesiątych powszechne. Różnice zdań dotyczą jedynie odmiennego spojrzenia na przyczyny niepowodzeń programu. Dla wszystkich jednak nie ulega obecnie wątpliwości, że podstawowe założenia okazały się błędne, a rezultaty niebagatelnych wysiłków ze strony rządu Stanów Zjednoczonych – znikome.

Oceniając latynoamerykańską politykę Kennedy'ego–Johnsona nie można jednak powiedzieć, iż z punktu widzenia interesów imperializmu amerykańskiego była ona jednym wielkim niepowodzeniem. Okazała się przecież skuteczna jako hamulec procesów rewolucyjnych, jako instrument zachowania politycznego status quo w Ameryce Łacińskiej. Na półkuli zachodniej nie powstała nowa Kuba. Cały rejon pozostał w sferze wpływów Stanów Zjednoczonych. I w tym sensie polityka USA lat sześćdziesiątych była efektywna.

Nie osiągnięto jednakże trwałej stabilizacji w stosunkach wzajemnych i nie wyeliminowano warunków, które

powodują jej zakłócenia. Sprzeczności w stosunkach ogólnoamerykańskich nie uległy osłabieniu. O żadnym też z krajów regionu nie można powiedzieć, iż perspektywa rewolucji socjalistycznej jest w nim nierealna. I w tym tkwi istota fiaska programu Sojuszu dla Postępu. Nie pchnął on państw latynoamerykańskich na drogę takiego rozwoju politycznego, który gwarantowałby ich trwałą stabilizację wewnętrzną i zapewniał na lata kontynuację ustrojową.

Cechą charakterystyczną pozycji Stanów Zjednoczonych w Ameryce Łacińskiej jest fakt, że niebezpieczeństwo dla ich hegemonii na tym obszarze nie wywodzi się z zewnątrz, lecz pochodzi przede wszystkim z wewnątrz istniejącego systemu zależności. W istniejącej sytuacji międzynarodowej jedynie rewolucyjne procesy gospodarczo-społeczne są w stanie poderwać materialne podstawy dominacji USA na półkuli zachodniej.

Bardzo ważne znaczenie posiada również czynnik prestiżu międzynarodowego Stanów Zjednoczonych, czyli ich pozycji w całej społeczności międzynarodowej. Wraz z jej pogorszeniem może ulec osłabieniu hegemonia USA w Ameryce Łacińskiej, ponieważ otwierają się wówczas przed krajami tego obszaru możliwości znalezienia przeciwwagi dla wpływów Stanów Zjednoczonych, zarówno w sferze gospodarczej, militarnej, jak i politycznej. Nie ulega np. wątpliwości, że bez pomocy krajów socjalistycznych rewolucja kubańska nie miałaby szans przetrwania. Jak podkreślił w jednym z przemówień F. Castro: „Bez nowego układu sił we współczesnym świecie imperializm amerykański nie zawahałby się utopić we krwi rewolucji kubańskiej".

Przesunięcia w światowym układzie sił mogą również stworzyć sprzyjające warunki dla tych rewolucyjno-wewnętrznych przekształceń w krajach Ameryki Łacińskiej, które prowadzą do umocnienia niezależności i samodzielności, które posiadają, jak podkreślaliśmy, decydujące znaczenie dla osłabienia hegemonii USA. Szczególnie,

jeżeli w ich ramach zachodzi proces ograniczania lub likwidacji wpływów tych grup społecznych, które są w swej działalności gospodarczej bezpośrednio związane z kapitałem północnoamerykańskim i czerpią z tego zyski oraz pozycję polityczną (co nie wyklucza konfliktów między nimi a USA o podział zysków i zakres autonomii władzy politycznej, lecz wskazuje na istotę i granice tych konfliktów).

Nie należy jednakże przeceniać wpływu rozwoju ogólnej sytuacji międzynarodowej. Ameryka Łacińska znajduje się w odmiennej sytuacji aniżeli pozostałe rejony Trzeciego Świata, w wypadku których oddziaływanie czynników zewnętrznych jest znacznie silniejsze. Wydarzenia lat siedemdziesiątych ukazują złożoność całego problemu. W dobie pokojowego współistnienia i odprężenia Waszyngton był zmuszony odstąpić od głoszenia oficjalnie hasła „jedności ideologicznej" półkuli zachodniej. Utrzymanie polityki izolacji Kuby okazało się niemożliwe. Proces normalizacji stosunków między rządami latynoamerykańskimi a Hawaną obejmuje coraz szerszą liczbę państw, przyjęcie zaś w kwietniu 1974 roku przez Zgromadzenie Ogólne OPA rezolucji, głoszącej zasadę pluralizmu ideologicznego jako obowiązującą w stosunkach ogólnoamerykańskich, przekreśliło ważność dotychczasowej motywacji stanowiska tej organizacji w kwestii kubańskiej.

29 lipca 1975 roku w stolicy Kostaryki, San José, w czasie zgromadzenia konsultacyjnego ministrów spraw zagranicznych OPA, zatwierdzono projekt tzw. rezolucji swobodnej decyzji, przedłożonej przez delegację Meksyku. Za rezolucją głosowało 16 państw, w tym również Stany Zjednoczone, przeciwko opowiedziały się Chile, Paragwaj i Urugwaj, natomiast Nikaragua i Brazylia wstrzymały się od głosu. Zgodnie z tekstem uchwalonej rezolucji, państwa członkowskie OPA mają prawo utrzymywać lub nawiązywać stosunki dyplomatyczne i gospodarcze z Kubą „zależnie od polityki narodowej i intere-

sów każdego z tych państw na szczeblu i w takiej formie, jaką dane państwo uzna za właściwe".

W ten sposób wprowadzone przez OPA w 1964 roku sankcje wobec Kuby zostały zniesione. Usunięto tym samym ostatnią formalną przeszkodę na drodze normalizacji stosunków socjalistycznej Kuby z pozostałymi krajami półkuli zachodniej.

Ewolucja sytuacji na tym odcinku nie była oczywiście spowodowana jedynie względami ogólnomiędzynarodowymi, lecz również sukcesami socjalistycznej Kuby, trwałością jej systemu władzy i polityką sojuszu z krajami socjalistycznymi. Niemniej jednak wpływ zmiany klimatu na arenie międzynarodowej w tym wypadku odgrywa dużą rolę.

Odstępując stopniowo od polityki izolacji Kuby rząd Stanów Zjednoczonych zademonstrował jednocześnie determinację, z jaką dąży do utrzymania Ameryki Łacińskiej w sferze swych wpływów, doprowadzając do upadku rządu S. Allende. Wydarzenia chilijskie świadczą o możliwościach kół rządzących USA w celu przeciwdziałania procesom rewolucyjnym na półkuli zachodniej w warunkach nowej sytuacji międzynarodowej.

O charakterze stosunków Stanów Zjednoczonych z Chile w okresie rządów Frontu Jedności Ludowej decydował między innymi fakt, iż rewolucja socjalna w tym kraju dokonywała się w drodze pokojowej, w ramach burżuazyjnego systemu instytucjonalnego. Wszystkie posunięcia rządu Allende, w których rezultacie państwo przejęło podstawowe bogactwa kraju z rąk obcego kapitału i obaliło monopol oligarchii, były przeprowadzane zgodnie z istniejącym burżuazyjnym systemem prawnym. Obstrukcyjne wysiłki opozycji rząd rozbijał z pozycji obrony konstytucji i praworządności. Starał się wykorzystywać siłę ustaw burżuazyjnych przeciwko samej burżuazji.

W tym samym stopniu dotyczyło to również stosunków międzynarodowych. Rząd Stanów Zjednoczonych nie mógł wysuwać tezy o nielegalnym charakterze władzy

w Chile, oskarżać ją o naruszenie zasad demokracji czy pogwałcenie praw człowieka lub stawiać inne tego typu zarzuty, często w przeszłości wykorzystywane przez Departament Stanu jako pretekst do wszczęcia nieprzyjaznej akcji propagandowej i dyplomatycznej.

Drugim istotnym elementem wpływającym na kształtowanie się polityki Stanów Zjednoczonych wobec rządu S. Allende był rozwój sytuacji wewnętrznej w Chile. Wiadomo było od samego początku, chociażby biorąc pod uwagę same rezultaty wyborów, że rząd Frontu Jedności Ludowej będzie realizował swój program w skomplikowanej sytuacji politycznej, przy istnieniu silnej opozycji ze strony Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej i innych partii burżuazyjnych, nie posiadając większości w parlamencie i nie kontrolując sił zbrojnych. Jednocześnie odziedziczony stan zacofania gospodarki chilijskiej stawiał siły lewicy wobec problemów, których rozwiązanie wymagało długotrwałych wysiłków. Rząd Stanów Zjednoczonych liczył z pewnością na to, że rząd S. Allende nie podoła istniejącym trudnościom, że doprowadzą one do jego upadku bez potrzeby jawnej interwencji ze strony Stanów Zjednoczonych. Nie oznaczało to bierności czy też neutralności rządu R. Nixona wobec biegu wydarzeń w Chile, wyznaczało jednak pewne granice działań i określało formy wpływu na rozwój wypadków.

Charakterystyczną cechą oficjalnych stosunków Stanów Zjednoczonych z Chile w okresie rządów Frontu Jedności Ludowej było ich całkowite zdominowanie przez konflikt wynikły z nacjonalizacji mienia niektórych firm północnoamerykańskich, przede wszystkim kopalni miedzi, należących do filii dwóch potężnych towarzystw: Kennecott Coper Corporation i The Anaconda Company. Nie toczył się on o małą stawkę. Obydwie firmy były współwłaścicielami największych kopalni miedzi w Chile, których wydobycie stanowiło 90% ogólnego chilijskiego eksportu tego surowca. Wartość swojego mienia określały one na 724 miliony dolarów. Rząd S. Allende zgodził się

na wypłatę tylko niewielkiego odszkodowania i jednocześnie określił wysokość zadłużenia tych firm wobec Chile na 388 milionów dolarów z tytułu ich „nadmiernych zysków". Według prezydenta Chile, po tylu latach eksploatacji złóż prowadzonej przy wyraźnej nierówności stron, przy braku jakiejkolwiek umowy międzynarodowej legalizującej ją, naród chiliski, który ponosił ciężar dyskryminacji, miał prawo do wysunięcia tego rodzaju roszczeń.

Rząd Stanów Zjednoczonych zaprotestował gwałtownie, twierdząc, że postępowanie rządu chilijskiego jest sprzeczne z prawem międzynarodowym. W pierwszym stadium sporu jego rozstrzygnięcie pozostawało mimo wszystko sprawą otwartą. Istniały przesłanki osiągnięcia kompromisowego porozumienia. Rząd USA z pełną świadomością doprowadził jednakże do zaognienia konfliktu i zajął w jego przedmiocie nieprzejednane stanowisko. Jednocześnie koła rządzące USA starały się przekonać wszystkich, że spór na tle nacjonalizacji był jedynym powodem podjęcia wobec Chile szeregu istotnych posunięć, które w praktyce doprowadziły do blokady gospodarczej tego kraju i stały się przyczyną zaostrzenia trudności w gospodarce chilijskiej. Polegały one na całkowitym wstrzymaniu pomocy w ramach stosunków dwustronnych, którą w przeszłości Chile otrzymywało w dużych rozmiarach, uniemożliwianiu uzyskania kredytów prywatnych w Stanach Zjednoczonych, udaremnianiu możliwości otrzymania jakichkolwiek kredytów w międzynarodowych organizacjach finansowych oraz stwarzaniu trudności w stosunkach handlowych. Pomimo tych kroków represyjnych przedstawiciele Departamentu Stanu nie ustawali w zapewnieniach, że zostały one zastosowane wyłącznie w obronie interesów obywateli USA oraz w imię przestrzegania prawa międzynarodowego.

Ta oficjalna wersja nie miała nic wspólnego z rzeczywistością. Przedstawiając się w charakterze obrońcy prawa międzynarodowego rząd USA bez skrupułów łamał jego podstawowe zasady i prowadził skrycie dzia-

łalność wywrotową przeciwko rządowi S. Allende. Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA) W. E. Colby ujawnił w Kongresie w początkach września 1974 roku, że rząd Nixona przeznaczył poważne fundusze na działalność agencji w Chile w latach 1970–1973, by stworzyć w tym kraju „trudną sytuację". Prezydent Ford potwierdził prawdziwość oświadczenia Colby'ego, dodając, że głównym celem rządu USA było udzielenie pomocy finansowej tym wszystkim siłom politycznym w Chile, które występowały przeciwko Allende. Tym samym koła rządzące Stanów Zjednoczonych przyznały się do współuczestnictwa w obaleniu rządu Frontu Jedności Ludowej.

Postępowanie rządu USA wobec rewolucji chilijskiej dowodzi, że obecność nowych elementów w polityce Stanów Zjednoczonych wobec państw Ameryki Łacińskiej nie zmienia jej istoty, oznaczając jedynie zmianę form nacisków stosowanych do osiągnięcia ciągle tych samych imperialistycznych celów, a przede wszystkim do utrzymania systemu hegemonicznego w tym rejonie.

Obok wskazanej kontynuacji w podejściu do spraw latynoamerykańskich koła rządzące USA starały się w początkach lat siedemdziesiątych wyjść również z nowymi inicjatywami wobec krajów Ameryki Łacińskiej, co znalazło wyraz w wysunięciu zasady „nowego partnerstwa". Jej proklamowanie było próbą rozciągnięcia na Amerykę Łacińską ogólnej doktryny Nixona wobec sojuszników zachodnioeuropejskich i całego Trzeciego Świata. Głównym jej elementem było hasło „podziału odpowiedzialności", czyli zwiększenia uczestnictwa krajów latynoamerykańskich w realizacji podejmowanych przedsięwzięć. Tłumacząc jego treść, jeszcze w okresie kampanii wyborczej w 1968 roku, Nixon podkreślał: „Myślę, że sytuacja, w której Stany Zjednoczone ponoszą jednostronną odpowiedzialność w Ameryce Łacińskiej, powinna ulec zmianie. Powinniśmy zwiększyć wysiłki na rzecz latynizacji naszych działań w Ameryce Łacińskiej. Stworzy to dla Stanów Zjednoczonych możliwości odgrywania bardziej konstruk-

tywnej roli w tym rejonie w oparciu o partnerstwo".

„Partnerstwo" było rozumiane nie jako zwiększenie udziału krajów latynoamerykańskich w procesie podejmowania decyzji, lecz ich szersze wciąganie do wykonywania ustalanych przez Waszyngton dyrektyw. W praktyce hasło „podziału odpowiedzialności" przybrało formę selektywności działań w kontaktach z krajami Ameryki Łacińskiej. Główny nacisk został położony na rozwój stosunków z tymi państwami, które zajmują pozycję dominującą. Stwierdzenie prezydenta USA, że „tam dokąd pójdzie Brazylia, podąży również reszta Ameryki Łacińskiej", było nie tylko wyrazem kurtuazji wobec przebywającego w Waszyngtonie w grudniu 1971 roku i wizytą specjalną prezydenta Brazylii, lecz także przekonania o słuszności tej tezy. Poprzez Brazylię Stany Zjednoczone pragną wykonywać funkcje hegemona na półkuli zachodniej.

Nie jest to koncepcja nowa. Już w początkach lat sześćdziesiątych wysuwał ją między innymi H. Kissinger, pisząc: „Co się tyczy narodowych programów pomocy, jest konieczna, jak się wydaje, koncentracja środków. Najlepszym sposobem okazania wpływu na wiele krajów będzie skupienie wysiłków na określonym jednym państwie. Indie w Azji, Brazylia w Ameryce Łacińskiej, Nigeria w Afryce mogłyby stać się ośrodkami przyciągania i przykładami do pozazdroszczenia w swych rejonach, jeżeli będziemy działać z rozmachem i w rozmiarach porównywalnych do planu Marshalla".

Nowe założenia nie przyniosły oczekiwanych rezultatów i latynoamerykańska polityka USA w okresie rządów Nixona i Forda znalazła się w głębokim impasie. U jego źródeł tkwi cały zespół problemów stosunków gospodarczych. One sprawiły, że począwszy od deklaracji uchwalonej w czasie obrad Specjalnej Komisji Koordynacyjnej do spraw Ameryki Łacińskiej (Comisión Especial Coordinatora para América Latina) w maju 1969 roku w Viña del Mar, rządy latynoamerykańskie, niezależnie od dzielających je różnic, występują ze wspólną platformą

negocjacyjną wobec Stanów Zjednoczonych w takich sprawach, jak stosunki handlowe, finansowe oraz problemy inwestycji.

Rozbieżność stanowisk między Stanami Zjednoczonymi a krajami latynoamerykańskimi jest w tych dziedzinych największa i wpływa paraliżująco na wszelkie inne strefy stosunków ogólnoamerykańskich. Odzwierciedla ona szerszy proces zaostrzenia się sprzeczności między wysoko uprzemysłowionymi krajami kapitalistycznymi i krajami rozwijającymi się, które znalazły swoje dramatyczne odbicie w kryzysie surowcowym ostatnich lat, a będącym w istocie kryzysem neokolonialnej polityki, której głównym eksponentem były Stany Zjednoczone. I jeżeli należałoby najogólniej scharakteryzować współczesny stan stosunków USA z państwami Ameryki Łacińskiej, wydaje się, iż najtrafniejsze byłoby stwierdzenie, że znalazły się one w momencie zwrotnym, przejścia do okresu trudnych negocjacji z przedstawicielami północnoamerykańskiego kapitału monopolistycznego o uzyskanie lepszych warunków, bardziej uwzględniających interesy latynoamerykańskie. Dążenia państw Ameryki Łacińskiej do odzyskania i wykorzystywania bogactw naturalnych dla dobra własnego rozwoju, do uzyskania bardziej sprawiedliwych warunków handlowych, do prawa udziału w procesie podejmowania decyzji w ramach międzynarodowych stosunków gospodarczych, do ich demokratyzacji, są częścią ogólnego procesu dekolonizacji gospodarczej Trzeciego Świata, jego walki o nowy porządek ekonomiczny.

Nie należy jednak zapominać, iż posiadają one klasowo ograniczony charakter. Wszystkie, oprócz rządu Kuby, istniejące obecnie rządy latynoamerykańskie stoją bowiem na stanowisku konieczności utrzymania stosunków z obcym kapitałem. Walka toczy się więc nie o całkowite wyzwolenie ze stanu zależności, ale raczej o inny jej kształt i formy.

# Zamknięcie

W okresie powojennym regionalna polityka Stanów Zjednoczonych wobec Ameryki Łacińskiej była podporządkowana światowej strategii politycznej i gospodarczej tego mocarstwa. Latynoamerykańska polityka USA była stale dostosowywana do panujących w Waszyngtonie w danym okresie ogólnych doktryn polityki zagranicznej. W końcu lat czterdziestych i w latach pięćdziesiątych były to kolejno doktryny: „powstrzymywania" komunizmu i „zmasowanego odwetu", a w przypadku interwencji USA w Gwatemali – doktryna „wyzwalania". W latach sześćdziesiątych latynoamerykańska polityka Kennedy'ego – Johnsona, łącznie z programem Sojuszu dla Postępu, była regionalnym wariantem światowej strategii „zróżnicowanego reagowania". Stąd właściwe zrozumienie polityki zagranicznej USA wobec państw Ameryki Łacińskiej wymaga uwzględnienia stosunków tego mocarstwa ze Związkiem Radzieckim, a także z krajami Trzeciego Świata.

Istniała silna zależność postępowania rządu USA wobec krajów latynoamerykańskich od rozwoju wydarzeń na innych kontynentach, zwłaszcza w Azji i Afryce. Walka wyzwoleńcza narodu algierskiego, wojna domowa w Kongo, a następnie – i to z największą siłą – konflikt w Indochinach wywierały wpływ na podejście kół rządzących Stanów Zjednoczonych do spraw latynoamerykańskich. Rewolucja kubańska i dominikańska były rozpatrywane w Stanach Zjednoczonych w szerokim kontekście stosunków z krajami socjalistycznymi i walki narodowowyzwoleńczej w całym Trzecim Świecie; nie były one dla rządu USA zagadnieniem wyłącznie polityki regionalnej.

Wysunięcie przez rządy Kennedy'ego i Johnsona walki z ruchem rewolucyjnym w Ameryce Łacińskiej jako celu nadrzędnego było spowodowane nie tylko obawą

przed zwycięstwem rewolucji socjalistycznej w następnym z krajów półkuli zachodniej. W warunkach trwającego konfliktu w Indochinach możliwość narodzenia się podobnej sytuacji gdziekolwiek na innych obszarach Trzeciego Świata, niezależnie od ostatecznego rezultatu, była dla rządu USA czymś, czego pragnął uniknąć za wszelką cenę. Perspektywa „nowych Wietnamów" stała się w latach sześćdziesiątych prawdziwą obsesją klas rządzących Stanów Zjednoczonych, wywarła duży wpływ na światową politykę zagraniczną tego mocarstwa, wpływała na priorytety w stosunkach USA z krajami Ameryki Łacińskiej. W imię bieżących potrzeb walki z ruchem rewolucyjnym rząd USA rezygnował z osiągnięcia innych celów lub odsuwał je na plan dalszy. Postępowano w ten sposób bez skrupułów, w przekonaniu, że Stany Zjednoczone nie mogą sobie w żadnym wypadku pozwolić na prowadzenie jeszcze jednej wojny lokalnej.

Podkreślenie roli programowania polityki światowej w procesie kształtowania się podejścia rządu USA wobec krajów Ameryki Łacińskiej nie ma na celu pomniejszenia roli wydarzeń na półkuli zachodniej. Chodzi jedynie o uwypuklenie znaczenia związków, jakie istniały między zmianami w ogólnym układzie sił na arenie międzynarodowej a rozwojem sytuacji w stosunkach ogólnoamerykańskich.

Wydarzeniem, które wywarło największy wpływ na latynoamerykańską politykę rządu Stanów Zjednoczonych w latach sześćdziesiątych, była z pewnością rewolucja kubańska. Powstanie — jak się miało wkrótce okazać — pierwszego państwa socjalistycznego w Ameryce Łacińskiej, w odległości „strzału armatniego" od wybrzeży Stanów Zjednoczonych, było wstrząsem nie tylko dla klas rządzących USA, lecz także dla całego społeczeństwa tego kraju. Takiego rozwoju sytuacji nikt się nie spodziewał. Przedrewolucyjna Kuba nie była traktowana w Stanach Zjednoczonych jako zagranica, ale raczej jako posiadłość USA. Na Kubę można było jeździć bez paszportu i ty-

siące obywateli Stanów Zjednoczonych spędzało tam swoje wakacje. Rewolucja na Kubie była odczuwana w społeczeństwie USA trochę tak, jakby zdarzyło się to na Florydzie. Stąd też zwrot rewolucji kubańskiej w kierunku socjalizmu wywołał wstrząs w świadomości tego społeczeństwa, daleko większy aniżeli utrata Chin dla świata kapitalistycznego. Po raz pierwszy w powojennej historii Stanów Zjednoczonych problem polityki zagranicznej był jednym z głównych tematów prezydenckiej kampanii wyborczej 1960 roku i pozostawał jeszcze długo potem w centrum uwagi opinii publicznej tego kraju.

Niewątpliwie przypadek Kuby jest pod wieloma względami szczególny. Stosunek opinii publicznej USA do innych państw latynoamerykańskich jest bardziej obojętny. Nie zmienia to jednak faktu, że w potocznej świadomości w Stanach Zjednoczonych kraje Ameryki Łacińskiej zajmują miejsce szczególne. Prezydent Nixon powiedział w 1972 roku: „Nie możemy traktować Ameryki Łacińskiej jako po prostu jednego z rejonów krajów rozwijających się". Ameryka Łacińska jest dla obywatela USA częścią — choć tą gorszą — Ameryki. Działa tu jeden z aspektów nacjonalizmu „amerykańskiego" (tzn. USA!).

I chociaż praktyka stosunków między Stanami Zjednoczonymi a krajami Ameryki Łacińskiej nasycona jest stałymi sporami i konfliktami — a nie mają one w rzeczywistości nic wspólnego z ideą dobrosąsiedzkich stosunków — takie hasła, jak „jedność panamerykańska" czy „solidarność kontynentalna" w dalszym ciągu pozytywnie funkcjonują w świadomości społecznej w USA, a także wśród elit latynoamerykańskich.

Sprzyja temu intensywność kontaktów międzyludzkich między Stanami Zjednoczonymi a krajami Ameryki Łacińskiej. Studenci i naukowcy latynoamerykańscy nie są rzadkością na uniwersytetach USA (około 12 tysięcy w 1966 roku). W Stanach Zjednoczonych bardziej niż gdziekolwiek upowszechniona jest kultura latynoamerykańska.

Ukazuje się sporo przekładów literatury pięknej. Utwory kompozytorów z krajów Ameryki Łacińskiej (H. Villa-Lobos, F. Mignone, M. C. Guarnieri z Brazylii czy C. Chávez, S. Revueltas z Meksyku) stosunkowo mało znanych w Europie, należą do stałego repertuaru orkiestr symfonicznych USA, a nie można nie wspomnieć o znaczeniu rytmów latynoamerykańskich w muzyce rozrywkowej i jazzie.

Liczba ośrodków naukowych — wielkich i małych — zajmujących się w Stanach Zjednoczonych badaniami nad Ameryką Łacińską sięga setek. Imponująco przedstawia się liczba tytułów książek poświęconych problematyce latynoamerykańskiej: w latach 1961—1967 ukazały się drukiem 373 monografie i syntezy naukowe. W okresie 1961—1965 obroniono w wyższych uczelniach USA 842 prace doktorskie z tematyki latynoamerykańskiej.

Duże znaczenie kulturowe i polityczne posiada fakt szybkiego zwiększania się liczby mieszkańców Stanów Zjednoczonych, których pierwszym językiem jest hiszpański. Puertorykańczycy w Nowym Jorku i w centrach przemysłowych Północy, Meksykanie w Kalifornii i w innych stanach zachodnio-południowych, Kubańczycy na Florydzie odgrywają coraz większą rolę w życiu zamieszkałych przez siebie terenów. Język hiszpański, w dużo mniejszym stopniu portugalski, jest masowo wykładany w szkołach.

Miejsca i roli Ameryki Łacińskiej w polityce USA nie można do końca określić, operując jedynie danymi o wielkości inwestycji północnoamerykańskich w tym rejonie, wyliczeniem ich zysków, analizą obrotów handlowych czy ukazaniem oddziaływania CIA oraz metod zwalczania rewolucyjnej partyzantki. Nie wystarczy również ukazanie znaczenia militarno-strategicznego i politycznego krajów latynoamerykańskich. I chociaż wszystkie omawiane w książce czynniki wywierają znaczny wpływ na kształtowanie polityki zagranicznej USA wobec krajów tego regionu, to problem należy widzieć również w szer-

szym kontekście związków kulturowych, wzajemnego oddziaływania na siebie odrębnych systemów wartości. Pomaga to w lepszym zrozumieniu stosunków krajów Ameryki Łacińskiej ze Stanami Zjednoczonymi oraz zachęca do dalszego i głębszego studiowania tej problematyki zarówno przez czytelników, jak i autora tych słów.

# Wskazówki bibliograficzne

Czytelnikom, którzy chcieliby poszerzyć swoje lektury o polityce rządu Stanów Zjednoczonych wobec krajów Ameryki Łacińskiej, podajemy nieco informacji bibliograficznych o pozycjach dostępnych w Polsce, głównie w bibliotece Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych w Warszawie, posiadającej najbogatszy w kraju księgozbiór dotyczący stosunków międzynarodowych.

Z prac obejmujących całość historii stosunków dyplomatycznych i politycznych wymienić można następujące: N. A. Bailey, *Latin America in World Politics*, New York 1967; G. Connell-Smith *The Inter-American System*, London 1966; J. L. Mecham, *A Survey of United States-Latin American Relations*, Boston 1965; J. F. Rippy, *Globe and Hemisphere. Latin America's Place in the Post War Foreign Relations of the United States*, Chicago 1958; G. H. Stuart, *Latin America and the United States*, New York 1955.

Do poznania różnorodnych aspektów działalności Organizacji Państw Amerykańskich mogą być pomocne następujące prace: M. M. Ball, *The OAS in Transition*, Durham N. C. 1969; J. C. Dreier, *The Organization of American States and the Hemisphere Crisis*, New York 1962; B. J. Gwozdariew, *Ewolucya i krizis mieżamierikanskoj sistiemy*, Moskwa 1966.

Problemy stosunków wojskowych omawiają: J. M. Baines, *US Military Assistance to Latin America. An Assessment*, „Journal of Inter-American Studies and World Affairs", 1972, nr 4. L. D. Langley, *Military Commitments in Latin America 1960–1968*, „Current History", czerwiec 1969; K. S. Tarasow, *SSzA i Latinskaja Amierika (wojenno-politiczeskije i wojenno-ekonomiczeskije otnoszenia)*, Moskwa 1972.

Dla zrozumienia problematyki stosunków gospodarczych USA z krajami Ameryki Łacińskiej duże znaczenie posiadają następujące opracowania i artykuły: C. Furtado, *La concentración del poder económico en los EE. UU. y sus proyeciones en América Latina*, „Estudios internacionales", 1968, nr 3–4 (Santiago); H. Magdoff, *The Age of Imperialism. The Economics of U. S. Foreign Policy*, New York 1969; O. Sunkel, *Big Business and „Dependencia". A Latin American View*, „Foreign Affairs", 1972, nr 3; *Nieokolonializm SSzA w Latinskoj Amierikie*, Moskwa 1970.

Oprócz wymienionych wyżej prac ogólnych pomocne być mogą opracowania dotyczące niektórych konkretnych problemów stosunków ogólnoamerykańskich. Na przykład dla zrozumienia stosunków USA – Argentyna oraz znaczenia Niemiec i Wielkiej Brytanii dla waszyngtońskiej polityki w Ameryce Łacińskiej duże znaczenie posiada mono-

grafia R. Stemplowskiego, *Zależność i wyzwanie. Argentyna wobec rywalizacji mocarstw anglosaskich i III Rzeszy,* Warszawa 1975. Interesującą analizę interwencji USA w Gwatemali daje P. B. Taylor, *The Guatemalian Affair: A Critique of United States Foreign Policy,* „The American Political Science Review", 1961, nr 10. Stosunki Kuby ze Stanami Zjednoczonymi przed i po rewolucji 1959 roku są przedmiotem między innymi następujących opracowań: M. Lidert, *Kuba a Stany Zjednoczone,* Warszawa 1961; *Cuba and the United States Foreign Policy,* pod red. J. Planka, Washington 1967.

O stanowisku Organizacji Państw Amerykańskich do rewolucji kubańskiej w sposób wyczerpujący pisali: A. G. Robledo, *La crisis actual del sistema interamericano,* „Foro internacional", 1962, nr 1–2; C. E. Bernstein, *Punta del Este y los eróneas interpretaciones de un tratado,* „Foro internacional", 1964, nr 4.

Recepcja rewolucji kubańskiej w Meksyku jest tematem interesującej monografii O. Pellicer de Brody, *Mexico y la revolución cubana,* Mexico 1972. Problem kubański w stosunkach ogólnoamerykańskich w latach siedemdziesiątych jest omówiony w artykułach T. Knothe, *Kryzys polityki dyplomatycznej izolacji Kuby w Ameryce Łacińskiej,* „Sprawy Międzynarodowe". 1972, nr 6 i tego samego autora *Kierunki kubańskiej polityki zagranicznej,* „Sprawy Międzynarodowe" 1973, nr 10.

Na temat programu Sojuszu dla Postępu istnieje bardzo wiele opracowań. Wśród nich wymienić można: L. Gordon, *A New Deal for Latin America: The Alliance for Progress,* Cambridge, Massachusetts 1963; B. J. Gwozdariew, *„Sojuz radi progresa" i jego susznost,* Moskwa 1964; S. Hanson, *The Five Years of the Alliance for Progress. An Appraisal,* Washington 1967; J. Levinson, J. de Onis, *The Alliance That Lost Its Way,* Chicago 1970; A. A. Matlina, *Kritika koncepcyi „mirnoj regulirujemoj riewolucyi" dla Latinskoj Amieriki,* Moskwa 1971; M. C. Perloff, *Alliance for Progress. A Social Invention in the Making,* New York 1969.

Polityce USA wobec Dominikany w latach sześćdziesiątych poświęcone są następujące opracowania: J. P. Gorochow, *Dominikanskaja Riespublika i amierikanskij impierializm,* Moskwa 1970; J. A. Moreno, *Barrios in Arms. Revolution in Santo Domingo,* Pittsburgh 1970; J. Slater, *Intervantion and Negotiation. The United States and the Dominican Revolution,* New York 1970.

O stosunkach USA z krajami Ameryki Łacińskiej w latach siedemdziesiątych piszą: M. Gómez Ojeda, *The United States-Latin American Relationship since 1960,* „The World Today", 1974, nr 12; S. Jarząbek, *Ewolucja panamerykanizmu,* „Sprawy Międzynarodowe", 1974, nr 12; T. Knothe, *Polityka Stanów Zjednoczonych wobec Chile,* „Sprawy Międzynarodowe", 1972, nr 12; C. Roper, *Inter-American Relationship,* „The World Today", 1971, nr 11.

# Indeks nazwisk


Acheson Dean 46
Adams John Quincy 8, 11
Alexander Robert J. 72
Allende Gossens Salvador 205–206, 208
Alvim Hugo Penasco 143
Arbenz Jacobo 43, 45–46
Arciniegas Germán 58
Arévalo Juan 42–43, 119
Arosemena Julio 120
Alsop Stuart 80

Balaguer Joaquim 109–111, 131, 147–149
Batista Fulgencio 77, 171, 174, 176, 178
Belaúnde Terry Fernando 119, 129, 188
Benoit Pedro 133
Berle Adolph 71–72
Betancourt Rómulo 89, 100, 103, 106, 108, 112, 118, 144
Bissel R. M. Jr. 82
Bolivar Simón 15
Bosch Juan 100, 112–116, 130–132, 135–136, 141–142, 146–149
Bowles Charles 81
Bramuglia Juan A. 34
Branden Spruille 33
Bulwer Edward lord Lytton 13
Bunker Ellsworth 147–148
Burr Robert N. 126

Caamaño Deno Fausto 133, 148, 149
Cáceres Troncoso Ramon 148
Caldera Rafael 129
Calhoun John C. 12
Canning George 8, 10
Cardenas Lazaro 97
Castro Ruz Fidel 70, 77, 80, 84–85, 87, 91, 93, 96, 102, 110, 168, 177, 203
Chavez Carlos 214
Church Frank 159
Clay Lucius D. 190
Clayton John M. 13
Colby William Egan 208

Dillon C. Douglas 48, 70, 109
Draper William H. 64
Dreier John 156, 164
Dulles John Foster 42, 44, 46–47, 59, 79
Duvalier François 105, 123, 141

Eisenhower Dwight D. 42, 46–48, 55, 57, 59, 62, 64, 68–70, 77, 79, 104
Eisenhower Milton 39, 48, 68
Enermark John R. 169

Ferdynand VII 10
Figueres José 100, 112
Ford Gerald 208–209
Frěi Montalva Eduardo 128–129, 188
Frondizi Arturo 89–92, 100
Fuentes Carlos 103, 151
Fulbright William J. 81, 137, 146, 151, 154–155, 183
Furtado Celso 4, 184

Galindez Jesus de 108
Garcia-Godoy Hector 148
Gaulle Charles de 151
Gomez Robledo Antonio 10
Goodwin Frank M. 72
Goodwin Richard 83
Gordon Lincoln 72, 126
Goulart João 93–95, 123

Guarnieri Mario C. 214
Guevara Ernesto Che 83, 90, 93, 168
Guzman Antonio L. 146–148

Halle Louis J. 41
Hanson Sven J. 125
Haya de la Torre Victor R. 100, 117–118
Herter Christian 79, 108
Hilsman Richard J. 86
Holland Frank H. 51
Hoover Herbert C. 17
Humphrey Hubert H. 152

Ibañez del Campo Carlos 36
Imbert Barrera Antonio 145–146, 149

Jaguaribe Helio 93
Johnson Lyndon Baines 86, 94, 110, 117, 122, 125–129, 134–137, 142, 145–146, 155, 167, 202, 211
Juarez Benito 99

Kennan George 39, 60
Kennedy John F. 59, 61–62, 64–65, 70–72, 74–75, 79, 81–82, 86–87, 90–91, 93, 99, 102, 105, 109, 110, 113, 116–120, 122–124, 126–127, 135–136, 142, 167, 171, 202, 211
Kennedy Robert 146
Kissinger Henry 60, 209
Kubitschek de Oliveira Juscelino 68–69, 188

Leoni Raoul 100, 129
Lincoln Abraham 12
List Friedrich 186
Lleras Camargo Alberto 89, 100
Locke John 66
Loeb John A. 118
Lopez de Souza H. 180

Mann Thomas Clifton 122, 127, 134
Maritano N. 71
Marks Karol 66
Marshall George C. 29, 37, 53, 72, 75, 202, 209
Martin Edwin M. 87, 121, 136
Martin John Bartlow 113–117, 145–146
Mateos Lopes F. 96–97
Mayobre Jose Antonio 144
McCarthy John T. 115
McCloy John 27
McGeorge Bundy 82, 137, 146
McNamara Robert 63, 170–171
Mignone Francisco 214
Miller Edward W. 40
Millikan M. F. 62–63
Molina Urena J. 132–133
Monroe James 7–12, 14–18
Montes Arache Manuel 148
Moors John C. 126
Mora A. 146
Morales-Carrion Anthony 72
Morgenthau Hans 47, 60–61
Morgenthau Henry 54
Morse Wayne 154–155
Moscoso Teodoro 72
Munoz Marin Louis 99, 102, 112

Napoleon III 11
Nixon Richard M. 68, 202, 206, 208–209, 213

Obaid A. J. 71
Odria Manuel 105, 117, 119
Olney Richard 14

Palmer Bruce 143
Paz Estenssoro Victor 100
Pérez Jimenez Marcos 103, 105
Peron Juan Domingo 33–39, 90
Polignac August J. de 8, 11

Polk James Knox 11–12
Prado Manuel 151

Quadros Jânio 93–94

Reid Cabral Donald 130–132, 138
Reston James 81
Revueltas S. 214
Rockefeller David 190, 193
Rockefeller Nelson 48
Roosevelt Franklin D. 17, 72, 104
Roosevelt Theodore 14, 104
Rostow Walt W. 62–63, 136, 191
Rusk Dean 81, 84, 152, 157–158

Schlesinger Arthur 66
Seward William Henry 12
Smathers George 153
Smith Gerald L. 114
Solomon A. M. 191
Somoza Debayle Anastasio 103
Sorenson T. 81
Spellman Francis J. 107
Stalin Józef W. 40
Stevenson Adlay 113, 144
Stettinius Edward K. 25
Stroessner Alfredo 102–103, 105
Symington James W. 180

Tannenbaum Frank 71
Tapley Bennett W. 130, 133–134
Taylor Maxvell D. 60, 175
Trujillo Rafael 103–104, 106–109, 112–113, 115, 131, 142
Trujillo Ramfis 110–111
Truman Harry 29, 41, 48, 60, 65, 86

Ubico Jorge 42
U Thant 144

Vanderberg Arthur 27–28
Vargas Getulio D. 36
Villa-Lobos Hector 214

Warren Derrill M. 180
Wessin y Wessin Elias 114–116, 132–134, 147–148
Whitaker Arthur P. 72
Wilson Woodrow 103–104

Ydigoras Fuentes 119

# Spis tabel


1. Udział USA i Wielkiej Brytanii w handlu Argentyny (w %) . . 38
2. Bezpośrednie inwestycje prywatne USA w Ameryce Łacińskiej (w miliardach dolarów) . . . . . 189
3. Podział geograficzny bezpośrednich inwestycji USA w Ameryce Łacińskiej (wartość w miliardach dolarów) . . . . . 193
4. Obroty handlowe krajów Ameryki Łacińskiej z USA (z wyjątkiem Wenezueli) . . . . . 195
5. Podział geograficzny bezpośrednich inwestycji USA (wartość w miliardach dolarów) . . . . . 197
6. Kierunki handlu zagranicznego krajów Ameryki Łacińskiej w 1970 roku (w %) . . . . . 200

# Spis wykresów

1. Struktura Organizacji Państw Amerykańskich zgodnie z postanowieniami Karty OPA z 1948 roku . . . . . 30
2. Struktura Organizacji Państw Amerykańskich po uchwaleniu Protokołu do Karty OPA na III specjalnej konferencji w Buenos Aires w 1967 roku . . . . . 164

Biblioteka
61986
gen. bib.

# Spis ilustracji


po str.

1. Fidel Castro w czasie jednego z pierwszych przemówień po zajęciu Hawany . . . . . 48
2. Kennedy, Rusk i McNamara — główni architekci polityki zagranicznej USA w latach sześćdziesiątych . . . . . 48
3. Plan inwazji na Playa Giron . . . . . 64
4. Fidel Castro w czasie inwazji . . . . . 64
5. E. Che Guevara . . . . . 136
6. Caamaño Deñó, ambasador Bunker i sekretarz generalny OPA Moro . . . . . 136
7. Juan Bosch w otoczeniu przywódców wojskowych „konstytucjonalistów” . . . . . 136
8. „Wspólne dowództwo” ogólnoamerykańskich sił z sekretarzem generalnym OPA Moro . . . . . 136
9. F. Lleras Camargo . . . . . 184
10. C. Lleras Restrepo . . . . . 184
11. E. Frei Montalva . . . . . 184
12. A. Frondizi . . . . . 184
13. J. Kubitschek . . . . . 184
14. J. Quadros . . . . . 184


Fot. 1 – 14 Maria Piwowarska; fot. autora na okładce Danuta Rago.

# Spis treści


Wprowadzenie . . . . . .
Doktryna Monroe i panamerykanizm . . . . . .
Hegemonizm USA lat pięćdziesiątych . . . . . .
Nowa sytuacja w stosunkach Stanów Zjednoczonych z Ameryką Łacińską po 1945 roku . . . . . .
Od Chapultepec do konferencji w Rio de Janeiro . . .
Sprawa Argentyny . . . . . .
Zimna wojna na półkuli zachodniej . . . . . .
Rozwój stosunków wojskowych do 1960 roku . . . . .
Problemy stosunków gospodarczych w latach pięćdziesiątych
Rewolucja i kontrrewolucja . . . . . .
Rodowód i główne założenia Sojuszu dla Postępu . . . .
Od Playa Giron do kryzysu karaibskiego 1962 roku . . .
Kraje Ameryki Łacińskiej wobec Kuby (1960–1964) . . .
Przeciwko dyktatorom . . . . . .
Interwencja w Republice Dominikańskiej . . . . . .
Problem utworzenia „ogólnoamerykańskich sił zbrojnych” . .
Nowe tendencje w stosunkach wojskowych . . . . . .
Stosunki gospodarcze a rozwój polityczny krajów Ameryki Łacińskiej . . . . . .
Rezultaty i perspektywy . . . . . .
Zamknięcie . . . . . .
Wskazówki bibliograficzne . . . . . .
Indeks nazwisk . . . . . .
Spis tabel . . . . . .
Spis wykresów . . . . . .
Spis ilustracji . . . . . .

## Azja · Afryka · Ameryka Łacińska

Historia

*W serii ukazały się:*

J. Kieniewicz, Portugalczycy w Azji XV-XX w., Wrocław 1976

*W przygotowaniu:*

A. H. Kasznik, Abd el-Kader. Geneza nowożytnej Algierii

Z. M. Kowalewski, Guerilla latynoamerykańska. Szkice z dziejów rewolucyjnych walk partyzanckich

WAŻNIEJSZE DOSTRZEŻONE BŁĘDY DRUKU

| Str. | W. | Jest | Powinno być |
|---|---|---|---|
| 4 | 18 od d. | Celse | Celso |
| 9 | 4 od g. | a w formie | a) w formie |
| 9 | 9 od g. | europejskich", | europejskich") |
| 24 | 10 od g. | przyszłości | przeszłości |
| 90 | 1 od d. | rozwiązać | rozwiać |
| 212 | 20 od d. | programowania | programów |

po 64 Objaśnienie do ilustr. 3: Białe strzałki oznaczają kierunki natarcia kontrrewolucjonistów kubańskich, czarne — wojsk rewolucyjnych.

**T. Knothe, Ameryka Łacińska w polityce USA...**

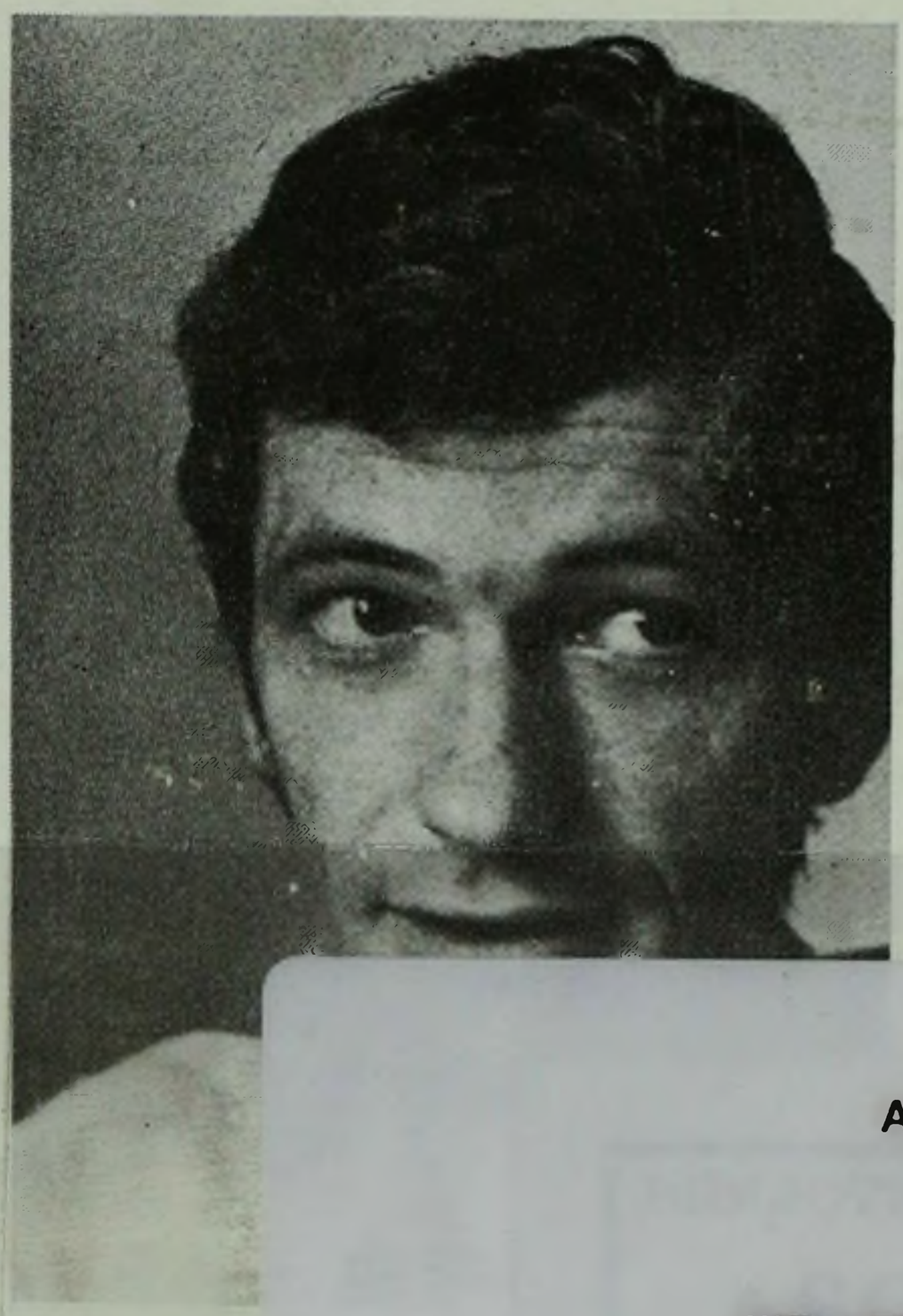

**Tomasz Knothe** (ur. 1943) specjalizuje się w problematyce współczesnych stosunków międzynarodowych. Studia ukończył w Moskwie w 1967 roku w Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSRR. Doktoryzował się z prawa międzynarodowego publicznego w Instytucie Nauk Prawnych PAN w Warszawie w 1971 roku. Prowadził badania w USA. Obecnie pracuje w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Autor wielu artykułów i opracowań o polityce zagra-

Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej
5175
20-061986-000-0

Pomóc z
oraz spec
przez pry
niejszości tych regionów — oto cel niniejszej serii. Nawet w świadomości wykształconego, dobrze przygotowanego czytelnika, do którego kierujemy nasze książki, odnaleźć można z dawna utrwalone etnocentryczne, a zwłaszcza europocentryczne stereotypy. Uważamy, iż wyjaśniać najistotniejsze problemy Trzeciego Świata oznacza zwalczać ignorancję i neokolonialistyczne spojrzenie na Azję, Afrykę i Amerykę Łacińską.

Autorzy, ludzie różnych generacji, reprezentujący marksistowski — i szerzej — postępowy nurt w nauce, dążą do opracowania podjętych tematów w oparciu o zdobycze szeroko rozumianych nauk historycznych oraz innych dyscyplin społecznych i humanistycznych.

**Cena zł 25.—**